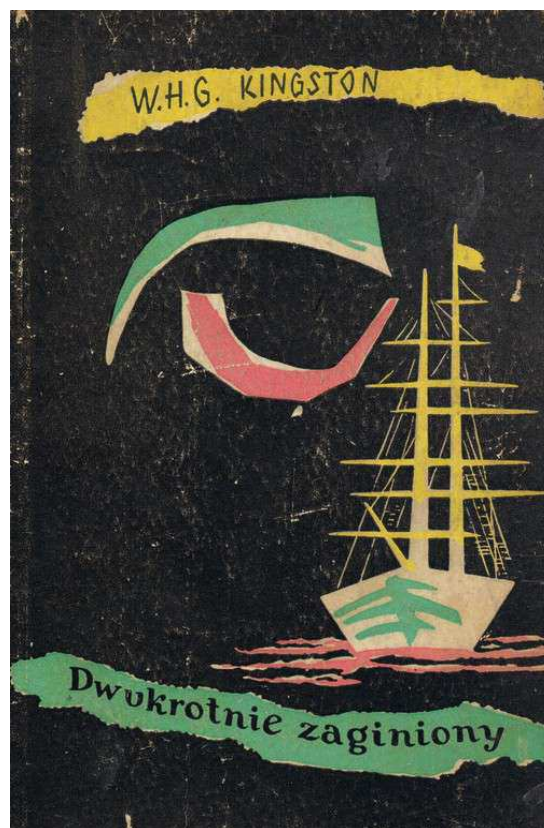


W. H. G. KINGSTON

**DWUKROTNI
ZAGINIONY**

TYTUŁ ORYGINAŁU: TWICE LOST
PRZEKŁAD: LEONID TELIGA



„WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE” ŁÓDŹ 1960

ROZDZIAŁ I

Ostatni dzień w domu. Na pokładzie „Heroine”. Kurs na Pacyfik. W poszukiwaniu piratów. Pogoń w górę rzeki. Dicki Popo. Bitwa. Zwycięstwo. W dalszą drogę

Mój ostatni dzień w domu dobiegł końca. Poszliśmy z bratem Pierceem do naszego pokoju, ułożyliśmy się w łóżkach, lecz nie po to, aby spać. Mieliśmy sobie jeszcze wiele do powiedzenia, chociaż właściwie powtarzaliśmy już w kółko to samo.

Przyrzekałem prowadzić dziennik, który pokażę bratu po powrocie ze swej pierwszej podróży; Pierce również obiecał pisać pamiętnik i umieszczać wyjątki z niego w listach do mnie, abym w ten sposób dowiadywał się wszystkiego o naszej rodzinie.

Ojciec nasz, porucznik marynarki Rayner, po zakończeniu wojny stracił nadzieję na awans, porzucił służbę i przystąpił do firmy handlowej, prowadzonej przez wujka Godfreya (byłem jego imiennikiem) w Bristolu, w pobliżu którego mieszkaliśmy. Ojciec nie znał się na pracy biurowej, lecz miał nadzieję, że przyda się firmie dzięki swej pilności i uwadze. Jednak zanim wciągnął się w pracę przedsiębiorstwa, zmarł wujek. Wraz z tym ciężkim przeżyciem, zwała się na ojca odpowiedzialność za firmę. Przypuszczam, że interesy nie stały dobrze i były chwile, gdy ojciec żałował, że podjął się pracy, do której nie był przygotowany.

Ja nie zdradzałem żadnej chęci do siedzenia w kantorze. Na szczęście stary towarzysz ojca, świeżo mianowany dowódcą okrętu wojennego „Heroine”, kapitan Bracewell, zaproponował mi, aby oddał jednego z synów na okręt jako praktykanta oficerskiego i ku mej wielkiej radości ojciec zezwolił mi wstąpić do marynarki.

Mój kufer marynarski stał w kącie pokoju przygotowany do drogi. Na nim leżał kordzik i mundur, w który miałem się ubrać nazajutrz. Oczywiście można się domyślić, że paradowałem już w tym stroju przed młodszym rodzeństwem — bratem i siostrą Edith. Siostra mówiła, że jest mi w nim do twarzy, a opinię tę potwierdziła matka i reszta domowników, co bardzo mi pochlebiało.

Głos Pierce'a przycichł, słowa stały się niezrozumiałe. Usnął. Po chwili poszedłbym za jego przykładem, lecz otworzyły się drzwi i do pokoju, cicho, aby nas nie zbudzić, weszła mama.

Czułem, że pochyliła się nade mną, jej łza spadła mi na policzek. Złożyła kochający pocałunek na moim czole. Może myślała, że ostatni raz jesteśmy razem.

— Godfrey, kochanie — szepnęła — pamiętaj o bojaźni Boga, bądź wiernym i sprawiedliwym wobec Niego i wszystkich ludzi. On jest twym najlepszym przyjacielem teraz i po wsze czasy.

— Tak będę postępował, mamu, zapewniam cię — odpowiedziałem, gdy tylko gwałtowne bicie serca i szloch ściskający gardło pozwolił mi przemówić.

— Tss... — mówiła mama — nie powinniśmy obudzić Pierce'a. Ty chłopcze również musisz zasnąć. Jutro czeka cię podróż.

Wyszła z pokoju, lecz stała jeszcze przed drzwiami czekając, aż usnę.

Następnego dnia cała rodzina zebrała się, aby mnie pożegnać. Nie będę opisywał tej sceny. Moja ukochana, słodka siostrzyczka Edyta, chociaż pełna dumy, że widzi mnie w mundurze, szlochała tak, jakby jej miało pęknąć serce. Czułem, jak trudno mi ukryć własne uczucia. Wreszcie wsiedliśmy z ojcem do dylizansu. Szybko nabrałem animuszu, gdy ojciec wciągnął mnie w rozmowę z towarzyszami podróży. W większości byli to ludzie morza, a jeden z nich w płaszczu marynarki wojennej przypominał ojcu, że służył kiedyś u niego jako praktykant i dodał, że teraz płynie na „Heroine”, gdzie jest szturmanem.

— Zwróci więc pan uwagę na tego młokosa, Mudge? Zrób to dla mnie — powiedział

ojciec — chociaż wiem, że uczyniłby to pan nawet bez mej prośby.

— Oczywiście — odparł Mudge. — Uczynię wszystko co w mej mocy, chociaż może to nie mieć wielkiego znaczenia.

— Tak więc, Godfreyu, dzięki mnie, masz już na pokładzie jednego przyjaciela. A ufam, że sam zasłużysz sobie na przyjaźń innych.

Wieczorem dotarliśmy do Plymouth. Następnego ranka ojciec zaprowadził mnie na okręt i przedstawił kapitanowi i oficerom. Kapitan Bracewell przyjął mnie bardzo uprzejmie, a gdy ojciec opuścił okręt, zajął się mną pan Mudge. Zaprowadził mnie do pomieszczenia praktykantów i przedstawił nowym kolegom. Po paru minutach czułem się tu jak w domu i doszedłem do wniosku, że powinienem być bardzo szczęśliwy. Utwierdziły mnie w tym przekonaniu zapewnienia jednego z praktykantów, mojego rówieśnika, a może trochę młodszego ode mnie, Tommy Pecka, który również wyruszał na morze po raz pierwszy i oczywiście stał się moim najbliższym przyjacielem. Był to wesoły chłopak, do tańca i do różańca. Lubił robić psikusy nie zastanawiając się nad ich skutkami, o ile mógł się nimi ubawić. Nie był pozbawiony rozsądku, lecz na razie, aby utrzymać go w ryzach, bardzo był mu potrzebny taki opiekun jak Mudge.

Przygotowano już żagle do rozwinięcia, załoga w takt wesołej melodii chodziła jak w kieracie wokół kabestanów. Niespodziewanie przybył kurier z Admiralicji i przekazał kapitanowi pocztę służbową, którą mieliśmy dostarczyć gubernatorowi Przylądka Coast Castle; tak więc nasza planowana marszruta prosto na Pacyfik została nagle zmieniona.

Wiał przyjazny i świeży wiatr. Po paru godzinach straciliśmy z oczu ląd. Po raz pierwszy w życiu patrzyłem z pokładu na krąg horyzontu, gdzie niebo łączy się z morzem. Odczułem to jako przyjemność nie pozbawioną lęku, który na szczęście wkrótce mnie opuścił.

Następnego dnia w południe praktykanci oficerscy otrzymali rozkaz, aby stawić się na zbiórkę z kwadrantami. Miałem pierwszą lekcję nawigacji. Pełen zapału uczyłem się mego zawodu, a Peter Mudge czynił wszystko, aby mi w tym dopomóc.

Mijał dzień za dniem. Pomyślny wiatr utrzymał się aż do wysokości wysp Zielonego Przylądka. Zacząłem zastanawiać się, czy opowiadania o sztormach i huraganach są bajkami i czy przeżyjemy podobne przygody w naszej podróży.

— Poczekaj, chłopcze, aż do Przylądka Horn, tam będziesz miał okazję poznać smak wzburzonego morza, o ile nie poznasz go wcześniej — mawiał Peter Mudge.

Pomimo ustawicznych cisz i słabych wiatrów przybyliśmy wreszcie do Przylądka Coast Castle. Na ciemnym tle zalesionych wzgórz widniały szeregi śnieżnobiałych budynków otoczonych fortyfikacjami. Kapitan udał się na brzeg, aby oddać gubernatorowi listy. Mieliśmy nadzieję, że i my odwiedzimy ląd, lecz kapitan natychmiast po powrocie rozkazał podnieść kotwicę i pod pełnymi żaglami ruszyliśmy na południowy wschód.

Wkrótce było wiadome, że gubernator otrzymał wiadomość o ukazaniu się u brzegów dużego statku, przypuszczalnie pirackiego, który mieliśmy ścigać. Przez całą noc prowadzono wyteżoną obserwację. Mówiono, że okręt jest silnie uzbrojony, pływa pod banderą Hiszpanii i że trudni się napadami na statki handlowe, porywa ładunki i kupuje za łupy niewolników, których wywozi na Kubę.

— Zyskowny interes, z pominięciem, oczywiście, uczciwości — mówił Mudge. — Miejmy nadzieję, że przychwycimy go z angielskim łupem, a wówczas ukroćmy jego wybryki.

Następnego wieczora po prawej burcie przed nami dostrzeżono żagiel, sunący tym co i my kursem. Natychmiast rozpoczęliśmy pościg, mając nadzieję, że to właśnie jest pirat. Wątpliwe, czy zostaliśmy zauważeni. Jeśli tak, pirat na pewno wziął nas za statek handlowy. Byliśmy przekonani, że po rozpoznaniu nie podda się bez walki, więc okręt nasz przygotowano do akcji. Załoga stanęła na swoich posterunkach.

Sunęliśmy po ciemnym morzu, maszty jak zjawy piętrzyły się pod niebem. Na myśl, że

za parę minut mogę wziąć udział w walce, w strzelaniu do nieprzyjaciela, że wokół będą przelatywać pociski i kule, opanowało mnie dziwne uczucie.

— Żagiel przed nami! — zawołał drugi oficer z dziobu. Wyteżyłem wzrok i dostrzegłem wysokie maszty i żagle statku równie wielkiego, jeśli nie większego niż „Heroine”.

— Musimy przed otwarciem ognia zawołać, aby nie zaatakować przyjaciela — usłyszałem słowa dowódcy skierowane do pierwszego oficera pana Worthy. — Jeśli to pirat, bierze nas za statek handlowy, gdyż prawdopodobnie wie, że nie było w tych stronach okrętu wojennego takich rozmiarów jak nasz. Nie strzelać bez mego rozkazu!

Potem nie padło ani jedno słowo. Płynęliśmy szybko i w całkowitej ciszy, zbliżając się do ciemnego statku. Mogliśmy już dojrzeć, że ma podciągnięte dolne żagle i widocznie czeka na nas. Zamiarem kapitana było podejść do przeciwnika od prawego baksztagu i mieć go między nami a łodem. Zbliżyliśmy się prawie na odległość głosu i byliśmy gotowi do rozpoczęcia bitwy, gdy nagle przeciwnik rozwinął dolne żagle, przebrasował gwałtownie reje i skręcił do łądu. I my natychmiast zmieniliśmy kurs i sterując tuż za nim otworzyliśmy ogień z armatki ustawionej na dziobie. Przeciwnik był szybki i odskoczył od nas. Bryza nabrała siły. Mając rozwinięte wszystkie żagle okręt nasz pochylił się, aż armaty na zawietrznej umoczyły lufy w morzu.

— Połamiemy maszty, jeśli nie zachowamy ostrożności — usłyszałem uwagę Mudge'a. Kapitan zapewne był tego samego zdania. Śpiewnym głosem wydał rozkaz:

— Bram-topsle i topsle zwinąć. Bystro, chłopcy!

Żałogi odpowiednich rei pośpieszyły na maszty, aby wykonać rozkaz; każdy wiedział, że nie ma czasu do stracenia. Maszty gięły się jak wierzbowe witki i istniała obawa, że lada chwila runą za burtę.

Oficerowie zajęci zwijaniem żagli odwrócili oczy od ściganego. Jakież liny zaplątały się przy manewrze i musieliśmy stanąć, aby je uporządkować. To pozwoliło przeciwnikowi wyprzedzić nas jeszcze bardziej. Jednak nadal widzieliśmy, jak żeglował na wschód.

Z chwilą gdy ukończono pracę przy żaglach, ruszyliśmy w pogoń, niosąc na masztach tyle płótna ile się dało. Wszystkie oczy zwrócone były na oddalający się statek.

— Jeśli zniknie nam i skręci do brzegu — zauważył Mudge — trudno będzie go odnaleźć.

Mieliśmy nadzieję, że dogoni go nasz pocisk, lecz strzelać można było tylko z jednej armaty, a przy fali nawet niezbyt wysokiej chybić było łatwo. Jednak przyciskając przeciwnika do łądu nie dawaliśmy mu szans ucieczki.

Pędziliśmy tak dość długo. Przeciwnik stale zwiększał odległość, stawał się coraz mniej widoczny. Do tego uderzył gwałtowny szkwał i kapitan kazał skrócić żagle. Szkwał minął, zanim je zwinęto, lecz gdy znów spojrzeliśmy przed siebie, ściganego statku już nie było. Zmieniliśmy kurs bardziej na południe, na wypadek gdyby uciekinier skręcił z pełnym wiatrem.

Wkrótce potem weszło słońce i wiatr przycichł. Na morzu było pusto. Kapitan i porucznik Worthy nadal sądzili, że statek umknął na wschód, lecz gęste mgły rozwieszane nad brzegiem kryły go przed naszym wzrokiem. Znów postawiliśmy wszystkie żagle i wróciliśmy na stary kurs. Obserwator z czubka masztu zawołał: „Łąd! łąd!” Po chwili przejaśniło się i mogliśmy dojrzeć pokryte lasami wzgórza Afryki, wyrastające wysoko ponad wciąż pełzające u brzegów opary, za którymi mógł skryć się ścigany statek, o ile uszedł w tamtą stronę.

— Jeśli jest tam, wkrótce go znajdziemy — mówił Mudge. — Mam nadzieję, że te obwiesie będą mieli odwagę walczyć o swe życie i wolność. Chociaż właściwie nie mają szans.

Oczywiście poszła w ruch sonda, która wykazała, że głębokości są znacznie większe niż przypuszczano. Na podstawie mapy kapitan stwierdził, że zbliżamy się do ujścia dużej rzeki. Wschodzące słońce rozpędziło mgły. Mapa mówiła prawdę, lecz nie mogliśmy płynąć dalej, gdyż zapadła cisza. Stanęliśmy więc blisko brzegu. Widzieliśmy zaledwie mały odcinek

rzeki, aż do zalesionego przylądka zasłaniającego dalszy jej bieg. Ścigany statek mógł się tam ukryć i pozostać niewidoczny.

Kapitan wydał rozkaz pierwszemu oficerowi, aby popłynął gigiem i sprawdził, czy przypuszczenia są słuszne. Miał zamiar, jeśli przeciwnik zakotwiczył się na rzece, ruszyć za nim, gdy tylko powieje wiatr. Ponieważ statek przeciwnika był duży, dobrze uzbrojony i miał liczną załogę, kapitan nie chciał ryzykować życiem swych ludzi i podejmować długiej podróży łodziami, aby wykonać atak.

Gig wkrótce zniknął za przylądkiem, a wachta pod pokładem, do której i ja należałem, dostała zezwolenie leć w cieniu na pokładzie, ponieważ po nocy spędzonej bez snu z trudem otwieraliśmy oczy. Usnąłem natychmiast. Zbudzony po dwóch godzinach drzemki stwierdziłem, że gig jeszcze nie wrócił. Kapitan wyraźnie zdradzał niepokój. Wreszcie obserwator na maszcie, który widział większy odcinek rzeki niż my, krzyknął:

— Widzę gig, a za nim drugą łódź!

Zanim ujrzelśmy gig okrążający przylądek, minęło kilka minut. Jego załoga z całych sił napierała na wiosła. W następnej sekundzie zobaczyliśmy znacznie większą łódź. Mężczyzna stojący na rufie łodzi ścigającej nasz gig uniósł muszkiet i wystrzelił. Jeden z naszych wypuścił wiosło i upadł na ławkę. Wielka łódź zawróciła i skryła się za przylądkiem, zanim zdążyliśmy przygotować działo. Kapitan, widząc to wszystko, rozkazał przygotować pozostałe łodzie, mając zamiar rzucić je w pogoń za śmiałkami.

Łodzie spuszczone, zanim gig przybił do burty „Heroine”.

Porucznik Worthy zameldował kapitanowi, że popłynął dość daleko w górę rzeki, jednak ściganego statku długo nie mógł zobaczyć. Gdy wreszcie dojrzał jego stengi sterczące ponad zalesionym występem brzegu, wyskoczyła stamtąd duża łódź, a z brzegu otwarto ogień; było to jeszcze jednym ostrzeżeniem, że niebezpiecznie zapuszczać się dalej w górę rzeki. Porucznik zawrócił więc natychmiast i powiosłował w dół rzeki, uważając, że szaleństwem byłoby atakowanie większej łodzi własną nieliczną załogą.

Odważny atak dużej łodzi, zmierzający do zagarnięcia gigu, ujawnił, kim jest załoga statku. Widać było również, że piraci albo czują się na siłach stawić czoło okrętowi wojennemu, lub uważają, że nie odważy się on wchodzić daleko w rzekę.

Tymczasem z gigu wniesiono rannego na pokład okrętu. Oddychał jeszcze, więc natychmiast został oddany pod opiekę lekarzowi. Ten jednak po zbadaniu rany wyraził słabą nadzieję utrzymania go przy życiu. Słyszając to załoga wygrażała piratom i pałała chęcią ruszenia w górę rzeki, aby się do nich dobrać.

Z niecierpliwością czekaliśmy więc na wiatr. Łańcuch kotwiczny został wybrany do maksimum, żagle przygotowane do natychmiastowego rozwinięcia. Spoglądaliśmy na morze, lecz na jego lustrzanej tafli nie mogliśmy dojrzeć nawet najdrobniejszej zmarszczki zwiastującej podmuch.

— Tak czy owak, mamy go w pułapce — tłumaczył Mudge. — Czy chce, czy nie chce, będzie musiał walczyć.

— Mam nadzieję, że przyjmie walkę — odpowiedziałem. — Chciałbym ujrzeć prawdziwą, zaciętą bitwę, a jeśli pirat podda się od razu, mało to nam przyniesie chwały.

— Inaczej zaśpiewasz, mój chłopcze, gdy pociski i kule zaczną gęsto przelatywać koło twojej głowy — mówił Mudge — a jeśli chodzi o chwałę, to i tak niewiele jej przysporzy schwytanie tych łajdaków, piratów. Osobiście mam nadzieję, że poddadzą się natychmiast i nie będziemy mieli z nimi wiele kłopotu.

Mijały godziny, lecz nie zrywał się żaden powiew wiatru. Słyszałem, jak porucznik Worthy zrobił uwagę, że piraci mają teraz dość czasu, aby obwarować się na brzegu, co dałoby im większe szanse obrony, gdyż mielibyśmy przeciw sobie fort i okręt.

— To nas nie zatrzyma — rzucił kapitan — najpierw musimy pokonać okręt a potem fort.

Nareszcie zauważyliśmy na oceanie kilka zmarszczek. Poruszyły się wymple do wskazywania kierunku wiatru. Powiała świeża i czysta morska bryza. Szybko poderwano kotwicę i okręt ruszył w stronę głównego koryta rzeki.

Ławicę przybrzeżną, na której załamywały się fale i gdzie zwykle bywa płytko, minęliśmy szczęśliwie. Zaczęliśmy płynąć pod prąd. Brzegi po obu stronach były gęsto pokryte lasem, tworząc nieprzeniknione ściany zarośli, co uniemożliwiało nam obserwację. Widzieliśmy tylko kilka wzgórz, które wyrastały nad dżunglą.

Przy słabym wietrze i pod prąd płynęliśmy powoli. Wkrótce wiatr ustał zupełnie i musieliśmy rzucić kotwicę. Gdyby nie meldunek porucznika Worthy, można by sądzić, że nie ma tu przeciwnika; chyba spłynęlibyśmy z powrotem ku morzu, aby szukać go w innych miejscach. Pod wieczór powiała silna bryza lądowa, w dół szerokiej w tym miejscu rzeki.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby piraci mimo wszystko próbowali wymknąć się nam — mówił Mudge. — Musimy bardzo uważać, aby ich przychwycić podczas ucieczki. Mam nadzieję, że walczyć będziemy w ruchu pod żaglami; trudniej byłoby, gdyby piraci stanęli na kotwicy pod osłoną okopów, które niewątpliwie już usypali.

Był jasny dzień. Miałem wachtę i spacerowałem z panem Mudge po pokładzie. Kabina praktykantów nie była najmilszym miejscem, zwłaszcza w tym klimacie, toteż zaglądałem do niej tylko podczas posiłków.

Nie wspominałem wiele o panującym tu upale; na rzece powietrze nie było wprawdzie bardzo gorące, ale bardziej duszne niż na morzu. Spoglądałem w kierunku najbliższego lądu, od którego staliśmy nie dalej niż jeden kabel. Wśród drzew zauważyłem przemykającego się człowieka. Wskazałem go Mudge'owi. Teraz gdy nieznajomy stał już na brzegu, poznałem, że był to Murzyn; nie miał na sobie ani strzępka ubrania. Przyłożył dłonie do ust i zawołał, potem gwałtownie zaczął machać rękami, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę. Mudge posłał mnie z meldunkiem do porucznika Worthy, który natychmiast rozkazał opuścić szalupę i polecił popłynąć Mudge'owi na brzeg, aby zbadać, o co chodzi.

Murzyn oglądając się niespokojnie robił wrażenie, jakby usłyszał pogoń, której chciał umknąć. Skoczył do wody i popłynął w naszym kierunku. Skoczyliśmy do łodzi i ruszyliśmy naprzeciw czarnego. Byliśmy już blisko niego, gdy ujrziałem przed nami wynurzającą się z wody ciemną płetwę. Wskazałem ją oficerowi.

— To rekin! — odkrzyknął. — Ależ duża bestia! Pewnie zaraz schrupie naszego Murzynka.

— Jeśli nie odstraszymy potwora krzykiem — odparłem przerażony myślą, że będę świadkiem pożarcia człowieka. — Krzyczcie, wrzeszczcie, wszyscy! — wołałem do załogi łodzi.

Darliśmy się wszyscy na całe gardło. Murzyn również zauważył płetwę, zaczął miotać się w wodzie i dziko hałasować. Ale rekin nie był jedynym niebezpieczeństwem, na które był narażony. Na brzegu, spoza drzew wybiegło kilku mężczyzn z muszkietami w rękach. Otworzyli ogień. Jedna kula wymierzona w czarnego szczęśliwym zbiegiem okoliczności trafiła w rekina, który już miał zaatakować płynącego. Bestia, przerażona wrzaskami, machnęła ogonem i uciekła.

Natychmiast nie bacząc na kule nacisnęliśmy na wiosła. Murzyn był blisko. W ostatniej chwili gwałtownym szarpnięciem wciągnęliśmy czarnego do łodzi, a ja zdążyłem jeszcze zobaczyć w wodzie potworne cielsko rekina, który zawrócił de swej niedoszłej ofiary. Zawiedziona bestia, jakby mszcząc się, chwyciła za pióro jednego z naszych wiosł.

Mudge nie tracił czasu na pytania. Sterował z powrotem na okręt. Na szczęście nikt z nas nie został ranny, a przeciwnicy zniknęli szybko w lesie.

Gdy tylko zeszedliśmy z linii ognia, armata okrętowa ładowana siekańcami wypaliła w zarośla, gdzie kryli się przeciwnicy. To przyspieszyło ich ucieczkę. Czy nie został ktoś z nich trafiony, trudno dociec.

Gdy łódź dobiła do burty „Heroine”, Murzyn szybko i zręcznie wdrapał się na pokład — okazując, że nie zmęczyła go ani ucieczka, ani niezwykła kąpiel. Stał nagi jak go Bóg stworzył. Nasz stary sternik, znany kpiarz, uważając, że nagus nie może pokazywać się na mostku brytyjskiego okrętu wojennego, rzucił mu parę parcianych spodni. Murzyn włożył je z pośpiechem, strząsnął wodę ze swej wełnistej czupryny i z miną pełną dostojeństwa poszedł na rufę, gdzie stał dowódca w towarzystwie kilku oficerów.

— Moja, Dicki Popo, panie — rzekł — moja wierny poddany brytyjski, kiedyś służyłem Jego Królewskiej Mości, lecz łowcy niewolników znaleźli mnie na łądzie, uprowadzili i sprzedali jeszcze gorszym łajdakom. Wpędzili mnie na statek wraz z innymi niewolnikami, potem najgorszy złoczyńca zabrał nas tam, na pokład „Sokoła morskiego”. Widziałem — prawil łamaną angielszczyzną — że coś poszło niedobrze, gdy zawrócili w górę rzeki, potem spostrzegłem, że ściga ich okręt angielski i staje na kotwicy przed mielizną przybrzeżną. Wtedy pomyślałem, że jeśli ucieknę i dostanę się na angielski okręt, będę bezpieczny pod jego banderą.

Mówiąc to wskazywał na banderę powiewającą nad rufą. Dowódca widząc, że Dicki Popo całkiem dobrze rozumie język angielski, przepytował go dalej osobiście i dowiedział się wielu ciekawych rzeczy o ściganym statku. „Sokół morski” pochodził z Hawany, był tych samych rozmiarów co „Heroine”, miał o dwa działa więcej i równie liczną załogę. Dobrze dowodzony mógł stać się poważnym przeciwnikiem. Według relacji Dicki Popo „Sokół morski” zwyciężył już statek handlarzy z półtora tysiącem niewolników, a ostatnio czyhał na szkuner stojący u ujścia rzeki. Ale my pokrzyżowaliśmy jego plany. Pirat, nie zdradzając kapitanowi szkunera swych niecznych zamiarów, przekonał go, że aby obronić się przed okrętem wojennym, powinni udzielić sobie nawzajem pomocy. W tym celu z obydwu okrętów wysadzono na brzeg oddziały ludzi i kilka armat, a niewolnikom kazano sypać szańce. Dicki Popo, słysząc o zbliżaniu się „Heroine”, skorzystał z okazji i zbiegł, aby przestrzec nas przed przygotowanym dla nas przyjęciem.

Podobał mi się wyraz twarzy Dicki Popo i od pierwszej chwili uważałem, że to poczciwy chłopak.

Kiedyś angielski okręt wojenny uwolnił go od handlarzy niewolników. Chłopak przystał na służbę, a że traktowano go dobrze, był więc szczerze wdzięczny Anglikom i starał się to wykazać czynami.

Nie mam przekonania do ludzi, którzy mówią o wdzięczności, a nie zadają sobie trudu, aby ją udowodnić.

Nasz kapitan po wysłuchaniu wieści o przygotowaniach obronnych handlarzy niewolników, nie zmienił swych zamiarów.

— Wiem, że mogę ufać naszym chłopcom, którzy odważnie wykonają swój obowiązek, podczas gdy bandyci będą walczyć czując na szyi stryczki — powiedział do pana Worthy.

— Bez wątpienia — padła odpowiedź — i mam nadzieję, że niezadługo schwytemy piratów nie bacząc na ich forcik i pomoc, jakiej im udzielił szkuner ich kamratów.

Większa część nocy minęła spokojnie. Psia wachta dobiegała końca, gdy usłyszano plusk wioseł i wkrótce dostrzeżono szalupę.

— Statek spływa w dół rzeki i za parę minut będzie obok nas — meldował oficer dowodzący łodzią. — Gdyśmy go zobaczyli, zwijano na nim żagle. Piraci mają nadzieję, że przemkną się koło nas pod gołymi masztami.

Słyszając to kapitan wydał rozkazy rozwinięcia żagli. Porzuciliśmy kotwicę przymocowując do łańcucha bojkę, aby łatwo go odnaleźć i ruszyliśmy na środek rzeki.

Po minucie zauważono wysokie maszty pirackiego statku, który spływał z prądem parę kabli od nas. Nie mógł już zawrócić ani nabrać szybkości. Mogliśmy więc żeglować wokół niego i strzelać wedle woli.

Piraci dostrzegli nas wcześniej, gdyż płynęliśmy pod żaglami i byliśmy bardziej wido-

czni. Zaczęli rozwijać płótna. Jednak niewiele im to pomogło, gdyż byli w zasięgu naszych dział. Rozpoczęliśmy szybki ogień, tracąc jedynie czas na ładowanie i podtaczenie *. Piraci natychmiast odpowiedzieli z armat na dziobie, gdyż przechodziliśmy tuż przed stwą „Sokoła morskiego”. Wydało mi się, że idziemy na abordaż, lecz nasz okręt, który został nieszkodliwie trafiony zaledwie dwoma czy trzema pociskami, skręcił i uderzył w przeciwnika pełną salwą burtową. Rozległy się krzyki i wrzaski, co dowodziło, że nasz ogień spowodował straszliwe zniszczenia. Zerwane zostały liczne fały i brasy, tak że ocalała tylko część żagli. Odeszliśmy i zawróciliśmy, aby ugodzić pirata nową, dobrze wymierzoną salwą. Odpowiedziano nam słabym ogniem, mogliśmy więc słusznie przypuszczać, że część ich artylerzystów została zabita lub ranna naszymi pociskami. Wyprzedziliśmy przeciwnika i kapitan zamierzał stanąć przed nim, aby ponownie zaatakować szybkim ogniem. Usłyszeliśmy jednak głosy wołające z dziobu łamaną angielszczyzną.

— Poddajemy się, opuszczamy banderę, nie strzelajcie, nie strzelajcie!

— A więc rzućcie kotwicę. Nie ufam wam! — odkrzyknął kapitan.

Rozległy się krzyki i hałas sprzeczki w języku hiszpańskim. Sterowaliśmy w ten sposób, aby pozostać na nawietrznej przed dziobem pirata.

— Przygotować się, brasować reje! — krzyknął kapitan donośnie, aby usłyszeli go Hiszpanie. — Wykonać rozkaz, albo otwieram ogień!

— Tak, tak — odpowiedział głos.

Natychmiast zwinęto żagle. Poprzez gwar nadal panujący na dziobie usłyszeliśmy, jak plusnęła kotwica i zagruchotał łańcuch. Statek powoli zatoczył łuk i stanął pod prąd.

My również wypuściliśmy wiatr z żagli, a mając dość dużą szybkość stanęliśmy obok przeciwnika, który w ten sposób znalazł się całkowicie w naszej mocy. Z chwilą gdy zwinęliśmy żagle, dwie szalupy z dobrze uzbrojonymi marynarzami znalazły się na wodzie. Dowództwo na pierwszej objął porucznik Worthy, a na drugiej Peter Mudge. Ja popłynąłem z porucznikiem.

Na statku pirackim nie stawiano oporu, gdy dobiliśmy do jego burty, ale i nie pomagano nam. Mimo to szybko wdrapaliśmy się na pokład, który przy świetle paru latarń przedstawiał widok, jakiego nigdy nie potrafiłbym sobie przedtem wyobrazić. Przy pierwszym kroku pośliznąłem się i o mało nie upadłem. Zauważyłem, że stoję w kałuży krwi. Dwadzieścia, a może więcej ciał leżało nieruchomo, wielu piratów siedziało pod masztami lub przy działach, opatrując rany.

Jedna grupa marynarzy w milczeniu oczekiwała nas na rufie, druga zebrała się na dziobie. Sądząc po ubiorach byli to oficerowie.

— Gdzie jest kapitan okrętu? — spytał porucznik Worthy.

Jeden z oficerów wskazał na ciało z wyrwaną częścią klatki piersiowej i bez ręki, leżące między dwoma działami.

— Szczęśliwy łotr — mruknął porucznik — nie będzie musiał odpowiadać za swe przestępstwa.

— To pan objął po nim dowództwo? — Mężczyzna, do którego zwrócone było pytanie, skinął głową, wystąpił naprzód i podał szpadę.

— Przyjąć tę broń — zwrócił się porucznik do jednego z marynarzy — rozbroić resztę. Nie przystoi mi przyjmować broni od piratów, jak od oficerów marynarki.

Grupa została szybko rozbrojona i na rozkaz porucznika piratom związano ręce za plecami. Gdy Peter Mudge ze swoimi chłopcami podobnie uporał się z resztą załogi, porucznik przywołał nasz okręt i prosił o lekarza, aby opatrywać rannych.

Oficerów-piratów spuszczone do szalup i odstawiono na „Heroine”.

Gdy lekarz opatrywał rannych, my zbieraliśmy zabitych. Naliczyliśmy dwadzieścia pięć

* Armaty okrętowe tego okresu przy wystrzale cofały się. Obsługa przeczyszczala lufę, ładowała przez jej wylot proch i kule, a następnie za pomocą bloków podtaczała do burty. (Przyp. tłumacza.).

ciał.

— Tam jest jeszcze jeden, co przed chwilą leżał martwy jak kłoda, ale gdy wlokłem go po pokładzie, zaczął zaklinać mnie na wszystkie świętości, że żyje i może poruszać nogami. To szczerza prawda, bo z trudem go przytrzymałem. Teraz leży tak spokojnie, że jak pragnę zdrowia, nie wiem na pewno, czy mówił prawdę, czy bujał.

Takie przemówienie wygłosił do lekarza marynarz z obsługi górnych rei — Irlandczyk, Paddy Doyle. Lekarz wysłuchał go i poszedł obejrzeć rzekomego trupa.

— Wydaje się, że jest zdrow, oddycha — pomrukiwał. — Sądząc po stroju jest oficerem. Doyle, spryskaj mu twarz wodą i uważaj, kiedy przyjdzie do siebie, nie potrwa to długo. Ja muszę zająć się innymi hultajami.

Martwe ciała po obejrzeniu przez lekarza wyrzucono za burtę, zdrowych piratów wzięto pod straż, a rannych zniesiono do dużej kajuty, w której jednak nie udało się wszystkich pomieścić; dla reszty pozbierano posłania jakie się dało i umieszczono na górnym pokładzie przeznaczonym dla niewolników.

Zanim ukończono te prace, nastął dzień.

Na załogę zdobytego statku wyznaczono dwudziestu pięciu marynarzy i lekarza pod dowództwem drugiego oficera.

Byłem rad, że wracałem na „Heroine”, gdyż robiło mi się niedobrze od oglądanych widoków.

Już przełaziłem przez burtę „Sokoła morskigo”, gdy usłyszałem wołania Doyle’a.

— Ahoj, mój nieboszczyk ożył! Pomóżcie mi! Łapaj go!

Zobaczyłem, że jeniec Irlandczyka zerwał się i korzystając z nieuwagi wartownika próbował wyskoczyć przez artyleryjski luk burtowy. Paddy pochwycił go za nogę i ciągnął co sił, a Hiszpan, jedną nogą już za burtą, był bliski ucieczki. Szarpał się i mocował.

— Ojej! Uciekł! — wrzasnął Doyle. W rękę trzymał but Hiszpana i kawał urwanych spodni.

Pirat, najwidoczniej świetny pływak, podniecony okazją ucieczki, szybko płynął w stronę lądu.

— Gonić go! — krzyknął porucznik Worthy do Mudge'a, który był już w szalupie stojącej przy przeciwnej stronie statku.

Łódź odbiła, lecz musiała okrążyć statek. Dopiero wtedy Mudge dostrzegł pływaka, który oddalił się już znacznie.

Skoczyłem na wanty, aby go obserwować. Jeśli udałoby się mu wylądować i ukryć w zaroślach, osiągnąłby swój cel. Prawdopodobnie spodziewał się spotkać przyjaciół i liczył na ich pomoc.

Łódź była jeszcze daleko za nim, gdy dostrzegłem czarną płetwę rekina. Zniknęła, a po chwili powietrze przeszył przenikliwy wrzask. Pirat uniósł ręce i zniknął pod powierzchnią wody. Łódź zawróciła do okrętu.

Natychmiast po powrocie na własny pokład usłyszeliśmy dolatujące z górnych rejonów rzeki głośnie dźwięki tam-tamów i rogów, a po chwili ukazała się grupa tubylczych łodzi. Pędzone śpiesznymi uderzeniami wiosł, płynęły w naszym kierunku. Nie chciało się wierzyć, by tubylcy zaatakowali brytyjski okręt wojenny, a jednak ich gesty i szyk zdradzały bojowe zamiary. Bardzo możliwe, że słysząc odgłosy bitwy, a uważając „Sokoła morskigo” za najpotężniejszy okręt, jaki pływa po morzach, uznali, iż jemu właśnie przypadło zwycięstwo. Zauważyli jednak statek piracki zakotwiczony za naszą rufą i przestali wiosłować. Trwało to tylko chwilę. Odzyskali odwagę i z jeszcze głośniejszymi niż przedtem wrzaskami, z waleństwem w tam-tamy ruszyli naprzód.

— Wystrzelić ponad głowami — rozkazał nasz dowódca. — Muszę pokazać dzikusom, że ze mną nie ma żartów.

Ledwie huknęła armata, a już pirogi gwałtownie zawróciły. Wioślarze dobywali wszy-

stkich sił, aby ująć w bezpieczne miejsce poza zasięgiem naszych dział i wkrótce cała flotylla zniknęła za cyplem.

Pozostało nam do wykonania jeszcze jedno zadanie — pojmanie lub zniszczenie szkunera handlarzy niewolników.

Ponieważ żeglowanie było skomplikowane i niebezpieczne, nasz dowódca postanowił nie narażać na szwank okrętu, lecz posłać przeciwko piratom szalupy.

Wyruszyły więc trzy łodzie. Jedna, największa, uzbrojona w armatkę sześćofuntową, dwie pozostałe w hakownice. Ja płynąłem na wielkiej szalupie dowodzonej przez pana Worthy.

Wkrótce ujrzeliśmy pirogi, a za nimi stojący na kotwicy szkuner. Dicki Popo, który płynął z nami, aby wskazać, gdzie zbudowano nadbrzeżny szaniec, wykrzyknął:

— O, tam, tam!

Ledwie przebrzmiał jego głos, a już armatnia kula z gwizdem przeleciała nad nami.

Łodzie sterowały prosto na baterię. Nasze armatki odpowiedziały, a my naporliśmy na wiośła. Szybko dotarliśmy do brzegu. Porucznik wyskoczył na ląd. Poszedłem za jego przykładem. Padły rozkazy i ruszyliśmy do szturmu. Hiszpanie nie czekali na nas, lecz uciekli w gąszcze i zaledwie kilku broniło się do ostatka i zginęło od naszych kul lub pałaszy. Porucznik nie pozwolił nam ścigać przeciwnika w gęstym lesie, zagwoździliśmy więc pięć armat porzuconych na sząncu i natychmiast wróciliśmy do łodzi, aby zaatakować szkuner.

Nie udało się. Ze statku buchnęły kłęby dymu. W pierwszej chwili ruszyliśmy szybciej, licząc, że zdążymy ugasić pożar. Szkuner był pięknym statkiem i warto było wziąć taki łup. Jednak porucznik rozkazał zatrzymać łodzie. Decyzja była wydana w sam czas, potężny wybuch wyrwał pokład statku, zwałił maszty, których odłamki spadły nawet między naszymi szalupami.

Przez kilka minut buchały płomienie i po chwili kadłub, nadwerężony na skutek wybuchu, poszedł na dno. Co stało się z nieszczęsnymi niewolnikami, trudno powiedzieć. Mieliśmy nadzieję, że w imię człowieczeństwa wysadzono ich na brzeg. Nie pojmano żadnego z nich, gdyż na pewno zostali oni popędzeni w głąb lądu.

Powróciliśmy na okręt. „Heroine” i „Sokół morski”, korzystając ze świeżego wiatru podniosły żagle i ruszyły w stronę morza.

Minęliśmy przybrzeżną mieliznę i będąc już na bezpiecznych wodach dojrzelśmy żagle. Do brzegów zbliżała się fregata komandora bazy wojennej. On również dowiedział się o piratach i ruszył na ich poszukiwanie.

Przy spotkaniu komandor złożył gratulacje naszemu dowódcy z okazji powodzenia wyprawy, przyjął od nas jeńców i zdobyty statek, a my mogliśmy ruszyć w dalszą drogę na zachód.

Dicki Popo pozostał z nami i cieszył się sympatią oficerów i załogi.

O losie „Sokoła morskiego” i jego pirackiej załogi usłyszałem dopiero po długim czasie.

ROZDZIAŁ II

Wokół przylądka Horn. W porcie Patagonii. Wizyta na statku wielorybniczym. Zaciszny port. Niebezpieczna przygoda. Valparaiso. Wyspa koralowa. Tubylcy. Wyspy Sandwich. Popo i biały chłopiec

Niespełna sześć miesięcy temu, siedząc za biurkiem w kantorze mego ojca, anim pomyślał, że kiedykolwiek ujrzę Przylądek Horn. A teraz sterczał on wysoko z oceanu, na prawym trawersie „Heroine”, obramowany u stóp równymi zmarszczkami fal. Ciemny, samotny,

majestatyczny.

Pełnym wiatrem, na wszystkich żaglach sunęliśmy na zachód. To wznosiliśmy się na szczyt szklistej fali, to zapadaliśmy głęboko w doliny, aby znowu wdzierać się na wodną stromiznę.

— To wspaniały widok! — zawołałem spoglądając na potężną skałę przyładka, powoli niknącą z oczu za prawym baksztagiem.

— Zobaczysz jeszcze wiele pięknych widoków — rzucił Peter Mudge, który był trochę realistą. — Jeśli chodzi o mnie, to z przyjemnością rozstawałem się z tym widokiem, ilekroć przepływałem tę trasę i cieszyłem się, gdy byliśmy już na Pacyfiku. Kiedyś dwukrotnie cofnęły nas stąd wiatry i przez sześć czy więcej tygodni tłukliśmy się między pływającymi lodowcami, a wichury były tak silne, że niemal nosy nam obrywały. Mam nadzieję, że tym razem unikniemy podobnych przyjemności.

— I ja mam nadzieję — odpowiedziałem. — Spodziewam się, że wkrótce będziemy mieli piękną pogodę i słoneczne niebo.

— Możliwe, chłopcze, liczymy na najlepsze — powiedział Mudge. — Jednak jeśli człek przeszedł w życiu tyle co ja, wie, że nie należy cieszyć się z zacisznego portu, zanim się do niego nie dotrze.

Jednak tym razem Mudge i jego towarzysze nie byli narażeni na przykrości: od dawna płynęli po wodach Pacyfiku.

Aż do 46 stopnia szerokości południowej pędziliśmy z rozwiniętymi żaglami, sterując bliżej lądu, niż, jak przypuszczałem, czyni się zazwyczaj. Tam trafiliśmy na ciszę. Tuż przedtem dojrzeliliśmy daleko na wschodzie żagiel, za którym w odległości czterdziestu czy pięćdziesięciu mil widniały wysokie szczyty Kordylierów, pokryte wiecznym śniegiem. Przypuszczam, że był to południowy skraj łańcucha górskiego ciągnącego się od Przesmyku Panamskiego przez całą długość kontynentu.

Przez cały dzień kołysało bardzo silnie. Po prostu odnosiłem wrażenie, że wysokie maszty zostaną wyrwane z okrętu. Dowódca chciał porozmawiać z kapitanem obcego statku. Być może opuścił on Anglię później od nas i posiadał najświeższe wiadomości z kraju. Rozkaz, aby spuścić i przygotować szalupę, został już wydany, gdy dowódca spojrzął na barometr i zauważył, że ciśnienie spadło, a na północnym zachodzie ukazało się pasmo chmur.

— Zamocować szalupę — rozkazał — będziemy mieli sztorm. Nie zdążyłaby wrócić.

Niedługo czekaliśmy. Minęło może pół godziny, a już pędziliśmy z dużą szybkością. Pomimo że nieśliśmy na masztach tylko silnie zarefowane topsle, przy przechyłach woda wlewała się na pokład przez zawietrzne luki odpływowe. Dowódca, który już dawniej był w tych stronach, aby nie stracić na czasie, polecił sterować do Port Penas, gdzie mogliśmy znaleźć osłonę na zawietrznej stronie wysepki i nawet schronić się w którymś z przytulnych portów kontynentu.

Dziób statku zmierzał na wschód. Żaglowiec, który obserwowaliśmy, szedł tym samym kursem, widocznie z podobnymi jak i my zamiarami. Domyśliliśmy się, że również zmierza na północ i walczy o to, aby sztorm nie cofnął go na południe. Mudge wyrażał zadowolenie, że nie popłynęliśmy przeciwnym halsem.

— Mogłoby się zdarzyć, że zniósłoby nas z powrotem dokoła Przyładka na Atlantyk. Nie każdy jednak kapitan ryzykowałby sterowanie na ląd. Musimy mieć się na baczności i rzucać sondę, aby nie wpaść na brzeg. Wygląda na to, że tamten statek zna drogę, będzie więc naszym przewodnikiem i miejmy nadzieję, że bez trudu znajdziemy schronienie.

Szybko doścignęliśmy obcy statek. Był to bark, a po budowie kadłuba określiliśmy go jako statek wielorybiczny z mórz południowych, a więc dobrze znający tutejsze wybrzeża.

Idąc dalej tym kursem ujrzeliśmy po lewej stronie przed nami długi łańcuch wysepki, ciągnący się od kontynentu. Stopniowo przesuwały się one coraz bardziej na nasz trawers. Płynęliśmy nadal za wielorybnikiem i wreszcie dotarliśmy do dużej zatoki, całkowicie osło-

niętej przed sztormem, buszującym na otwartym morzu.

Będąc już w bezpiecznym miejscu kapitan uznał, że nieostrożnością byłoby posuwać się dalej w głąb zatoki i kazał zwinać żagle. Stanęliśmy niedaleko od miejsca, gdzie niedawno rzucił kotwicę wielorybnik.

Roztaczający się przed nami krajobraz był chyba najdzikszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem: brzeg był obramowany ciemnymi skałami sterczącymi z wody, a nad nimi błyszczały wysokie szczyty gór; nie mogłem dostrzec żadnych oznak przebywania tu człowieka. Obserwowaliśmy brzegi przez lunety i tuż naprzeciw naszego okrętu wykryliśmy w ładzie wgłębienie, które mogło być wejściem do zatoczki lub ujściem rzeki. Oczywiście zapragnęliśmy to zbadać i liczyliśmy, że uda się nam wykonać ten zamiar następnego dnia.

Tymczasem kapitan rozkazał Mudge'owi i mnie popłynąć łodzią do kapitana wielorybniczego statku i poprosić o gazety — najświeższe, jakie posiada — w podarunku zaś dla niego polecił zabrać ćwiartkę baraniny i pomarańcze.

Kapitan wielorybnika powitał nas bardzo uprzejmie. Był to mężczyzna w średnim wieku, o ponurym spojrzeniu, ubrany w żakiet z długimi połami i kapelusz o szerokim rondzie. Dziękował nam za prezenty, szczególnie cenne dla jego żony. Zaprosił nas do kabiny, gdzie zastaliśmy ładną kobietę, której twarz wyrażała bezgraniczny smutek.

Kapitan natychmiast podał nam paczkę angielskich gazet z okresu kiedy już opuściliśmy kraj.

— Mam nadzieję, panowie, że zostaniecie na kolacji — zapraszał gospodarz. — Będzie podana natychmiast. Nie wiem tylko, czy potrafię was ugościć czymś lepszym niż macie na swoim okręcie.

Mudge odpowiadając kurtuazyjnie przyjął zaproszenie. Tuż przed kolacją weszło do kabiny dziewczę bardziej podobne do anioła czy baśniowej boginki, niż do żywej istoty. Mudge skłonił się a ona odpowiedziała mu uśmiechem i lekkim skinieniem głowy. Kapitan nie przedstawił nas, ani nie powiedział nam, kim była ta miła osóbka. Ja oczywiście przypuszczałem, że jest córką kapitana, lecz pomyliłem się. Dziewczę zwracało się do żony kapitana — pani Hudson. Nawiązała z nami konwersację i uderzyło mnie, że czyni wysiłki, aby zabić nie tyle nas, co panią Hudson.

Posiłek nie trwał długo i nie mieliśmy wiele okazji do rozmowy. Byłem jednak oczarowany głosem naszej współbiedniczki, odniosłem wrażenie, że była ona jakąś idealną istotą.

Po chwili Mudge spojrział na zegarek, serdecznie podziękował za przyjęcie i życząc paniom wszystkiego najlepszego pożegnał je. Niestety musiałem pójść za jego przykładem.

Pani Hudson miała łzy w oczach i pożegnała mnie słowami:

— Niechaj Bóg osłoni cię przed niebezpieczeństwami morza!

Towarzysząca jej panienka uśmiechała się tak słodko, że już marzyłem o następnej wizycie na „Hopewell”.

Na pokładzie Mudge rozmawiał z kapitanem, poszedłem więc w towarzystwie pierwszego oficera do naszej załogi, goszczonej przez marynarzy wielorybnika.

— Pani Hudson wydaje się cierpieć na melancholię — zagadnąłem swego towarzysza.

— Ma po temu powody — odpowiedział oficer. — Nie może pogodzić się z utratą jedynego syna, który przed paru laty zginął na tych morzach. To smutna sprawa. Chłopiec był odważnym dzieckiem, ulubieńcem całej załogi. Łodzie kapitana, moja i drugiego oficera odpłynęły w pogoni za wielorybami, a z drugiej strony statku ukazały się gejzery wody wyrzucane przez jeszcze jednego zwierza. Spuszczono łódź trzeciego oficera. Synek kapitana widząc, że matka była pod pokładem, poprosił, aby go zabrano do łodzi. Trzeci oficer zamiast odmówić, lekkomyślnie wziął go ze sobą, zanim sternik czy ktokolwiek inny zdążył zobaczyć, co się dzieje i zaoponować. W rzeczywistości nikt na pokładzie o tym nie wiedział. Łódź odbiła i właśnie wtedy obserwator na bocianim gnieździe dał znak, że jedna z łodzi trafiła wieloryba. Sternik oczywiście wyszedł z dryfu i ruszył w tamtą stronę.

Zacząła się pogoń za łodzią, którą wieloryb odholował przeszło trzy mile; a potem długo toczyła się walka, zanim bestia została uśmiercona. Gdy stanęliśmy obok łodzi, było już ciemno. Pogoda zepsuła się, zaczął dąć silny wiatr podnosząc falę.

Nie zapomnę widoku pani Hudson szukającej swego jedynaka. Ojciec był również w strasliwym stanie. Wreszcie jeden z chłopców, który przedtem bał się odezwać, wyznał, że widział malca na ręku u trzeciego oficera tuż przed odpłynięciem jego łodzi, ale co było dalej, nie wiedział, gdyż zszedł pod pokład.

Natychmiast odcięliśmy liny, którymi był przycumowany do nas wieloryb i pożeglowaliśmy w kierunku, gdzie mieliśmy nadzieję spotkania zaginionych. Na takielunku powiesiliśmy latarnie i strzelaliśmy z armatek, aby wskazać naszą pozycję.

Pogoda pogarszała się coraz bardziej. Przy tak wysokiej fali łodzi groziło poważne niebezpieczeństwo.

Krażyliśmy po łowisku przez całą noc bez wyników. Po wschodzie słońca nie ustaliliśmy w poszukiwaniach — również bezskutecznych. Około południa wiatr przycichł i chociaż widzieliśmy fontanny wielorybich oddechów, kapitan nie posyłał łodzi na polowanie. Chociaż żał nam było tylu straconych okazji, jednak nikt nie miał serca domagać się od kapitana, aby rozpoczął polowanie. Większą część tygodnia spędziliśmy na poszukiwaniach. Załoga zaczęła szemrać. Uważałem więc za swój obowiązek przypomnieć kapitanowi o celu naszej podróży. Ze złamanym sercem przystąpił do polowań. Dotychczas nie natrafiono na ślad zaginionego dziecka. Prawdopodobnie trzeci oficer trafił harpunem wieloryba, nie mając jednak doświadczenia przegrał walkę i łódź jego została rozbita w drzazgi lub wciągnięta pod wodę, zanim zdążono przerąbać linę.

— Rzeczywiście smutna historia — rzekłem. — Nie dziwię się teraz melancholii pani Hudson. A kim jest owa młoda dama? — spytałem.

— Tyle tylko mogę powiedzieć — odparł oficer — że przybyła na statek wieczorem, tuż przed wyruszeniem w rejs. Do tego czasu nikt z nas o niej nigdy nie słyszał. Ani nasz kapitan, ani pani Hudson nie uważali za stosowne cokolwiek nam wyjaśniać, panienka zaś, chociaż rozmawia przy stole, na pokładzie nie uroni słowa.

Moje zainteresowanie młodą damą wzrosło jeszcze bardziej. Dojrzałem ją na rufie statku, gdy odbiliśmy od jego burty. Skłoniłem się zdejmując czapkę. Odpowiedziała, powiewając w moją stronę chusteczką.

Następnego dnia sztorm szalał dalej. Korzystając z tego grupa złożona z kapitana, porucznika, Petera Mudge, Tommy Pecka i mnie udała się na brzeg.

Wąskie skały sterczące obok cieśninki, którą oglądaliśmy z okrętu, stwarzały wrażenie, że jest ona znacznie bliżej, niż była w istocie. Po długim wiosłowaniu weszliśmy w wąskie przejście pomiędzy wysokimi skałami, całkowicie pozbawionymi drzew. W istocie nie było tam kawałka przestrzeni, gdzie mogłyby zapaść korzenie. Cieśnina stopniowo rozszerzała się i wpłynęliśmy do obszernego basenu, którego brzegi pokrywała przebogata roślinność, wspinająca się po zboczach otaczających nas gór. Ciemne skałki wyglądały spośród drzew, a szczyty gór pokrywały błyszczące czapy śniegu. Kapitan mierzył głębokość i stwierdził, że mogły tu zawinąć nawet największe statki. Można tu było nie tylko stać na kotwicy, lecz nawet cumować do drzew, choćby na morzu szalał najstraszliwszy wichur. Zatoczka była bezpieczna jak dok.

Popłynęliśmy wzdłuż brzegów, lecz nie mogliśmy znaleźć miejsca dogodnego do lądowania. Właściwie to wychodziliśmy na ląd dwa czy trzy razy, lecz za każdym razem udawało się nam odejść od brzegu nie dalej jak na parę jardów. Prawdopodobnie po tych skałach, porośniętych lasem, nie stąpała jeszcze ludzka noga. Nie słyszeliśmy nawet świergotu ptaków, nie widzieliśmy śladów życia — panowała tu cisza i pustka. Powierzchnię ziemi tworzyły zwały zmuszającego drewna pokrytego różnorodnymi mchami i porostami. Pnie zwalone wichurą, podcięte wiekiem czy chorobą, sterczały we wszystkich kierunkach, następne pokole-

nia mające kiedyś podzielić los swych żywicieli wyrastały z tej masy, dumnie wznosiły zielone, pełne życia korony.

— Chodźcie! — wykrzyknął kapitan — nie damy się. Musimy jakoś znaleźć drogę przez tę puszcę. — I łódź jeszcze raz dobiła do brzegu.

— Za mną! — zawołał kapitan i wyskoczył na ląd, a raczej na pień drzewa. — Bierzcie ze mnie przykład! — W następnej chwili przewrócił się i zniknął.

Skoczyliśmy za nim. Nogi kapitana sterczały do góry, a głowa i tułów tkwiły w wilgotnej masie z drewna i mchu. Udało się nam wyciągnąć go. Granatowy mundur zmienił kolor na brudnozielony. Ponownie zaczęły się próby. Tym razem kapitan chciał przejść po zdrowo wyglądającym pniu. Tommy pragnął dotrzymać mu kroku. Jednak obydwaj zapadli się znów głęboko w próchno i mchy. Tommy'ego ledwieśmy wyciągnęli i kapitan klnąc nasze, jak powiadał tchórzostwo, stracił ochotę do wycieczki.

Wsiedliśmy do łodzi w nadziei, że może jednak znajdziemy dogodniejszy teren do rozpoczęcia górskiej wyprawy. Na krańcu basenu odkryliśmy wpadający doń strumień. Ruszyliśmy pod prąd między leśną gęstwiną aż do miejsca, gdzie na jednym z brzegów dojrzeliliśmy kamieniste wgłębienie, po którym kiedyś spływała woda. W górze rzeki szumiał niewielki wodospad i podróż łodzią była niemożliwa. Wylądowaliśmy więc na kamienistym ganku i jeszcze raz ponowiliśmy próbę wspinaczki. Teren był taki sam jak poprzednio.

Powoli, lecz stale posuwaliśmy się w górę. Pas lasu, dzielący nas od skał, był coraz węższy. Po wyjściu z lasu z większą już łatwością zśliśmy po gąbczastym mchu przesyconym wodą. Wszędzie płynęły małe strumyczki biorące początek w śnieżnych czapach na szczytach. Po długiej wspinaczce dotarliśmy do śniegów, początkowo zupełnie miękkich, lecz w miarę dalszego marszu pod górę coraz bardziej zmarzniętych i skrzypiących pod nogami. Słońce odbite od białej powierzchni dokuczliwie raziło oczy. Postanowiliśmy dotrzeć do szczytu, skąd rozciągać się musiał wspaniały widok na morze i wyspę.

Na szczycie szalała wichura. Śnieżny sztorm oślepił nas i w pośpiechu szukaliśmy drogi odwrotu, aby uniknąć śmierci. Ślady wspinaczki zostały zatarte, a po krótkiej chwili zorientowaliśmy się, że zabłądziliśmy. Szedłem nieco w przodzie przed resztą grupy i dostrzegłem gładką płaszczyznę śniegu, po której miałem ochotę szybko zjechać w dół. Zawołałem towarzyszy i nie czekając na nich zacząłem zjazd.

— To przyjemne i łatwe — krzyknąłem — chodźcie!

Zsunąłem się może już ze sto jardów w dół, gdy w nieco bardziej przejrzystym powietrzu dostrzegłem przed sobą skały. Pamiętałem, że ode mnie odgradzała je głęboka przepaść. Jeżeli nie zdołam zahamować pędu i stanąć — zginę. Darłem śnieg rękoma, wbijałem się weń nogami, lecz nadal sunąłem w dół. Nad sobą usłyszałem wesoły śmiech. Tommy, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, sunął moim śladem. Wołałem do niego, aby zatrzymał się o ile potrafi, ale on nie rozumiał, o co mi chodziło. Na nieszczęście nie mogłem dostrzec przed sobą żadnego drzewa czy kamienia, którego mógłbym się uchwycić. Byłem już nie dalej jak pięćdziesiąt jardów od przepaści. Zrobiłem jeszcze jeden szaleńczy wysiłek, wbiłem nogi głęboko w cienki śnieg i wparłem je w skałę. Tommy był coraz bliżej. Gdy mijał mnie, pochwytiłem go za nogę. Oburzony pytał, czemu to uczyniłem. Do tej chwili nie zauważył przepaści. Teraz dojrzał ją. Wspólnie ostrzegaliśmy krzykiem resztę naszej grupy. Towarzyszom naszym udało się skrócić bardziej w lewo, gdzie stok był łagodniejszy, i stanąć. Dopełziliśmy do nich na czworakach. Minęło bezpośrednie niebezpieczeństwo, lecz byliśmy bardzo zmęczeni, zanim dotarliśmy z powrotem do łodzi.

Początkowo istniał projekt złożenia drugiej wizyty na statku wielorybniczym, lecz godzina była późna i powróciliśmy na okręt. Nie byłem z tego zadowolony, gdyż miałem nadzieję, że zobaczę uroczą towarzyszkę pani Hudson. Pocieszałem się, że będę miał do tego okazję następnego dnia.

Jednak nocą sztorm ucichł i gdy wyszedłem na pokład, ujrzałem, że wielorybnik pod

pełnymi żaglami wychodzi z naszego portu. Ruszyliśmy jego śladem, ale już nie było okazji, aby zetknąć się z nim. Nasz kurs skręcał na północ. Przed nami wyłoniły się z morza oglądane niedawno szczyty Kordylierów. Zawinęliśmy do Valparaiso. Możliwe, że to miasto jest rajem dla pcheł, ale w żadnym wypadku nie może nim być dla ludzi o wyrobionym smaku. Klimat ma przyjemny, o tym nie ma co wątpić, za to okolica jest jałowa i monotonna, a roślinność na wzgórzach ogranicza się do na wpół zeschniętych kaktusów. Tylko w dolinach i na stepie widywaliśmy sady owocowe i kwitnące krzewy. Aby dopełnić opisu, powiem, że miasto tworzą białe domki rozrzucone na trzech wzgórzach oddzielonych od siebie głębokimi wąwozami. Wzgórza nazwane są po żeglarsku: Fok-górka, Grot-górka i Bezan-górka.

Opuściliśmy Valparaiso i żeglowaliśmy po oceanie. Pewnego ranka podczas mojej wachty rozległ się okrzyk: „Łąd przed nami!” Ja jednak nie mogłem nic dostrzec.

— Wkrótce ujrzemy łąd z pokładu — objaśnił Mudge — oczywiście jeśli będziesz uważał.

Okręt sunąc po falach unosił się wysoko i opadał wraz z nimi. I oto gdy byliśmy na wierzchołku fali, dostrzegłem coś, co zrobiło wrażenie skupionej flotyli statków rybackich stojących na kotwicy. Po chwili statki zniknęły. Na następnej fali znów dojrzałem grupy masztów i w miarę naszego zbliżania się rozpoznałem palmy kokosowe i pandanowce. Z bliska widzieliśmy nawet za białą plażą wąski skrawek ładu o kolorze gliny, otaczający błękitną lagunę, idealnie gładką, chociaż od strony oceanu biły o łąd potężne fale przyboju. Najwyższy punkt wyspy wychylał się z wody nie więcej niż dziesięć, dwanaście stóp. Wyspa miała około ośmiu mil długości i półtorej mili szerokości.

Przy zbliżaniu się do ładu próbowaliśmy mierzyć głębokość, jednak sonda nie sięgała do dna. Dopiero tuż przy brzegu ołowianka stanęła na dziewięćdziesięciu sążniach, po chwili na siedemdziesięciu — co świadczyło, że wyspa jest szczytem podwodnej góry. Góry te były przeważnie pochodzenia wulkanicznego. Wierzchołki wygasłych wulkanów otworzyły bazę dla rozwoju kolonii koralowych, na których z kolei dzięki erozji nadwodnych części rafy tworzyła się piaszczysta plaża. Piasek przemieszany z wyrzuconymi przez morze glonami, wodorostami i zwierzętami — zmienił się w glebę.

Wiele jest hipotez, w jaki sposób rośliny zawędrowały na te pustynne wysepki, sterujące na środku oceanu. Fakt, że widok ich radował oko zielonością żywą i bujną. Jednak ja patrzyłem na wyspy pod innym kątem.

— Tak, tak, zawdzięczać im będziemy wszystko prócz przyjemnego urozmaicenia podróży — mówiłem do Mudge'a. — Jeśli przyjdzie nam żeglować przez morza utkane owymi rafami, będziemy musieli dobrze wypatrywać oczy, aby nie osiąść na jednej z nich.

— Masz rację — odparł Mudge. — Archipelagi rozproszone są na przestrzeni co najmniej dwóch tysięcy mil, więc będziemy mogli czuć się wybrańcami losu, jeśli przeptyniemy wśród nich, nie zaczepiając kilem żadnej rafy.

Okręt nasz stanął po zawietrznej stronie wyspy. Spuściliśmy szalupe. Porucznik, Mudge i ja popłynęliśmy na łąd, aby nawiązać kontakt z jego mieszkańcami. Zabraliśmy ze sobą różnego rodzaju drobiazgi, jak paciorki, lusterka i inne ozdoby. Wieźliśmy te przedmioty z kraju, aby wymieniać je z tubylcami lub rozdawać je, gdyby zaszła potrzeba zjednięcia dzikusów.

Sterowaliśmy w stronę plaży, na której ukazała się grupka ludzi zbrojnych w długie dzidy i maczugi; wymachiwali nimi tak groźnie, jak by chcieli odpędzić nas od wyspy. Zabraliśmy ze sobą Dicki Popo, w nadziei, że gdy tubylcy dojrzą wśród nas czarnego, nabiorą większego zaufania.

Porucznik z daleka pokazywał paciorki i inne błyskotki. Nie chciał narażać ludzi i łodzi, rzucił więc niektóre przedmioty na brzeg. Wyspiarze zebrali je pośpiesznie, lecz nie przestali wrzeszczeć na całe gardło i grozić nam bronią. Nie rzucali jednak oszczepami, ani nie zaczynały kroków wojennych. Trzymaliśmy się więc blisko brzegu, licząc, że prezenty przekonają

rozkrzyczaną bandę o naszych przyjaznych zamiarach.

Uczyniliśmy wszystko co w naszej mocy, aby zjednać sobie dzikusów, ale ci za każdym razem gdy łódź zbliżała się do brzegu, przybierali zdecydowaną postawę, nie chcąc dopuścić do naszego lądowania.

W pewnej odległości od wojowników stała inna grupa wyspiarzy, z wyraźnym zainteresowaniem obserwująca zajście. Jeden spośród nich miotał się i wyrywał trzymającym go towarzyszom, jak by chciał pobiec w naszą stronę. Stojem, a raczej brakiem stroju nie różnił się od reszty; sądząc po jego zachowaniu, był po prostu szaleńcem.

Ponieważ dowódca wydał rozkaz, abyśmy nie stosowali przemocy i nie forsowali plaży, porucznik w przekonaniu, że nie zdołamy dotrzeć spokojnie do brzegu, zawrócił łódź do okrętu.

Szaleniec, którego obserwowaliśmy nadal, wyrwał się swym opiekunom, przemknął między innymi, klucząc dopadł brzegu, skoczył do morza i płynął ku nam, rozpaczliwie prując wodę ramionami. Płynął nie bacząc na to, że świsnęło mu nad głową kilka dzid. Pan Worthy rozkazał zrobić zwrot.

— Jestem szczęśliwy, że dostałem się między was — rzekł po angielsku, ku naszemu zdumieniu, wyłowiony mężczyzna.

— Kim jesteś, przyjacielu? — indagował pan Worthy.

— Jestem Kanaka — padła odpowiedź, co oznaczało, że pochodzi z wysp Sandwich *.

Po przybyciu na okręt Kanaka opowiadał nam, jak podczas sztormu został zmyty z pokładu statku, jak przez całą noc walczył z falami i tylko dzięki temu, że pochodził z Hawajów, a więc był świetnym pływakiem, dotarł do wyspy. Był zupełnie wyczerpany i ukrywał się, gdyż tubylcy na pewno by go zabili. Przyszedł do ich wioski dopiero wtedy, gdy poczuł się w pełni sił. Wówczas korzystając z tego, że gospodarze wioski rozumieli jego język, wygłosił przemówienie, zdobył ich zaufanie i zaczął uczyć ich pożytecznych rzeczy, których nie znali. Ludność wioski polubiła go i pragnęła, aby z nią pozostał.

Znał jako tako angielski i chociaż sam niewiele wyrósł ponad poziom cywilizacji wyspiarzy, mówił o nich z pogardą: „To głupie dzikusy”.

Porucznik dopytywał się o statek, z którego Kanakę porwały fale; w odpowiedzi słyszał jedynie powtarzane w kółko te same wyrazy:

— Zły! Niedobry statek!

Doszlśmy do wniosku, że musiał to być statek piracki lub trudniący się porywaniem wyspiarzy do pracy w kopalniach Peru. Już wcześniej, w Valparaiso doszły nas słuchy o takich statkach.

Kanaka pracował kiedyś na statku wielorybniczym. Zdezerterował w jednym z portów peruwiańskich i wstąpił na statek udający się na wyspy Pacyfiku. W ten sposób chciał powrócić do swej wioski. Nazywał się Tamaku. Szybko zawarł przyjaźń z Dicki Popo. Obydwaj byli bardzo pracowici, a ponadto Tamaku miał służyć nam jako tłumacz w rozmowach z Polinezyjczykami, gdyż język hawajski niewiele różnił się od dialektów używanych na innych archipelagach rozrzuconych po oceanie.

Byliśmy niezmiernie radzi, gdy minęliśmy Archipelag Niski. Trudna byłaby sprawa, gdyby tam przychwycił nas sztorm. Niektóre wysepki można było dojrzeć dopiero z małej odległości i nawet przy dobrej pogodzie zachowywano nadzwyczajną uwagę i czujność, aby nie osiąść na rozlicznych a zdrażliwych rafach.

Obserwatorzy stale siedzieli na górnej rei, na szczycie fokmasztu, a często na końcu bukszprytu, ponieważ na gładkiej wodzie obecność raf można było rozpoznać tylko po ciemniejszym kolorze morza. Nawet po minięciu archipelagu prowadziliśmy intensywną obserwację, wypatrując nie tylko wysp, lecz także statków „werbowniczych”, o których opowiadał Tamaku: Nasz kapitan miał wielką ochotę zapolować na nie.

* Stara nazwa wysp Hawajskich. (Przyp. tłumacza).

Pewnej nocy żeglowaliśmy pełnym wiatrem pod wszystkimi płótnami. Chmury zakrywały gwiazdy i dął dość silny wiatr. Na dziobie rozległo się wołanie: „Łąd, łąd! Łąd przed nami po lewej!” Po chwili następny okrzyk: „Łąd przed nami!” Nie wiadomo było, jak niebezpieczne rafy leżą na naszym kursie.

— Ster w prawo na burtę — rozkazał oficer wachtowy. — Brasować reje! Wszyscy na pokład! — padały dalsze rozkazy. Okręt silnie przechylił się na bok i bezzwłocznie należało zarefować żagle. Istniała obawa, że możemy stracić jeśli nie maszty, to reje.

Ludzie pracowali już na rejach, gdy rozległ się głośny trzask i łopot. Pękł szot jednego z żagli i ciężkie płótno, szarpane przez wiatr, groziło śmiercią wszystkim w jego zasięgu.

W tej samej chwili usłyszałem wrzask, a z rufy okrzyk: — Człowiek za burtą!

Nie mogliśmy mu nic pomóc. Okrętowi, jeśli nie minie leżącego przed jego dziobem łądu, groziło rozbicie.

Jeden z moich kolegów, Tomek Peck, nie namyślając się, błyskawicznie przeciął linę bojki ratowniczej i rzucił ją w morze. Czy Tomek zapomniał pociągnąć zapalnik tarciowej świecy sygnalizacyjnej, czy też urządzenie było zepsute, pozostało faktem, że bojka padając do wody nie zaświeciła.

Mijały minuty pełne napięcia, podczas których okręt przeorywał swą drogę przez wzburzone, czarne fale rozbijające się w kaskadach piany o rafy na zawietrznej.

Długo wyczekiwaliśmy na chwilę, kiedy lewą burtą miniemy cypel odgradzający nas od otwartej przestrzeni oceanu. Wydawało się, że sterujemy już na czystą wodę, ale kapitan nie ryzykował i trzymał okręt ostro pod wiatr, aby jak najdalej odejść od niebezpiecznego miejsca. Nurzaliśmy się lewą burtą w morzu, fale zalewały pół pokładu, omywały zręby luków. Lada chwila mogliśmy się przewrócić. Załoga umocowała już zerwany szot, a na górnych żaglach wzięto po dwa refy.

Z uczuciem ulgi powitaliśmy rozkaz przebrasowania rei. Zatoczyliśmy łuk w lewo i znów pędziliśmy pełnym wiatrem, zostawiając za rufą czarną smugę łądu. Odniosłem wrażenie, że nagle nastąpiła cisza — tak lekko i gładko gnaliśmy po oceanie.

Wszyscy z niepokojem dopytywali się, kto zginął za burtą. Sprawdzono listę załogi. Każdy marynarz odpowiadał na dźwięk swego nazwiska. Nikt nie zawołał, gdy wyczytano Dicki Popo. Zginął.

Tamaku wyrażał swój żal:

— O, Popo, Popo, czemuś zniknął za burtą? Nie pływasz jak Kanaka, czy dotrzesz do brzegu? Wiem, że jesteś na dnie oceanu, o!

Byliśmy przygnębieni, że biedne chłopisko wypadło za burtę, a my nie mogliśmy udzielić mu pomocy. W innych warunkach można by go z pewnością ocalić. Fale, chociaż wysokie, nie były aż tak wzburzone, aby nie można było spuścić szalupy. Teraz jednak nie mogliśmy zawrócić. Tamaku miał rację. Popo musiał zginąć.

Następnym lądem, jaki dojrzeliliśmy, był Archipelag Markizy. Należał on do Francuzów, którzy jednak nie założyli kolonii na tych pięknych i żyznych wyspach.

Po długiej podróży dotarliśmy do Hawajów i zarzuciliśmy kotwicę u brzegów Oahu w porcie Honolulu. Oczywiście miasto miało wówczas wygląd zupełnie inny niż obecnie. Zachwycaliśmy się niezwykłym pięknem widoków bardziej niż osławionym urokiem kobiet. Wyspy były już wielokrotnie opisywane, ograniczę się więc do kilku informacji. Archipelag składa się z jedenastu wysp *. Pierwotna nazwa największej wyspy Hawajów brzmiała Owwhyhee. Wznoszą się na niej dwa wysokie wulkaniczne szczyty: Mauna Kea i Mauna Loa, sięgające ponad trzysta tysięcy stóp nad poziom morza. Krater Mauna Loa jest czynny i stale błyska ogniem, podczas gdy góra rzuca na ocean rozległy cień.

Po opuszczeniu Honolulu rzuciliśmy kotwicę w zatoce Kealakeaba, pamiętnej dlatego, że zginął tu kapitan Cook. Wchodząc do zatoki z daleka widzieliśmy potężny maszyw kopuły

* Archipelag Hawajski liczy w istocie 20 wysp. (Przyp. tłumacza).

Mauna Loa. Cała okolica miała charakterystyczne cechy pochodzenia wulkanicznego. Urwiste skały obramowywały zatokę, a jej północne brzegi, utworzone z wulkanicznych kamieni, świetnie nadawały się do lądowania. Właśnie tu został zabity kapitan Cook, uciekający do swej łodzi. Parę jardów od plaży rośnie palma kokosowa, pod którą, jak głosi podanie, wielki żeglarz wyzionął ducha. Załoga „Imogene” ścięła czubek drzewa, a do dolnej części pnia kapitan tego okrętu kazał przybić miedzianą tablicę z napisem:

TU ZGINAŁ KAPITAN JAMES COOK
ZNAKOMITY PODRÓŻNIK,
KTÓRY ODKRYŁ TE WYSPY
A. D. 1778.

Tamaku spędził cały czas postoju na lądzie. Powrócił jednak i wyraził chęć pozostania na okręcie.

Znów pożeglowaliśmy na południe. Kapitan dostał polecenie odwiedzenia archipelagów w zachodniej części Pacyfiku. Przedtem postanowił zbadać wyspy, przy których przeżyliśmy pamiętną noc w naszej podróży na północ.

W trakcie opowiadania niewiele powiedziałem o moich towarzyszach. Dotychczas wymieniałem pana Worthy, Petera Mudge, który był instruktorem wszystkich praktykantów i moim opiekunem, oraz Tomka Pecka, mojego najbliższego kolegę. Płynął z nami jeszcze jeden oficer Alfred Stanford, bardzo rycerski, przyjemny człowiek, który zmarł w podróży.

W naszym pomieszczeniu pod pokładem znajdowali się także: lekarz, asystent szturmana, pisarz kapitana i płatnik.

Moim najbliższym przyjacielem spośród marynarzy był Dick Tillard, stary sternik. Korzystałem z jego doświadczenia, aby poznawać praktykę morską; dzielił się ze mną swą wiedzą, zadowolony, że może kogoś uczyć. Spędził on na morzu całe życie i nie wiadomo, czy bywał na lądzie dłużej niż miesiąc. Był również swego rodzaju filozofem, głęboko wierzącym w Opatrzność, ale jeśli się coś nie udawało, mawiał:

— To nasza wina, chłopcy, a nie boska.

Mało mogę powiedzieć o kapitanie, podporuczniku, lekarzu czy płatniku — ludziach uczciwych, lecz nie wyróżniających się intelektem. Można uważać, że życie w tych warunkach płynęło stosunkowo przyjemnie, ale muszę wyznać, że nikt nie powinien szukać raj u na pokładzie okrętu wojennego.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o bosmanie, osobie na pokładzie bardzo ważnej. W każdym razie tak uważał pan Fletcher Yallop i może dlatego kazał tytułować się pełnym nazwiskiem. Jeśli któryś z nas, żółtodziobów, chciał go o coś prosić, zawsze dopełniał tej reguły, tylko dowódca i oficerowie wołali go po prostu: panie Yallop. Bosman nie tolerował tego u marynarzy, a gdy ktoś pośledniej rangi odezwał się w ten sposób, wybuchał:

— Nazywam się pan Fletcher Yallop. Życzę sobie, abyś zawsze zwracał się do mnie we właściwej i należytej formie, albowiem może zaistnieć fakt, że koniec liny i twoje plecy nawiążą bliższy kontakt.

Wyjaśnił mi kiedyś, dlaczego tak postępuje.

— Widzi pan, panie Rayner, spodziewam się, że zanim umrę, zdobędę dużą fortunę, a wówczas będę oczywiście nazywał się Wielce Szanowny Pan Fletcher Yallop. Na razie nie mogę żądać, aby tak się do mnie zwracano, bo jestem zwykłym bosmanem, ale lubię ten dźwięk, to podtrzymuje mnie na duchu. Gdy jestem w złym nastroju, powtarzam sobie: „Wielce Szanowny Panie Fletcher Yallop, bądź mężczyzną, bądź godzien swej przyszłej pozycji w wyższym towarzystwie, gdy zajmiesz swe miejsce wśród szlachetnie urodzonych, a może nawet po nazwisku będziesz umieszczał litery M.P. *.” Potem natychmiast znów jestem

* Member of Parliament — poseł w angielskiej Izbie Gmin. (Przyp. tłumacza).

sobą i cierpliwie znoszę trudy i troski na jakie jest skazany chorąży marynarki. Prawdę mówiąc, chciałbym aby zostało to między nami, możliwe, że zostanę baronetem. Zawsze z bijącym sercem przeglądam „Gazette” * i sprawdzam, czy osoba, której mam być spadkobiercą, nie została nobilitowana.

Odważyłem się spytać bosmana, na czym opiera swoje nadzieje.

— To tajemnica, panie Rayner — odpowiedział — tajemnica, której nie mogę zdradzić nawet panu; jestem jednak przekonany, że ufasz moim słowom. Na razie musi to wystarczyć. Życzę sobie, aby sprawa ta nie stała się tematem rozmów wśród pańskich towarzyszy. Nie odpowiadają mi duchowo tak jak pan.

Przekonałem się wkrótce po tej rozmowie, że pan Yallop zwierzał swe tajemnice również Tomkowi Peck, chociaż nie odważył się mówić na ich temat z Mudgem czy Stanfordem. Porównując z Tomkiem to wszystko, o czym mówił pan Yallop, doszliśmy do wniosku, że bosman był maniakiem, co prawda nieszkodliwym, bo jego marzenia dawały mu szalone zadowolenie i w żadnym wypadku nie wpływały ujemnie na pełnienie obowiązków. Niech zatem bawi się tym, co mu sprawia przyjemność. W istocie był on świetnym bosmanem; z dużą łatwością też posługiwał się końcem liny, gdy któryś z chłopców lub zwykłych majtków zanieczyścił robotę. Nikt by nie przypuszczał, że w tym barczystym człowieku, o twarzy obramowanej olbrzymimi bokobrodami, drzemie krzta romantyzmu. Miał sokole oko i opaloną, osmaganą wichrami twarz, lecz posiadał też serce jak wszyscy inni ludzie.

Nic nie zakłóciło naszej żeglugi do wyspy, o której brzegi omal nie rozbiliśmy się. Stale mierząc głębokość, znaleźliśmy dobre dla zakotwiczenia miejsce. Szeroką zatokę z jednej strony osłaniał wysoki cypel, a z drugiej rafa. Kapitan miał zamiar zbadać wyspę i korzystając ze sprzyjającej pogody rozkazał przygotować swój gig. Ku mojemu zadowoleniu polecił mi być gotowym do wyprawy na ląd; Zabraliśmy żywności na cały dzień, gdyż nie spodziewaliśmy się powrócić wcześniej niż przed wieczorem.

Pierwszy oficer i szturman badali zatokę i najbliższe brzegi, a my powiosłowaliśmy na przeciwległy skraj wyspy. Na razie nie widzieliśmy tubylców, jednak obecność palm kokosowych wskazywała, że wyspa jest zamieszkała. Środek wyspy wznosił się wysoko ponad morze, co pozwalało sądzić, że jest ona pochodzenia wulkanicznego. Szczyt miał kształt wulkanu, zapewne wygasłego, gdyż nie mogliśmy dostrzec dymu.

Płynęliśmy trzy lub cztery godziny w znacznej od brzegu odległości, aby uniknąć raf. Kapitan miał zamiar opłynąć wyspę w ciągu dnia. Minęliśmy właśnie jeden z cyplów, gdy dostrzegliśmy małą pirogę z flagą na dziobie. Kapitan rozkazał wiosłować szybciej, aby tubylcy nie zdążyli nam uciec, chciał bowiem uzyskać od nich wiadomości. Tamaku był w naszej załodze i miał służyć nam jako tłumacz. Piroga stała na kotwicy i wydawało się, że jest pusta. Jednak gdy podpłynęliśmy bliżej, znad burty wyrżał człowiek. Widocznie dopiero nas zoczył. Patrzył na nas zdziwiony, lecz nie wołał ani nie wszczynął alarmu.

— Jak na wyspiarza ma bardzo jasną skórę — zauważył kapitan. — To chyba Europejczyk.

Chłopiec klęcząc podniósł coś z dna pirogi, wyciągał ku nam ręce w błagalny sposób. Kapitan, aby go nie przerazić, kazał podejść do pirogi od rufy i próbował dojrzeć, co chłopiec trzyma w ręku. W tej chwili wynurzyła się obok pirogi czarna jak smoła twarz. Był to Dicki Popo we własnej osobie. Twarz jego wyrażała zdziwienie, białe zęby błyskały w roześmianych od ucha do ucha ustach.

— O, kapitan i massa Rayner. Skąd tu? — wykrzykiwał. Opierał łokcie na burcie pirogi, starając się wydostać z wody.

Kapitan był tak zainteresowany białym chłopcem i perłami, jakie trzymał on w dłoniach, że nie poznał Dickiego Popo.

— Kim jesteś i skąd się tu wzięłeś? — pytał. Chłopiec tylko pokręcił głową, jak by nie

* Pismo, w którym ogłasza się oficjalne postanowienia rządu i parlamentu. (Przyp. tłumacza).

rozumiał. Nadal wyciągał napełnione perłami dłonie.

— On nie mówi po angielsku — odpowiedział Popo.

— Dicki Popo, i ty tu jesteś, mój chłopcze! — krzyknął kapitan.

Nie mogłem powstrzymać się od uściśnięcia dłoni Popo, tak bardzo byłem rad, że go oglądam.

— Tak, massa kapitan, ja nie utonąłem — odparł Murzyn.

— To oczywiste — mówił dowódca — ciekaw jestem, jak wybrnąłeś z opresji. Przede wszystkim jednak uspokój tego chłopca, gdyż wydaje się, że opanowało go straszliwe przerażenie. Powiedz mu, że jesteśmy przyjaciółmi i nie uczynimy mu nic złego.

Popo bardziej przy pomocy gestów niż słów szybko wypełnił polecenie.

— Któż to jest? — pytał kapitan. — Jego skóra jest równie biała jak nasza, nie sędzę, że to wyspiarz.

— On nie mówił, kim jest — odparł Popo — lecz z czasem może powie.

— Cóż, nie pozostaje nic innego jak czekać cierpliwie. Spytaj go, czy nie zechciałby nam towarzyszyć. Jeśli wyrazi zgodę, zabierzemy was do gigu, a pirogę weźmiemy na hol.

Po paru skomplikowanych gestach i niezrozumiałych słowach, jakie wymienili ze sobą biały chłopiec i Popo, obydwaj przeszli do naszej łodzi. Chłopiec wciąż trzymał w dłoniach perły i z chwilą gdy stanął w gigu, znów chciał ofiarować je kapitanowi, który tym razem przyjął je i po obejrzeniu schował do kieszeni. Ruszyliśmy w dalszą drogę z pirogą na holu.

Dowódca był zajęty opisywaniem brzegów i nic zwracał uwagi na chłopca. Za to ja nie traciłem czasu, próbując wydobyć od Popo historię jego uratowania, jak również wszelkie wiadomości dotyczące białego chłopca.

Z chwilą gdy Popo wpadł do morza, dojrzał bojkę ratunkową rzuconą przez Pecka, dopłynął do niej, i przywiązał ją mocno do siebie. Z uczuciem przerażenia widział, jak okręt oddala się, jednocześnie spostrzegł, że bojka dryfuje na brzeg. Bał się spienionych grzywaczy na rafach, zdawał sobie sprawę, że mogą go one roztrzaskać o skały. Nie tracił jednak ducha i liczył na najlepsze. Trzymał się bojki. Brzeg był coraz bliżej.

O świcie dzieliło go od plaży zaledwie kilka kabli. Ku swej wielkiej radości zobaczył, że znosi go na piaszczystą plażę. Przeciął linki, którymi przywiązał bojkę, i zdecydował się popłynąć. Bojkę bowiem odrzucałaby od brzegu powrotna fala; zresztą utrudniała ona ruchy.

Był już zdecydowany ruszyć wpław, gdy na plaży dojrzał grupę wyspiarzy, a wśród nich białego chłopca. Tubylcy patrzyli na niego obojętnie, lecz biały chłopiec zepchnął na wodę pirogę, wskoczył do niej i zaczął szybko wiosłować w jego stronę. Popo był przeświadczony, że zbliża się jako przyjaciel. Gdy piroga była już blisko, paru uderzeniami rąk dopłynął do niej. Wdrapał się do jej wnętrza, a chłopiec natychmiast powiosłował z powrotem do brzegu, szczęśliwie przewożąc Popo przez kipieli przy boju.

Popo został otoczony przez grono dzikusów o jasnobrązowej skórze, jakich widywaliśmy już przedtem. Z zaciekawieniem oglądali Murzyna, jak by sądzili, że pomalował się na czarno. Potem ustawili go obok białego chłopca i widząc takie krańcowości w kolorze skóry najwyraźniej cieszyli się, że są czymś pośrednim.

Popo był bardzo głodny i pokazywał na migi, że chętnie by coś zjadł. Jego nowy przyjaciel pobiegł więc do wioski i przyniósł pożywienie. Murzyn zorientował się wkrótce, że życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo, lecz za to będzie traktowany na równi z białym chłopcem jako niewolnik.

Wyspiarze zaprowadzili go do wioski złożonej z paru chat. Kobiety przygotowywały posiłek, kilku mężczyzn poszło polować na ptaki, a inni pracowali na plantacji taro.

Biały chłopiec zaprowadził Popo do jednej z chat, rozesłał matę i dał znak, że czarnoskóry przybysz może na niej spocząć. Popo, który dotychczas z trudem opanowywał senność, zasnął natychmiast.

Następnego dnia pogoda była spokojniejsza i mężczyźni wypłynęli na swoich pirogach.

Biały chłopiec i Murzyn zostali zabrani przez wodza wsi. Wyspiarze nurkowali w poszukiwaniu muszli perłowych. Biały chłopiec był jednym z najlepszych nurków. Odważnie skakał do wody z siatką i małym toporkiem w ręku. Siatka była przymocowana do łodzi sznurkiem, za pomocą którego wyciągano ją na powierzchnię. Za każdym razem była pełna. Na rozkaz wodza Popo również musiał nurkować, a chociaż był świetnym pływakiem, do nurkowania nie był nawykły. Na szczęście biały chłopiec pokazał mu, jak należy to robić. Po pewnym czasie Popo dawał sobie radę prawie tak dobrze jak jego towarzysz.

Podczas pobytu na wyspie widział trzy statki, które skupywały perły u wyspiarzy. Przy każdej takiej okazji tubylcy trzymali go wraz z białym chłopcem z dala od brzegu, tak że skontaktowanie się z załogami statków było niemożliwe.

Wizyty kupców kończyły się tym, że wszyscy mężczyźni byli dobrze podchmieleni i nasi przyjaciele, aby uniknąć nieprzyjemności, uciekali z wioski, co nie chroniło ich jednak od kar.

Popo uczył się języka swego towarzysza, który mówił inaczej niż tubylcy. Obydwaj mieli więc swój własny środek porozumiewania się.

Zaledwie w przeddzień naszego przybycia odpłynął kolejny statek kupiecki i męska połowa wioski była pijana.

Ostatnim razem wódz, gdy tylko wytrzeźwiał, zażądał od nich pereł, a nie otrzymawszy ich, pobił chłopców srodze. Dlatego tym razem wypłynęli sami i spotkaliśmy ich zajętych nurkowaniem.

Przez cały czas mojej rozmowy z Popo, biały chłopiec wpatrywał się w nas i widać było, że robi wysiłki, aby zrozumieć, co mówimy.

— Powiedz, Popo — spytałem — jesteś rad, że uciekłeś od dzikusów?

— Tak, massa, bardzo jestem rad — odpowiedział.

— A jak myślisz, czy twój towarzysz również? — dodałem spoglądając na chłopca.

— Tak, tak — odparł ten niespodzianie.

— A więc jesteś Anglikiem! — zawołałem. — Zrozumiałeś, co mówiłem.

— Ja też tak myślę — rzekł Popo.

Dowódca, słuchając naszej rozmowy, wezwał do siebie Tamaku i polecił, aby spróbował porozumieć się z chłopcem, który po wypowiedzeniu dwóch angielskich słów zawstydził się i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Tamaku natychmiast zaczął zasypywać go pytaniami, na które chłopiec odpowiadał tym samym, choć trochę inaczej brzmiącym językiem.

— Czy wiesz, w jaki sposób dostał się na wyspę? — pytał kapitan, gdy chłopiec skończył opowiadanie.

— On wie bardzo mało — tłumaczył Kanaka — przebywał tu bardzo długo, znaleźli go w łodzi na morzu, zabrali, uczynili niewolnikiem.

— Spytaj go o imię! Jak się nazywa? Tom, Dick, Jack czy Harry?

Chłopiec, ledwie padło to pytanie, zawołał:

— Ja Harry, moja imię Harry — widać było, że jest ledwie przytomny z wrażenia, jakie zrobiły na nim jego własne słowa.

— Cóż, mój Harry, nie potrafisz powiedzieć po angielsku czegoś więcej? Pamiętasz swoje imię, powiedz nam teraz coś o swym ojcu, o matce, o kimkolwiek z przyjaciół — perswadował mu kapitan.

— Matka, ojciec — powtórzył z wyraźnym zadowoleniem chłopiec, jakby słowa te były mu dobrze znane.

— Świetnie, mój chłopcze! — wykrzyknął kapitan, zadowolony z eksperymentu. — Powoli przypomnisz sobie więcej słów, zwłaszcza gdy wrócimy na okręt. Na razie nie złożymy wizyty twoim pijakom, abys mógł ich pożegnać.

Trudno powiedzieć, czy chłopiec zrozumiał go, ale w każdym razie uprzejmy ton kapi-

tana wzbudził w nim uczucie zaufania. Chłopak wyglądał teraz na całkiem szczęśliwego.

Ponieważ zostało nam tylko tyle czasu, aby opłynąć wyspę, kapitan nie decydował się na lądowanie. Poza tym wychodzenie na brzeg tak małej grupy jak nasza uważał za nieostrożne, gdyż tubylcy widząc, że uwolniliśmy ich niewolników, mogliby nas zaatakować.

Postępowanie kapitana bardzo dogadzało białemu chłopcu i Popo. Było oczywiste, że nie czuli sympatii do ludzi, wśród których mieszkali.

W ciągu dnia Harry często mówił do siebie: „Tak, tak, Harry ojciec — matka”. Wyglądało jakby rozkoszował się dawno zapomnianymi słowami. Potem wydało mi się, że powtarza cichutko słowa dziecinnego wiersza, lecz mówił niewyraźnie i niewiele mogłem zrozumieć

Przysłuchiwałem się każdemu słowu, które szeptał.

— Mam wrażenie, że po paru dniach będzie w stanie powiedzieć nam więcej o sobie — szepnął kapitan — na razie nie należy go niepokoić.

Na okręt wróciliśmy tuż przed zapadnięciem zmroku. Załoga, uradowana z powrotu Popo, witała go serdecznie. Harry wzbudził zrozumiałe zainteresowanie i każdy pragnął dowiedzieć się, jakie losy zagnały chłopca pomiędzy dzikusów. Oczywiście natychmiast po przybyciu na pokład wyposażyliśmy go we wszystko co potrzeba. Harry dostał spodnie, koszulę i kubrak. Wokół szyi owinęliśmy mu chustkę i na głowę włożyliśmy kapelusz z szerokimi kremami. Chłopiec nie sprzeciwiał się, gdy go ubierano, był raczej zadowolony, a Dick Tillard, który mu usługiwał, stwierdził, że Harry jest tak wystrojony na pewno nie po raz pierwszy.

Następnego dnia dowódca z oddziałem dobrze uzbrojonych marynarzy popłynął na wyspę. Zabrał ze sobą Tamaku, aby uzyskać wiadomości od wyspiarzy. Tubylcy byli widocznie przywykli do widoku białych i nie okazywali strachu. Dopytywali się, co uczyniono z ich niewolnikami i zażądali, aby obydwu zwrócono. Tamaku odparł, że jeden z nich należy do załogi okrętu, a drugi wyraził życzenie pozostania na pokładzie; żaden z nich nie będzie więc zwrócony. Dowódca okrętu ze swej strony obiecuje obdarzyć mieszkańców wioski darami, jeśli szczerze odpowiedzą, jak biały chłopiec dostał się na wyspę.

Wśród tubylców nastąpiła długa i burzliwa wymiana zdań, po czym stary wódz wystąpił naprzód i oświadczył, że jest gotów opowiedzieć prawdę.

— Przed paru laty — tłumaczył jego słowa Tamaku — on i jego ludzie płynęli do tej wyspy w dużej pirodze. Na morzu spotkali łódź z kilku Anglikami i małym chłopcem. Jednak wszyscy dorośli zmarli a chłopiec pozostał z wyspiarzami.

Tamaku podejrzewał, że dorosłych po prostu zabito. Oczywiście nie było sensu pytać go o to, gdyż wódz na pewno by zaprzeczył.

Dowódca po ukończeniu rozmów i zbadaniu wyspy kazał stawiać żagle. Popłynęliśmy na zachód.

ROZDZIAŁ III

Harry — członek naszej messy. Na kotwicy u wulkanicznej wyspy. Podróż szalupy wokół wyspy. Pogoń za statkiem wielorybniczym. Huragan. Wyrzuceni na rafy. Uszkodzenie szalupy. Orzechy kokosowe. W poszukiwaniu żywności. Wyspa ptaków. Organizacja obozu

Nie mogę powstrzymać się od opisanie naszej żeglugi na zachód po oceanie tak niewłaściwie zwanym — Spokojny. Oczywiście czasami jest on dość spokojny, gdy panuje długotrwała cisza. W takich chwilach leżeliśmy rozkoszując się słońcem. lub raczej prażeni jego promieniami, nie doznając ochłody nawet nocą. Mimo to zdrowie nam dopisywało. Dostateczne zapasy soku cytrusowego i jarzyn chroniły nas przed widmem szkorbutu.

Harry wkrótce został ulubieńcem załogi, gdyż nie bacząc na twardą szkołę, jaką mu dawali bezpośredni przełożeni, nie załamał się. Był wdzięczny za okazywaną mu uprzejmość, uczył się wszystkiego z zapałem i wkrótce osiągnął taki stopień cywilizacji jak wszyscy koledzy.

Bardzo prędko opanował język angielski, a raczej, należałoby powiedzieć, przypomniał go sobie. Tak bystro przyswajał słowa, że niepodobieństwem było, aby nie znał ich dawniej. W miarę tego zaczynał przypominać sobie przeszłość. Gdy potrafił już wyrazić swoje myśli, wspominał o takich zdarzeniach, że kapitan utwierdził się w swoich przypuszczeniach.

Polubiliśmy się z tym chłopcem. Nie sugerując mu niczego, często prosiłem, aby opowiadał o swoim dzieciństwie. Opisywał mi więc swoją matkę, którą oczywiście uważał za najpiękniejszą istotę na ziemi, a opis ten zgadzał się z urodą pani Hudson. Mówił o swoim ojcu jako o wielkim wodzu, co dowodził wielką załogą, a statek, na którym przebywał, uważał za znacznie większy od „Heroine”, o liczniejszej załodze i większej ilości łodzi. Opowiadał o olbrzymich rybach, jakie łowili ludzie jego ojca, o tym, jak cumowano je do burt statku, ćwiartowano i pieczono.

Wreszcie odnalazł w pamięci obraz, jak został zabrany do łodzi, po czym już nigdy nie zobaczył swego statku. Nie było wątpliwości — odnaleźliśmy zaginionego syna państwa Hudson.

Harry nie wspominał jednak o wymordowaniu załogi łodzi przez tubylców — jedno utkwiło mu w pamięci, że znalazł się wśród ciemnoskórych dzikusów, z którymi pozostał.

Prawdopodobnie w momencie opanowania łodzi przez wyspiarzy był nieprzytomny z wyczerpania i głodu i nie widział rozprawiania się z białymi.

Wszystkie swoje spostrzeżenia przekazałem kapitanowi. Zaczął on ponownie przepytować chłopca i doszedł do tego samego co i ja wniosku.

Natychmiast więc wyjawiał chłopcu jego nazwisko i przyrzekł, że nie będzie szczędził trudów, aby odnaleźć jego rodziców, którzy już zdążyli go opłakać. Zrobiło to na Harrym wstrząsające wrażenie. Później często zwierzał się, jak bardzo chciałby zobaczyć matkę i zapewniał, że ją i ojca poznałby natychmiast.

Dowódca nie miał już żadnych wątpliwości co do pochodzenia chłopca i spytał nas, czy nie przyjęlibyśmy go do kwatery praktykantów. Polecił nam, abyśmy dawali mu dobry przykład i uczyli postępować zgodnie z honorem.

Jednogłośnie zgodziliśmy się na propozycję kapitana i przyjęliśmy Harry'ego do naszego grona. Niektórzy członkowie załogi, a zwłaszcza Dick Tillard, zazdrościli chłopcu tego awansu.

Dowódca odbył rozmowę z Harrym, aby go pouczyć o zasadniczych sprawach, ale właściwie nie było to potrzebne, gdyż Harry robił wszystko, aby nas jak najdokładniej naśladować.

Rozpoczęliśmy z nim również naukę czytania i pisania. Odniosłem wrażenie, że Harry musiał kiedy i znać litery. Nie minął tydzień, a już potrafił odczytywać krótkie słowa. Jego wrodzona inteligencja i przyjemny charakter były oczywiste.

Wypatrywaliśmy na morzu żagli. Naszym najgorętszym życzeniem było spotkanie statku kapitana Hudsona. Wiedzieliśmy, że miał zamiar żeglować w tym samym co my kierunku — na zachód. Nie liczyliśmy natomiast na spotkanie chilijskich werbowników; ci prawdopodobnie swój proceder porywania robotników ograniczali do wschodnich archipelagów Pacyfiku.

Zbliżaliśmy się do regionów zamieszkałych przez rasy ludzi o skórze ciemnobrązowej. Odwiedziliśmy Samoa, zwane niegdyś wyspami Nawigatorскими, rozciągające się łańcuchem na przestrzeni trzystu pięćdziesięciu mil i leżące w pół drogi z Hawajów do Sydney. Wyspy były zamieszkałe przez brązowoskórych inteligentnych ludzi o cywilizacji znacznie wyższej niż można się było spodziewać.

W kilka dni po opuszczeniu Samoa ujrzeliśmy wysepkę. Kapitan stwierdził, że nie ma jej na mapie i musimy ją zbadać dokładniej. Wysepka leżała na północnym krańcu archipelagu Przyjaznego, czyli Tonga. Z daleka widzieliśmy łańcuch regularnych stożków. Niektóre z nich wyrastały prosto z wody, inne były otoczone niskimi skałami i plażami. Dostrzeżliśmy także liczne zatoczki. W otaczającej wyspę rafie koralowej znaleźliśmy dwa przejścia i wydało się, że przeprowadzenie okrętu do spokojnych zatoczek nie będzie przedstawiało trudności. Okręt sterował ku przejściu szerokości około jednej ósmej mili. Na takielunku czuwali obserwatorzy wypatrujący ukrytych raf, a sonda co chwila leciała za burtę mierząc głębokość. Dął lekki wiatr i dopiero przed wieczorem rzuciliśmy kotwicę. Szybko zapadł zmrok. Mieliśmy przed oczyma wspaniałą widok. Wulkan wyrzucał z krateru snop płomieni, a strumienie ognistej lawy spływały po zboczach stożka, przedzierając się ku naszej zatoce.

Od czasu do czasu słychać było głuchy grzmot, podobny do huku armat strzelających szybkim ogniem jedna po drugiej. Wachta na pokładzie twierdziła, że czuła drżenie okrętu, jak podczas trzęsienia ziemi. W pewnej chwili na pokład zaczął spadać deszcz popiołu. Dowódca uznał jednak, że nie grozi nam niebezpieczeństwo i zostaliśmy w zatoce.

Następnego ranka dowódca i szturman rozpoczęli przygotowania do badań wyspy. Mudge spytał mnie czy miałbym ochotę popłynąć łodzią wzdłuż brzegów. Oczywiście wyraziłem zgodę. Tomek i Harry również mieli ochotę na taką wyprawę, a Tillard, Tamaku i Popo dopełnili załogi. Mudge poszedł przygotowywać małą szalupę, a my zajęliśmy się żywnością i bronią. Zabraliśmy do łodzi pożywienie na cały dzień. Przygotowaliśmy cztery strzelby, a dla wszystkich członków załogi przynieśliśmy krótkie pałasze. Chociaż wyspa nie wyglądała na zamieszkałą i nie spodziewaliśmy się spotkać tubylców, to jednak strzelby mogły się przydać do polowania na ptaki, mieliśmy bowiem zamiar wylądować i przyrządzić sobie posiłek przy ognisku.

Przekonani, że czeka nas przyjemny dzień, odbiliśmy od okrętu. Wkrótce powiał mocniejszy wiatr, więc podnieśliśmy żagiel. Szybko popłynęliśmy wzdłuż brzegów. Mudge i ja opisywaliśmy dokładnie kontury brzegów i notowaliśmy odległości przebyte między charakterystycznymi punktami. W krótkim czasie dotarliśmy do przeciwległego krańca wyspy. Wówczas na morzu spostrzegłem żaglowiec. Wskazałem go oficerowi. Mudge spojrział nań przez lunetę.

— Stoi w pasie ciszy — stwierdził — spójrz no na niego, Rayner, pomyśl i powiedz, co to za statek, mów jednak cicho, aby Harry nie usłyszał.

Przez lunetę zobaczyłem bark i chociaż trudno było dostrzec kadłub, byłem przekonany, że jest to statek wielorybiczny.

— Sądząc po żaglach, wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że jest to „Hopewell” — szeptał Mudge. — Jestem przekonany, że kapitan byłby zadowolony, gdybyśmy skomunikowali się z załogą tego wielorybnika, a jeśli to statek kapitana Hudsona, zwrócili mu syna.

Nie baliśmy się zapadnięcia zmroku, bo drogę powrotną wskazywał nam wulkan.

— Popłyniemy do tamtego statku — rzekł głośno Mudge — akurat kolo nas mamy przerwę w rafie, dotrzemy do niego bez trudu.

— Rozkaz to rozkaz — mruknął Tillard — nigdy nie popłaca jego niewykonanie.

Mudge nie usłyszał tych słów. Nie powtórzyłem ich oficerowi. Cieszyłem się na myśl, że Harry odnajdzie rodziców, a ja zobaczę piękną towarzyszkę pani Hudson.

Od brzegu dęła lekka bryza i znów podnieśliśmy żagiel. Jediną obawą było, że bark również może chwycić wiatr w żagle i odpłynie. Wiosłowaliśmy więc, aby zwiększyć szybkość. Pracowaliśmy ciężko, lecz do statku nie zbliżaliśmy się.

Harry pracował z wielkim zapałem i z wyrazu jego twarzy mogłem wyczytać, że rozumie, dlaczego płyniemy do żaglowca.

— Musimy przeciąć mu drogę i sterować bardziej na zachód — mruknął Mudge. Chwy-

ciliśmy mocniejszy wiatr. Gdy tylko wyszliśmy poza cypel osłaniającego nas lądu, łódź wesoło zatańczyła po falach.

Mudge podniecony pogonią nie zauważał tego, a ja milczałem. Wlepiliśmy oczy w statek i nie spoglądaliśmy za siebie. Pędziliśmy tak dość długo i dopiero okrzyk Tillarda zmusił nas do spojrzenia w stronę lądu, nad którym czerniała wielka ciężka chmura. Zahuczał grom, a jego odgłos zmieszał się z szumem podobnym do ulewy. Nadciągał huragan. Tillard, nie czekając na rozkazy, rzucił się do falów i opuścił żagiel do połowy masztu.

— Panie Mudge, trzymaj kurs prosto z wiatrem, to nasza jedyna szansa! — zawołał.

Mudge wiedział, że rada była słuszna. Gdy uderzył pierwszy poryw wichru, poleciliśmy w przód, niesieni jak na skrzydłach. Gdyby fale były wyższe, próbowalibyśmy pójść kursem na wiatr, ale nasze szanse byłyby znikome. Pędziliśmy więc z wiatrem po spienionym oceanie i nieraz zwiślał nad rufą naszej łodzi potężny grzywacz grożąc nam pochłonięciem. Wszyscy wyczerpywali wodę. Szukałem wzrokiem barku, lecz nie mogłem go nigdzie dostrzec. Nad morzem wisiała mgła rozpylonej wody, przemieszanej z deszczem i wyrzucanym przez wulkan popiołem. Zasłony takiej nie sposób przebić wzrokiem. Po chwili straciliśmy z oczu nawet ląd i wulkan. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z grożącego nam niebezpieczeństwa. Jeśli fale wzrosną jeszcze bardziej — pochłoną nas, a jeśli huragan potrwa długo, odrzuci nas daleko od wyspy. Być może spotkalibyśmy na kursie inne, lecz w takim wypadku groziło rozbicie łodzi na otaczających je rafach. Wszystko, co mogliśmy uczynić, to trzymać na maszcie skrawek żagla i wylewać wodę szybciej niż fale wlewały ją przez burtę do wnętrza.

Nastała noc powiększając groźbę burzy. Mudge siedział przy sterze i kierował łodzią jak tylko potrafi wytrawny żeglarz. Tillard zaproponował, że go zmieni.

— Nie — odparł Mudge — wpakowałem was w tę kabałę i jeśli będę mógł, wyciągnę was z niej. Huragan skończy się wreszcie, może nawet przed świtem, a wtedy będziemy musieli nie szczędzić wysiłków, aby wrócić do wyspy.

Pomimo napięcia nerwów i niebezpiecznej sytuacji wszyscy czuliśmy już głód. W pogoni za żaglowcem zapomnieliśmy o jedzeniu, chociaż właśnie tuż przedtem mieliśmy zamiar wylądować i rozbić biwak.

Wyjąłem z kosza suchary i butlę wina. Mudge widząc to ostrzegwał:

— Musimy oszczędnie rozdzielać prowianty. Pół szklanki wina na osobę musi wystarczyć, nie wiadomo bowiem, jak długo przyjdzie nam żeglować z powrotem.

Posiłek poprawił nieco nasz nastrój. Harry zachowywał się nadzwyczaj spokojnie i cicho; Tomek Peck szczekał trochę zębami, jakby nie podobała mu się ta przygoda; Popo i Tamaku nie uronili jednego słowa. Nic nie wskazywało na to, by sztorm miał się uspokoić. Pędziliśmy więc dalej w zupełną ciemność. Lada chwila mogliśmy uderzyć o rafy. Wiedzieliśmy o tym, lecz nie było wyboru, musieliśmy ryzykować.

Spytałem Mudge'a o godzinę.

— Zbyt ciemno. Nie widzę wskazówek, ale przypuszczam, że jest już po północy — odpowiedział. Jęknąłem — wydawało mi się, że wkrótce zaświta.

— Jeśli Bóg nie dał zginąć nam do tej pory, pomoże również przetrwać do świtu. Nie możemy upadać na duchu, chociaż sprawy wyglądają bardzo kiepsko — przemówił Tillard.

Wreszcie zaczęło świtać. Wichura nie ustępowała, nie było widać śladu ziemi, a tylko rozszalałe, udrapowane grzywaczami morze.

— Cierpliwości chłopcy — uspokajał Mudge — jedyne co możemy zrobić, to żeglować tak jak dotychczas. Możemy radować się, że jeszcze żyjemy. Lepiej być na otwartym morzu niż blisko raf, przez które przewalają się sztormowe fale. — Nie można było temu zaprzeczyć.

Spytałem po chwili, czy mogę rozdać nieco pożywienia. Mudge zezwolił, jeszcze raz przestrzegając, abym robił to oszczędnie.

Po posiłku Tillard znów prosił Mudge'a aby pozwolił mu zastąpić go u steru. Mudge

wreszcie przystał na to i polecił, aby zbudzono go za parę godzin lub gdy zmieni się pogoda. Zasnął natychmiast. Tillard rozkazał Tamaku stanąć na oku. Reszta układała się do snu. Rozejrzałem się z nadzieją, że dojrzę żagle barku. Ocean jednak był pusty.

Powietrze było znacznie bardziej przejrzyste niż poprzedniego dnia, tylko wichura nie traciła na sile. Minęło parę godzin. Mudge wstał i zmienił Tillarda u steru, a ja zająłem miejsce Tamaku na dziobie.

Sytuacja nie zmieniła się przez większą część dnia. Późno po południu miałem wrażenie, że widzę łąd. Po chwili Mudge potwierdził moje przypuszczenie. Prosto na naszym kursie leżała mała wysepka. Aby ją ominąć, należało zmienić kurs.

— Jeśli spróbujemy, zaleją nas fale — rozważał głośno Mudge. — Musimy zatem zeglować przed siebie na los szczęścia i mieć nadzieję, że znajdziemy przejście w otaczających wyspę rafach, jeśli jakieś przejścia w ogóle tam istnieją. Może uda się trafić do jakiejś zatoczki, a jeśli nie, po prostu podpłyniemy szalupą do plaży. Oczywiście może być, że trafimy na rafy i łódź pójdzie w drzazgi, lub jeśli brzeg jest skalisty, rozbije się o kamienie. Musimy polegać na Opatrzności jak dotychczas.

— Panie Mudge — odpowiedział Tillard — jesteśmy gotowi na najgorsze, ale wiemy, że uczyni pan wszystko, co jest w tych warunkach możliwe.

Może byłoby przyjemnie ukryć się w przytulnym porcie, ale naprawdę wolałbym, aby ten łąd był dalej. Zbliżaliśmy się do niego z wielką szybkością. Za parę minut — wiedziałem o tym — nasz los się rozstrzygnie. Mudge wstał i obserwował wyspę.

— Fale załamują się na rafach — rzekł. — Między rafami a łądem jest spokojniejsza laguna. Jeśli łódź uderzy o rafę i ulegnie rozbiciu, istnieje możliwość, że będziemy przerzuceni do laguny i ci, co umieją pływać, będą mogli dotrzeć do łądu — dodał całkiem spokojnie.

Przez minutę nikt się nie odezwał.

— Chłopcy! — wykrzyknął Mudge — widzę przejście, jest wąskie, lecz możemy spróbować. Jeśli wycelujemy w środek, będziemy w lagunie. Przygotować wiosła! Do stawiania żagla! — rozkazywał.

Słyszeliśmy już ryk potężnych fal atakujących rafy. Obejrzałem się i zauważyłem, że jesteśmy tuż przed nimi.

— Żagiel staw! — padła komenda. — Wiosłami naprzód! Z całej siły! Od tego zależy nasze życie!

Szarpnęliśmy wiosłami, drąc spienione wiry po obu stronach. Fale przelewały się przez burtę. Łódź była napelniona do połowy, a wody stale przybywało. Wstrzymałem oddech. Czułem, że uczynili to wszyscy. Mudge twardo trzymał ster, na jego twarzy nie mogłem dostrzec ani śladu zmieszania. Jeszcze jedna fala uderzyła o drugą burtę łodzi. W następnej chwili, gdy myślałem, że jesteśmy już bezpieczni, usłyszałem trzask. Szalupa zadrzała od dziobu do rufy — uderzyliśmy o rafę. Kilku z nas krzyknęło. Ogarnęło nas przerażenie, że łódź zatonie. Uderzyła następna fala. Porwała wszystko, co nie było umocowane. Chwytałyśmy się burty i ławek. Poprzez szum i huk morza słyszeliśmy donośny głos Mudge'a.

— Wiosłować, naprzód — od tego zależy wasze życie!

Tak. Ale zostały tylko dwa wiosła. Pracowali przy nich Tillard i Harry. Zanim zdążyliśmy zebrać myśli, szalupa uderzyła o plażę na wewnętrznym brzegu laguny. Jak przepłynęliśmy nad rafą, trudno dociec. Wiedzieliśmy tylko, że jesteśmy ocaleni.

Wyskoczywszy z nadwerężonej łodzi, wyciągnęliśmy ją dalej na brzeg, żeby któraś z większych fal nie uniosła jej na morze.

Wyczerpani podnieceniem, strachem i bezsennością, upadliśmy na piasek. Zapadał zmrok, a nie mieliśmy dość sił, aby wstać i poszukać miejsca nadającego się na biwak. Po pewnym czasie głód przypomniał nam, że od paru godzin nie mieliśmy nic w ustach. Mieliśmy nadzieję, że na wyspie znajdziemy dość pożywienia, a zatem będziemy mogli zjeść dobrą wieczerzę.

Tamaku i Tillard poszli do łodzi po zapasy. Nie wracali długo.

— Hej, chłopcy, kiedy wrócicie z jedzeniem! — wołał Mudge.

— Nie możemy go znaleźć — padła niepokojąca wiadomość. — Koszyk chyba wypadł za burzę, gdy uderzyła ta wielka fala.

Nie było złudzeń. Znaleźliśmy tylko baryłkę z wodą. Zaspokoiwszy pragnienie, musieliśmy iść spać głodni i przemęczeni.

— Słuchajcie, chłopcy — odezwał się Mudge. — Musimy podziękować Bogu za ocalenie. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem w takiej opresji jak ta, z której wyszliśmy cało.

Zmówiliśmy modlitwę i odśpiewaliśmy pieśń zaintonowaną przez oficera, po czym legliśmy na ziemi, marząc, że następnego dnia znajdziemy coś do jedzenia, a jeśli wyspa okaże się zamieszkała, jej gospodarze będą dla nas życzliwi.

Zbudziły mnie promienie słońca, które tylko co wyjrzało zza widnokręgu. Z reszty nie spali tylko Harry i Tomek. Okolica wyglądała teraz znacznie przyjemniej niż podczas naszego lądowania w mrokach wieczoru.

Nad brzegiem rosły różnorodne drzewa, wśród których rozpoznałem kilka szerokolistnych drzew bananowych, pandanowce, karłowate sosny, drzewa morelowe, niższe od europejskich, ale o znacznie większych liściach.

Dokuczliwy głód kazał nam zastanowić się, jak w najszybszy sposób można by zdobyć trochę orzechów kokosowych, widocznych wśród gałęzi palm. Wszyscy trzej myśleliśmy o tym samym. Wstaliśmy po cichu, aby nie zbudzić towarzyszy, i poszliśmy do upatrzonej wczasu najniższej palmy, na którą jak twierdził Harry, można wspiąć się bez trudu.

— Spieszmy się — wołał Tomek — bo jeśli natychmiast nie zjem czegoś solidnego, to zacznę szczypać trawę albo obgryzać liście jak owca.

— Nie tylko owce jedzą trawę i liście — próbowałem mu dociąć. — Może zmienisz się w inne stworzenie.

Moje słowa trochę rozzłościły Tomka, ku zdziwieniu Harry'ego, który nie znał ani owiec, ani osłów.

— Nie zaczynajcie kłótni — zawołał zdejmując trzewiki i skarpety — zaraz zdobędę parę orzechów. Tomek będzie mógł zjeść ile zechce.

Patrzyliśmy z podziwem, jak wdrapywał się na palmę, przekonani, że żaden z nas nie dokonałby takiej sztuki. Podbiegliśmy bliżej, aby łąpać orzechy, lecz Harry krzyknął:

— Lepiej uciekajcie, żebym któremu nie rozbił głowy orzeszkiem.

Dotarł już do korony palmy, ułamał gałąź z kiścią orzechów i schodził z nimi w dół.

— Spadając mogłyby popękać i przepadłoby świeże mleko — objaśnił będąc już na ziemi.

Podczas gdy próbowaliśmy z Tomkiem rozbić twarde skorupy, Harry pobiegł na brzeg i przyniósł ostry odłamek koralu, za pomocą którego wywiercił w jednym z orzechów dziurę.

— Proszę — rzekł podając mi owoc — pij, to bardzo pożywne.

Cóż za wspaniały napój! Mleko kokosowe było doskonałe. Podałem orzech Tomkowi. Harry przygotowywał już następną porcję. Zmusiliśmy go, aby tym razem pił pierwszy.

Trzeci orzech zaspokoił nasze pragnienie. Rozbiliśmy więc skorupy i miąższ z jednego orzecha wystarczył nam na śniadanie. Pozostałe zanieśliśmy naszym towarzyszom. Śniadanie powitane zostało ze zrozumiałym entuzjazmem.

Należy przypomnieć, że huragan minął i morze skrzyło się srebrzyście w jasnych promieniach słońca. Pytaliśmy Mudge'a, czy natychmiast ruszymy z powrotem w drogę ku wyspie, gdzie znajduje się nasz okręt.

— Wiele przyczyn składa się na to, że nie możemy tego zrobić — odpowiedział oficer. — Po pierwsze należy zreperować łódź nadwerżoną przy przechodzeniu rafy, a to sprawa niełatwa. Pozostały nam tylko dwa wiosła, co poczniemy, jeśli złapie nas cisza? Poza tym musimy zgromadzić zapasy żywności, nie mamy również wody, a przecież droga, jaką prze-

byliśmy w ciągu jednej doby, zajmie nam teraz trzy, cztery dni, a jeśli trafimy na przeciwny wiatr, może i więcej. Zanim więc ruszymy na ocean, musimy doprowadzić do porządku łódź, zrobić, co najmniej dwa nowe wiosła i jak już powiedziałem zgromadzić żywność i zaopatrzyć się w wodę. Nie wystarczą orzechy kokosowe. Potrzebne nam jest mięso i ryby, a polowanie i łowienie zajmie cały dzień. Należy również rozważyć, czy rozsądnie jest ruszać na poszukiwanie okrętu. Być może, że odpłynął już z miejsca zakotwiczenia i on z kolei szuka nas po oceanie. Sądząc po tym co widzieliśmy na tamtej wyspie, trudno będzie tam zdobyć żywność. Gdybyśmy nie znaleźli naszego okrętu, sytuacja byłaby gorsza niż obecnie.

Wywody Mudge'a uznaliśmy za słuszne. Natychmiast poszliśmy zbadać stan łodzi. Dwie klepki w dnie były wgniecione, na dziobie również znaleźliśmy uszkodzenia. Zastanawialiśmy się, jak to się stało, że nie poszliśmy na dno przed wyrzuceniem na brzeg.

Trudno było nawet myśleć o naprawianiu łodzi, mając jako narzędzia tylko składane noże. Spoglądaliśmy jeden na drugiego, czekając, kto pierwszy rzuci jakąś radę.

— Najbezpieczniej będzie pozostać na wyspie — rzekł Mudge. — Będziemy żyli nadzieją, że okręt nasz przybije do tych brzegów, gdyż na pewno kapitan nie zaniecha poszukiwań. Domyśli się, że huragan jeśli nie zatopił nas, to uniósł w tym kierunku. Jeśli „Heroine” nie odnajdzie nas, możemy liczyć na to, że jakiś statek wielorybiczny czy inny przechodząc w pobliżu dostrzeże nasze sygnały. Wystawimy posterunki obserwacyjne na obu krańcach wyspy, bo chociaż bez wątpienia życie na wyspie będzie przyjemne, jednak nie warto zmieniać się w Robinsonów Kruzo.

— To przyjemniejsze niż pełnienie wachty — mruknął Tomek.

— Musimy pomyśleć o naszych bliskich w kraju — zwróciłem mu uwagę. — Jeśli do Anglii dotrze wiadomość, że zaginęliśmy, będą nas oplakiwać, a poza tym czekam niecierpliwie na chwilę, kiedy można będzie powiadomić państwa Hudson o ocaleniu ich syna.

— Masz rację, Godfreyu — powiedział Mudge. — Rad jestem, że myślisz o innych. Nie przypuszczam, aby Tomek chciał przysporzyć zmartwienia swej rodzinie, jestem przekonany, że w kraju martwią się o niego bardziej, niż sądzi.

— Nie myślałem teraz o bliskich — odparł Tomek — ale możecie być pewni, że jeśli dostrzegę żagiel, uczynię wszystko, aby zobaczono, że jesteśmy na tej wyspie.

Tak więc projekt natychmiastowego wyruszenia na poszukiwanie okrętu upadł.

Postanowiliśmy zatem, że przede wszystkim musimy zbadać wyspę i sprawdzić, czy istnieją możliwości zgromadzenia żywności. Nie wątpiliśmy, że prócz orzechów kokosowych znajdziemy również inne owoce. W morzu na pewno nie zabraknie ostryg, mięczaków i ryb. Jednak aby je złowić, musimy najprzód porobić haczyki, skrócić sznury i ewentualnie spleść jakiegokolwiek sieci.

Tymi sprawami zajął się Mudge, Tomek i ja. Tillard nadal badał łódź. W pewnej chwili rzekł do pana Mudge:

— Wie pan co? Gdybym miał trochę gwoździków, mógłbym obić brezentem uszkodzone miejsca i załatać szalupę tak, że proszę ruszać na pełne morze.

— Chodzi właśnie o to „gdyby” — mówił Mudge. — Skąd dostać gwoździ?

— Zrobić z trzonków od naszych noży. Znam się trochę na kowalstwie — wyjaśniał Dick. — Kombinowałem już, jak zrobić miechy i urządzić kuźnię. Weźmiemy kawał brezentu, impregnujemy go tłuszczem i woskiem albo czymś w tym rodzaju i będzie miech. Nie gwarantuję za wyniki, ale spróbować trzeba. Zrobić co się da.

— Na to też liczymy — zakończył rozmowę Mudge.

Pomysł Tillarda dodał nam otuchy. Na razie jednak poszliśmy szukać wody i żywności. Przed wyruszeniem w drogę każdy zaopatrzył się w długi, ostro zakończony kij. Nie miał on służyć do obrony przed tubylcami, bo cóż można zdziałać kijem przeciwko dzidom, lecz przede wszystkim do polowania, jeśli oczywiście nadarzyłaby się ku temu sposobność. Mógł także zastępować laskę w trudnym terenie.

Tillard pozostał przy łodzi, a reszta ruszyła na poszukiwanie. Prowadził Mudge. Tomek, Harry i ja szliśmy za nim, a pochód zamykali Tamaku i Popo. Szliśmy brzegiem, gdyż był bardziej równy niż teren w głębi wyspy.

Po pewnym czasie dotarliśmy do ciekawego miejsca, które zapewne dopiero niedawno jakiś kataklizm wyniósł nad powierzchnię oceanu. Rosło tam kilka młodych palm i jakieś nikłe zielska, nad którymi unosiły się wielkie stada ptaków.

Korzystając z tego, że był odpływ, poszliśmy na przełaj ku owym skałkom, które podczas przyptywu stawały się osobną wysepką. Ptaki nie okazywały przestachu. Podniosły tylko ogłuszający wrzask, wysuwały ku nam dzioby i skrzeczały chrapliwie.

Mudge uradowany wykrzykiwał:

— Hura, ta spiżarnia zaspokoi wszystkie nasze potrzeby. Najważniejsze, że są tu zapasy, co nie zepsują się podczas podróży.

Ptasia kolonia składała się przeważnie z dużych gęsi morskich i czarnych mew. Ptaki te wysiadywały jaja na piasku i nie chciały ich opuścić, nawet gdy podchodziliśmy całkiem blisko. Musieliśmy odsuwać je siłą, aby odebrać jaja. Najpiękniejsze ze wszystkich wielkoskrzydłe ptaki, fregaty, budowały gniazda z kilku patyków na najbliższych drzewach. Stare ptaki nadymały krwistoczerwone wola do rozmiarów głowy dziecka. Nie wyglądało to ładnie, lecz i nie umniejszało uroku tych wspaniałych stworzeń.

Napełnialiśmy kieszenie jajami, które miały najświeższy wygląd. Po zabiciu kilku ptaków na obiad i wieczerzę, ruszyliśmy z powrotem.

Nad brzegiem znaleźliśmy sporo dużych krabów. Jeden z nich upolował węża i powolutku włókł go do wody. Nadleciała fregata i porwała jednocześnie kraba i węża.

Armie krabów-żołnierzy z muszlami na skorupach maszerowały w poszukiwaniu ofiar czy też lepszych kwater. Kraby z tego gatunku nie porzucają swych muszli-domków, zanim nie znajdą lepszych.

Spieszyliśmy się, aby przyptyw nie odciął nam drogi.

Na biwaku stwierdziliśmy, że Tillard rozpoczął już budowę kuźni.

— Jeśli tylko miechy będą działać, będę miał wkrótce tyle gwoździ, ile nam potrzeba — mówił do Mudge'a. — Cierpliwością można pokonać wszystkie przeszkody.

Nikt nie miał zamiaru wszczynać dyskusji. Każdy myślał, aby jak najprędzej upiec jaja i ptactwo.

Spytałem, w jaki sposób rozniecimy ogień. Zaczęliśmy szukać po kieszeniach, lecz nikt nie znalazł krzesiwa. Chcieliśmy zatem wykorzystać wiedzę Tamaku, słyszeliśmy bowiem, że wyspiarze umieją rozniecać ogień przez pocieranie dwóch kawałków drewna. Hawajczyk znalazł ten sposób. Potrzebował jednak odpowiedniego drewna i ostrzegwał, że zanim zapłonie ognisko, upłynie sporo czasu.

Nie mieliśmy na to dość cierpliwości. Wobec tego obiad składał się z surowych jaj, deseru w postaci kokosowego miąższu i kokosowego mleka.

Po obiedzie Tamaku zniknął w poszukiwaniu drewna do rozniecienia ognia, a my przystąpiliśmy do klecenia szafasów i moszczenia posłań, aby bez potrzeby nie spędzać nocy na otwartej plaży.

Tamaku wrócił o zmroku. Przyniósł drewno, lecz byliśmy zbyt zmęczeni i śpiący, aby czekać na żmudne rozniecanie ognia i gotowanie kolacji. Woleliśmy od razu leć na spoczynek.

ROZDZIAŁ IV

Na wyspie. Ostrygi na drzewach. Harry wymyka się rekinowi. Pierwsze śniadanie. Kuźnia Tillarda. Wyprowa przez wyspę. Produkcja gwoździ i haków. Znalezienie łodzi. Rybołówstwo. Powrót przyjaciół. Spuszczenie łodzi na wodę. Pod żaglem wokół wyspy. Choroba Dicka. Porwani wicherą

Postania nasze były dość wygodne, ubrania suche, lecz mimo to nie spaliśmy zbyt długo. Już o świcie byliśmy na nogach. Napiliśmy się mleka kokosowego, a jednak pragnienie nadal dawało się we znaki. Mudge postanowił zatem ruszyć na poszukiwanie źródła ze słodką wodą. Popo poszedł z nim, niosąc pustą baryłkę. Tamaku przygotowywał przyrząd do rozniecania ognia. Składanym nożem strugał kawałki drewna nadając im potrzebne kształty.

Tillard krzątał się wokół przyszelej kuźni. Harry, Tomek i ja mieliśmy dostarczyć dalszych zapasów orzechów kokosowych i poszukać jadalnych skorupiaków i mięczaków.

Znaleźliśmy wąską zatoczkę wciśniętą głęboko w ląd a bardzo przypominającą rzekę. Brzegi zatoczki porastał gęszcz drzew. Woda wypłukała ziemię spomiędzy korzeni. Niektóre drzewa chyliły się tak, że dotykały gałęziami wody. Natknęliśmy się na palmę kokosową z dużą ilością orzechów. Harry natychmiast zaczął wspinaczkę. Tomek buszując nad zatoczką wołał:

— Ahoj, ostrygi rosną na drzewach!

Pobiegłem zdziwiony w jego stronę. Nie kłamał. Zanurzone w wodzie gałęzie drzew pokryte były koloniami dużych ostryg. Zebraliśmy ile się dało. Przez czystą jak szkło wodę zobaczyłem mnóstwo tych pożywnych mięczaków, pokrywających skały i kamienie. Mieliśmy więc jeszcze jedną dobrze zaopatrzoną spiżarnię i nie wiadomo, czy ostatnią — można było spodziewać się, że znajdziemy jeszcze inne.

Z kieszeniami i chustkami pełnymi ostryg wróciliśmy pod palmę, z której Harry zerwał dużą kiść orzechów. Obejrzał nasze łupy krytycznym okiem i stwierdził, że ostrygi są zbyt małe, spróbuje więc nurkować i na dnie zebrać odpowiednio duże. Wróciliśmy do zatoczki. Harry w mgnieniu oka zrzucił ubranie i skoczył do wody. Wydobyte przez niego za pierwszym razem ostrygi były naprawdę piękne.

— Ale to za mało — mówił Harry — zaraz wydobędę więcej.

Widzieliśmy, jak uczepiony skały odrywa od niej muszle, podważając je nożem. Zdumiewało mnie, że tak długo potrafi siedzieć pod wodą. Ja nie wytrzymałbym połowy tego czasu.

Nagle u wejścia do zatoczki mignął ciemny kształt. Krzyknąłem przerażony, a Tomek, który również dojrzał cień, zaczął ciskać w jego stronę ostrygami. Nie posądzałem go o tyle sprytu. Aby odwrócić uwagę potwora, a domyślaliśmy się, że może to być rekin, puszczaaliśmy po powierzchni „kaczki”. Niewiele to pomagało. Na szczęście Harry wypłynął na powierzchnię, a słysząc nasze przeraźliwe wołania, ile tylko miał sił ruszył do brzegu. Odetchnęliśmy dopiero, gdy stanął na lądzie. Rekin, który już atakował naszego kolegę, o mało nie uderzył paszczą o brzeg. Zawrócił, wściekle uderzył ogonem, opryskując przy tym nasze twarze wodą.

Harry potraktował sprawę spokojnie.

— Nie po raz pierwszy byłem zaatakowany — mówił. — Zwykle gdy nurkowałem, obok czuwał towarzysz i w razie potrzeby sam atakował rekina z nożem w ręku. Gdybym nie był zaskoczony, uczyniłbym to samo.

— Na szczęście obeszło się bez tego eksperymentu — odpowiedziałem. — Mamy za to nauczkę, aby nie wchodzić do wody bez ubezpieczenia. Dobrze, że wyszedłeś cało z tej opresji.

— Ja też się cieszę — powiedział Harry. — Chodźmy do obozu. Mamy dość jedzenia i

możemy ugościć towarzyszy dobrym śniadaniem.

— Miejmy nadzieję, że Tamaku rozpałił ognisko — mruknął Tomek. — Chociaż mamy dość ostryg i orzechów, jednak nie lubię surowych jajek. Prawdę mówiąc z przyjemnością zjadłbym pieczoną kaczkę.

Z daleka dojrzeliliśmy nad plażą słup dymu. Tamaku pracowicie rozdmuchiwał tłące się zarzewie.

Spytaliśmy go, czemu rozpała ognisko na piasku.

— Widzicie, jeśli rozpałiłbym na trawie, ogień mógłby zanadto się rozszerzyć, a to byłoby nieprzyjemne.

Wkrótce przybył ze świeżą wodą Popo i zapowiedział rychły powrót pana Mudge.

Aby zrobić oficerowi niespodziankę, zaczęliśmy skubać ptactwo i nadziewać na różny, również przystąpiliśmy do pieczenia jaj.

Mudge, nie spodziewając się takiej uczty, spokojnie wyszedł z lasu. Na widok ogniska i zawieszonych nad nim kaczek wykrzyknął:

— Ależ to będzie uczta! Nigdy bym się nie spodziewał takich smakołyków. Do tego znalazłem wspaniałe źródło słodkiej wody, tryskające ze zbocza góry do kamiennego stawu. Nie mogłem odmówić sobie przyjemności wykąpania się. Radzę i wam skorzystać z tej możliwości.

Na razie byliśmy głodni. Nie czekaliśmy nawet na kaczki i zabraliśmy się do pieczonych jaj, orzechów i mleka kokosowego. Ptactwo pieczone pod nadzorem Tamaku było gotowe dopiero wtedy, gdy już byliśmy najedzeni. Mimo to uczty nie przerwaliśmy, kaczki były znakomite. Stwierdziliśmy, że lepszego śniadania nie jada nawet bogaty mieszczuch.

— A co mamy teraz do roboty? — spytałem.

— O żywność troszczyć się nie musimy — rzekł Mudge. — Należy przeto wyruszyć na drugą stronę wyspy, aby wybrać miejsce na posterunek obserwacyjny i przygotować je do dawania sygnałów, gdyby obok przepływał jakiś statek. Przypuszczam, że nie będziemy musieli wędrować daleko. Tillard woli zakończyć budowę kuźni, pozostanie więc na miejscu. Pamiętaj proszę — zwrócił się do marynarza — nie zapominaj o podsycaniu ognia, abyśmy mogli dawać sygnały.

— Oczywiście, że będę o tym pamiętał — odpowiedział Tillard. — Potrzebna mi jest pomoc, proszę zatem o pozostawienie mi jednego kompana. Chciałbym, aby został któryś z Europejczyków, gdyż lepiej pojmie, co mi jest potrzebne. Czy zostałby pan, panie Rayner?

— Miałem zamiar to zaproponować — odrzekłem — chociaż prawdę mówiąc, wyprawa na przelaj przez wyspę również bardzo mnie ciekawi.

Pragnąłem być pożyteczny a jednocześnie chciałem zobaczyć, jak Dick Tillard da sobie radę z realizacją swego zamiaru.

Dick podziękował mi serdecznie. Pożegnaliśmy odchodzących kolegów, objuczonych zapasami żywności i uzbrojonych w zastrzone kije.

Zostaliśmy sami. Roboty było dużo. Tillard majstrował już miechy z brezentu i desek wyjętych z podłogi szalupy. W łodzi znaleźliśmy również kilka okuć, które można było odebrać nie zmniejszając jej wytrzymałości. Pozostało jeszcze wykończyć kuźnię. Gdy i to zostało zrobione, rozpaliliśmy ogień. Miechy działały dość sprawnie. Mieliliśmy pracować posługując się sporządzonymi własnoręcznie narzędziami. Dwa długie koralowe pręty miały zastąpić obcęgi, duży kamień służył jako kowadło, dwa mniejsze jako młoty. Składany nóż jako przecinak.

Tillard zaczął pracę od wykucia z żelaza długiego i cienkiego pręta. Pręt ten, wielokrotnie podgrzewany do czerwoności, pociął na krótkie kawałki, które po wykuciu główek przypominały nieco gwoździe i od biedy mogły je zastąpić.

Zebraliśmy z drzew nieco żywicy i dodając do niej trochę tłuszczu sporządziliśmy mieszaninę do impregnowania brezentu. Po tych przygotowaniach można było przystąpić do

reperacji łodzi. Podczas odpływu mieliśmy dostęp do powgniatanych klepek. Po próbach okazało się, że musimy bardziej zaostrzyć gwoździe. Na szczęście w moim składanym nożu miałem pilnik, którym zaostrzyłem gwoździe, a ponadto szpikulec, świetnie nadający się do robienia otworów, w które wkładaliśmy ćwieki.

Zakończyliśmy łatanie łodzi prędzej, niż się spodziewałem. Tillard był przekonany, że przez zreperowane części nie przedostanie się kropla wody. Nie ręczył natomiast za inne części łodzi.

— Chciałbym ją wypróbować — powiedziałem po wbiciu ostatniego gwoźdźdź.

— Niech pan poczeka cierpliwie — odparł Dick. — Gdy nastąpi przypływ, zepchniemy ją na wodę.

Mylił się. Nie oszczędziliśmy wysiłków, lecz wszystko bezskutecznie. Łodzi nie dało się ruszyć z miejsca. Musieliśmy czekać na powrót reszty towarzyszy. Przeszukaliśmy łódź bardzo dokładnie. W kącie achterpiku znalazłem duży haczyk, używany zwykle do łowienia rekinów, bonitów i podobnych im podwodnych olbrzymów. Znaleźliśmy kłębek szpagatu, parę kawałków liny i w ten sposób mieliśmy już sprzęt rybacki.

Tillard obejrzał haczyki i zdecydował, że spróbuje według tego wzoru zrobić z pozostałego żelaza kilka mniejszych haczyków, które będą bardziej przydatne do łowienia ryb w lagunie i za rafą.

Haczyki, jakie zrobiliśmy, były bardzo miękkie. Hartowaliśmy je potem przez rozgrzewanie w ogniu i zanurzanie w wodzie. Gdy zrobiły się twardsze, sporządziliśmy z nich i ze szpagatu wędy. Podsyciwszy ognisko aby nie wygasło, poszliśmy na spacer na północ od zatoczki ostrygowej. Po drodze obserwowaliśmy morze, aby nie przeoczyć jakiegoś statku. Statku nie dojrzelismy, ale odkryliśmy w rafie przejście znacznie lepsze niż to, które forsowaliśmy podczas huraganu.

— Gdyby pan Mudge miał zamiar opuścić wyspę, mamy tu dobre przejście, ale wydaje mi się, że byłoby ryzykowne ruszać na morze bez map i kompasu. Lepiej już siedzieć na tej wyspie, gdzie mamy dość żywności i wody, i czekać cierpliwie, aż nas zabierze nasz okręt czy statek wielorybiczny — mówił Tillard.

Byliśmy już dość daleko od biwaku i mieliśmy zamiar wrócić, gdy zauważyłem na lagunie ciemny przedmiot.

— Wygląda na łódź — mruknął Tillard. — Jeśli tak, to mamy na wyspie sąsiadów.

Pospieszaliśmy w stronę rzekomej łodzi. Nie omyliliśmy się. Była to mała, lecz mocna łódka zbudowana na europejski sposób. Unosiła się jak na stawie na powierzchni maleńkiej laguny otoczonej wąsem piasku. Rzucić ją tam mogła tylko bardzo wysoka fala. Górne części burty były rozeschnięte, lecz poza tym łódka była nie uszkodzona. Cumka zwisała z dziobu i Tillard stwierdził, że łódź oderwała się od większego statku podczas sztormu. Do jakiego okrętu należała — trudno było dociec. Co się z nim stało? Czy został rozbity, czy też wyszedł cało z burzy, było także zagadką.

Szukaliśmy dalej. Znaleźliśmy złamane wiosło i dwa kawałki deski. Dick od razu wpadł na dobry pomysł.

— Po co maszerować z powrotem, popłyniemy tą łódką — powiedział.

Natychmiast przystąpiliśmy do przekopywania w piaszczystej łasze kanału. Deski świetnie służyły nam jako łopaty. Namęczyliśmy się niemało, zanim udało się przepchnąć łódkę na czystą wodę.

Przecieki w rozeschniętej części były niegroźne, więc można było nadażyć z wylewaniem wody. Wiosłując złamanym wiosłem i deską, dobiliśmy do brzegu w Zatoce Ocalenia, jak nazwaliśmy to miejsce, gdzie wyrzuciły nas fale.

Zmartwiło nas, że nasi towarzysze jeszcze nie wrócili. Spodziewając się ich lada moment, zaczęliśmy przyrządzać wieczerzę. Włożyliśmy w popiół resztę jaj i rozwiesiliśmy nad ogniskiem ptactwo.

Towarzysze nasi nie wracali. Ogarnęło nas zaniepokojenie, ale że głód doskwierał a zapach pieczonej dziczyzny łechtał nozdrza, zjedliśmy przypadającą na nas część.

Dick nie mógł usiedzieć bezczynnie i coś majstrował. Zrobił igły do sporządzania sieci, a nawet splótł podręczną siatkę do łowienia przynęty i wyciągania większych sztuk schwypanych na wędkę.

Zapał zmrok i straciliśmy nadzieję, że nasi towarzysze powrócą przed świtem. Prawdopodobnie rozmiary wyspy były znacznie większe, niż przypuszczaliśmy, i nie zdążyli dotrzeć do drugiego brzegu. Wpełziliśmy do szalásów i nie kryjąc niepokoju legliśmy na spoczynek.

Następny ranek był równie słoneczny i cichy jak poprzedni. Przypuszczaliśmy, że nasi towarzysze zapewne zabawią w drodze czas dłuższy i nie wrócą przed końcem dnia.

— Wybierzmy się na ryby — zaproponowałem Dickowi. — Nasi przyjaciele na pewno będą wdzięczni, gdy zaproponujemy im świeże smażone ryby zamiast ptaków, które mimo wszystko były dość twarde.

Dick przystał na moją propozycję. Przed wypłynięciem uszczelniliśmy szpary między klepkami łodzi używając do tego mieszanki przygotowanej uprzednio do impregnacji brezentu. Teraz nie dostawała się do wnętrza ani kropla wody. Dick brodząc po lagunie nałowił małych rybek na przynętę. Było ich tak dużo, że z braku innego pożywienia mogliśmy je piec i jeść do woli. Przenieśliśmy z naszej szalupy na znaną łódkę bosak i wiosła, a zamiast kotwicy przywiązaliśmy do długiej liny kawał koralu.

Spróbaliśmy szczęścia na środku laguny. Udało nam się złowić rybę o wielkim pysku i różnobarwnej, mieniającej się łusce. Dick popatrzał na nią z ciekawością i powiedział:

— Nie mam ochoty próbować tej sztuki. Podejrzewam, że pomimo tak pięknego wyglądu mięso jej jest trujące. W każdym razie zostawimy ją w łodzi, może przyda się na przynętę.

Po chwili złowiliśmy trzy identyczne dziwadła.

— Musimy spróbować w innym miejscu — zdecydował Dick.

Podnieśliśmy zrobioną naprędce kotwicę i powiosłowaliśmy w stronę szerokiego wyjścia z laguny. Udało nam się złowić jeszcze kilka dużych ryb o ciemnej łusce, które wyglądały na jadalne, ale zerwały nam kilka haczyków. Ciągnąłem jakąś następną dużą sztukę, a Dick wysunął siatkę, aby ją wrzucić na pokład. Ryba jednak znowu zerwała się wraz z haczykiem.

— Trzeba spróbować dużego haka — rzekł Dick i przywiązał go do grubej linki. — Na tych morzach ryby niczego się nie boją. Można by z jednakowym powodzeniem łowić je przy pomocy liny okrętowej jak i nitki cienkiej jak włos.

Hak z założoną przynętą poszedł za burzę. Nie upłynęła minuta, gdy Tillard zawołał:

— Teraz to naprawdę coś wielkiego!

Próbowałem wybierać linkę, stawiała duży opór.

— To pewnie rekin. Ciągnie bardzo mocno — mówiłem patrząc, jak Dick mocuje się ze zdobyczą.

— Nie, na pewno nie — odpowiedział — chociaż ta rybka jest chyba największa ze wszystkich, jakie dotychczas złowiłem. Niech pan balastuje łódź po drugiej burcie — rozkazał — prędko, żeby nas nie przewrócił. Ja już go wyciągnę.

Wykonałem rozkaz. Dick wybierał linkę, znów ją luzował, aż wreszcie wyciągnął rybę podobną do okonia, ale o wadze co najmniej sześćdziesiąt a może nawet siedemdziesiąt funtów. Rzeczywiście był to okaz okonia morskiego z dużymi kolcami na grzbiecie. Ryba miotała się i wrywała, lecz Dick działał ostrożnie i po pewnym czasie wciągnął ją do łodzi.

— To prawdziwy łup! — wykrzyknął.

Aby uspokoić potwora, musieliśmy ogłuszyć go silnym ciosem w łeb. Zabawa skończona. Mieliliśmy teraz więcej ryb, niż byliśmy w stanie zjeść. Powiosłowaliśmy do naszej zatoki. Towarzyszy nadal nie było. Wyciągnęliśmy łódź na plażę i pochowaliśmy sprzęt rybacki.

Z rybami było sporo roboty. Musieliśmy je oskrobać, wypatroszyć, a okonia należało

pociąć na kawałki, ale wstrzymaliśmy się z tym, aby pokazać go przyjaciołom.

Na obiad zjedliśmy jedną sporą, ciemnego koloru rybę, która wyglądała na jadalną. Właśnie kończyliśmy posiłek, gdy z lasu doleciały wołania Harry'ego. Potem dał się słyszeć głos nadbiegającego Tomka i Tamaku.

Pokazałem im olbrzymiego okonia, zawieszzonego w cieniu na gałęzi.

— Ależ wspaniały! — wykrzyknął Tomek. — Naprawdę nie wiem, który brzeg jest lepszy. Znaleźliśmy tam drzewo chlebowe, platany, korzenie yamu i całą masę różnych owoców i bulw. Mudge przysłał nas z poleceniem, abyście przypłynęli szalupą wokół wyspy, jeśli oczywiście jest już zreperowana. On uważa, że z tamtej strony istnieją większe możliwości zauważenia statku. Mamy tam doskonały port, gdzie można zostawić łódź na kotwicy, a obok wzgórze, z którego widać duże obszary oceanu. Tamaku, Harry i ja pozostaniemy tu na starym biwaku jako obserwatorzy. Po pewnym czasie przyjdziecie nas zmienić.

Odpowiedziałem, że jestem gotów wykonać każde polecenie oficera, lecz spuścić szalupę na morze nie będzie łatwo. Próbowaliśmy już tego wraz z Dickiem.

— Może w pięciu zdołamy zrobić to, czego nie byliście w stanie dokonać we dwójkę — odparł Tomek. — Trzeba poszukać okrągłych pni, aby podłożyć je pod kil. Pamiętaj przy tym, że Tamaku jest silny jak słoń.

Dick był przekonany, że szalupa zda egzamin na morzu i gotów był popłynąć wokół wyspy nawet samotnie. Oświadczyłem, że pragnę towarzyszyć mu w tej podróży. Uzgodniłem więc, że ruszamy następnego ranka.

Przyjaciół naszych uradował widok drugiej łodzi i fakt, że będą mogli spędzać czas na łowieniu ryb. Zwróciłem im uwagę, że przede wszystkim muszą zrobić sobie parę wiosła, gdyż swoje zabierzemy do szalupy. Niełatwe otrzymali zadanie; zrobić wiosła, mając do dyspozycji tylko takie narzędzia, jak składane noże, to wielka sztuka.

— Przy odrobinie cierpliwości, jak powiada Dick, wszystko jest możliwe — odparł Tomek. — Tamaku potrafi posługiwać się nożem tak wspaniale, jak nigdy jeszcze nie widziałem.

— Wystrugam wiosła — powiedział Tamaku. Był zawsze gotów pomóc we wszystkim, a teraz cieszył się na myśl, że będzie łowił ryby siedząc w łodzi.

Resztę dnia spędziliśmy na przygotowaniu pni do przetoczenia szalupy, jak również na przyrządzaniu i gromadzeniu żywności na drogę. Podróż nie miała być długa, lecz w razie ciszy lub przeciwnych wiatrów mogła przeciągnąć się znacznie.

Nie chcieliśmy zmarnować naszej wielkiej ryby, toteż pocięliśmy ją na długie pasma, które wędziły się nad ogniskiem.

Następnego dnia podczas przypływu wsunęliśmy pniaki pod kil szalupy i wspólnym wysiłkiem zepchnęliśmy ją na wodę. Dick uradowany oglądał połatanie miejsca i doszedł do wniosku, że możemy śmiało ruszać w podróż nie tylko wokół wyspy, ale nawet na dłuższe rejsy.

Po przeniesieniu żywności do łodzi podnieśliśmy żagiel. Wiatr dął z południa. Postanowiliśmy więc wypłynąć na ocean przedostając się między rafami i okrążyć wyspę od północnego krańca. Koledzy odprowadzili nas płynąc łódką aż do wyjścia z laguny i tam pożegnali wesołymi okrzykami.

Żeglowaliśmy w znacznej od brzegu odległości, obawiając się raf. Łąd wydłużał się ku północy znacznie dalej niż przypuszczaliśmy.

— Przyjdzie nam wędrować o wiele dłużej niż myślałem — mówił Dick — ale przebyliśmy już szmat drogi i wiatr jest pomyślny, nie będziemy przeto wracać. Być może, że po ominięciu cypla też będzie pomyślny. Zobaczymy. W każdym razie pan Mudge na pewno nie sądził, że wyspa ciągnie się na północ aż tak daleko.

Przyznawałem Dickowi rację, że nie byłoby rozsądnie wracać i opływać wyspę od południa, gdyż tamten kraniec jest równie daleko jak i północny.

Żeglowaliśmy spokojnie dość długo, a cypel wciąż nie przybliżał się. Doskonala do tej chwili pogoda zaczęła się psuć. Zauważyłem, że Dick był coraz bardziej ponury, ale ponieważ należał do ludzi, którzy nie załamują się łatwo, żeglował raz wytkniętym kursem. Niebo zaczynały zasnuwać chmury i wiatr przybrał na sile.

— Weźmy jeden ref, panie Rayner — poleciał mi Dick. — A może od razu dwa — dodał natychmiast. — Gdy przyjdzie nam pójść ostro do wiatru, będziemy mieli akurat tyle żagla, ile możemy unieść.

Szybko wzięliśmy refy i podciągnęliśmy żagiel. Łódź dosłownie leciała po spienionych, szybko rosnących falach. Od strony lewej burty bałwany ze złowrogim hukiem biły o koralowe rafy. Na nieszczęście nie mogliśmy wśród nich dostrzec żadnego przejścia. Po prawej burcie od strony otwartego oceanu świat pociemniał i niebo przypadło nisko ku morzu. Wiatr uderzał podmuchami to z południa to od lądu.

Zdecydowałem się zaproponować powrót.

— To znacznie trudniejsza sprawa niż żeglowanie przed siebie — odpowiedział Dick. — Całkiem prawdopodobne, że dostrzeżemy wejście do laguny i wówczas znajdziemy schronienie. Jeśli nie, będziemy musieli trzymać ten sam kurs, dopóki nie ominie północnego cypla. A tam, jeśli tylko wiatr nie skręci na zachód, będziemy na zawietrznej stronie wyspy, gdzie nie ma takich fal.

Dick mówił spokojnie, lecz gdy spojrzałem na jego twarz, zauważyłem, że przemknął po niej jakiś dziwny grymas.

— Dick, czy coś ci dolega? — spytałem.

— Prawdę mówiąc, tak jest — odparł — nie chciałem pana niepokoić, mówiąc, jak źle się czuję. Przydałoby się jakieś lekarstwo, a szklanka rumu na pewno postawiłaby mnie na nogi. Teraz jednak mogę tylko cierpieć i uśmiechać się.

Widziałem, że stan Dicka jest coraz gorszy. Od czasu do czasu nie mógł powstrzymać się od jęku. Mimo to trwał przy sterze i prowadził łódź ze zwykłą uwagą. Przypomniałem sobie, co mówił o trujących rybach i byłem ciekaw, czy nie spróbował którejs z nich. Nie pytałem jednak o to. W pewnej chwili ku memu przerażeniu puścił rumpel i osunął się na dno szalupy.

W porę dopadłem rumpla. Niewiele brakowało, a stanęlibyśmy burtą do fali, co w tych warunkach oznaczałoby dla nas smutny koniec. Sterowałem dawnym kursem. Niestety, nie mogłem nic pomóc Dickowi. Zdołałem tylko oprzeć jego głowę o burtę. Oddychał z trudem, jęczał. Byłem bardzo przestraszony, nie wiedziałem, co dalej robić, obawiałem się, że stracę druha. Mogłem tylko sterować. Miałem nadzieję, że silny organizm marynarza pozwoli mu na przetrzymanie ataku.

Po długiej żegludze zbliżyliśmy się do cypla. Najwyżej za pół godziny należało zmienić kurs.

Wtem wiatr ucichł równie niespodziewanie, jak się zerwał. Łódź kołysana falami ledwie pełzła. Czyniłem wszystko, aby doprowadzić Dicka do przytomności. Skrapiałem mu twarz wodą, wlałem do ust trochę kokosowego mleka. Zabiegi moje nie odniosły żadnego skutku. Dick leżał całkiem bezwładny i nieprzytomny. Jedyne oznaki życia był oddech i jęki, które z każdą chwilą stawały się słabsze.

Liczyłem, że powieje chociaż lekka bryza. Zwolniłem refy i podniosłem cały żagiel. Słońce nad wyspą chyliło się ku zachodowi. Noc zapowiadała nowe trudności. Niebo nadal nie wróżyło nic dobrego. Ledwie słońce zniknęło za skałami, wiatr uderzył jeszcze gwałtowniej niż poprzednio. Jak bardzo żałowałem, że zwolniłem refy. Teraz nie mogłem puścić steru.

Pędziłem z wiatrem po szalejących u burt grzywaczach. Po chwili straciłem ląd z oczu. Wytrzeszczałem oczy w ciemność, miałem złudzenie, że widzę linię białych pian na rafach. Jak daleko mogły się one ciągnąć? Milę, czy parę mil?

Jeśli zmieniłbym kurs zbyt wcześnie, rozbicie byłoby pewne. Niosąc na maszcie cały żagiel, nie miałem odwagi wyostrzyć kursu do wiatru. Jedyłą nadzieją było, że szkwał po chwili ustanie.

Wiedziałem, że łąd zostaje coraz dalej za rufą. Na próżno wzywałem Dicka, aby mi pomógł. Chwilami nachodziła mnie straszliwa myśl, że on już umarł, gdyż szum wichury i huk fali nie pozwalały słyszeć jego oddechu.

Muszę przyznać, że podniecenie i strach spowodowały, że i ja poczułem się chory. Wyobraziłem sobie, że również zatrąłem się rybą lub dziczyzną. Trudno mi powiedzieć, ile godzin trwała ta męka. Wreszcie, jak się tego spodziewałem, szkwał minął.

Powiała łagodna bryza. Natychmiast zmieniłem kurs ostro do wiatru, żywiąc nadzieję, że przed wschodem dotrę z powrotem do wyspy. Po niespełna kwadransie wiatr ustał i szalupa tańczyła bezwładnie na martwej fali. Opuściłem żagiel i usiadłem obejmując maszt, z mocnym postanowieniem, że będę czuwał i czekał na najłżejszy podmuch. W głębi serca kryłem nadzieję, że powieje w stronę wyspy. Słuchałem oddechu Dicka, wołałem doń, lecz on nie odpowiadał. Widocznie nadal był nieprzytomny. Czułem coraz większe zmęczenie. Godziny podniecenia wyczerpały mnie. Wytężałem wszystkie siły, aby nie zasnąć. Nie udało się.

Zbudziłem się nagle. Wstałem i zacząłem szukać wzrokiem łądu. Na próżno. Otaczał mnie nieprzerwany niczym, równy widnokrąg morza. Przed dziobem łodzi jaśniała zorza. Z łoża oceanu powstawała wielka ognista kula, oblewając czerwonym blaskiem brzegi chmur okrywających niebo. Bryza powiała od wschodu. Według słońca orientowałem się, jak sterować. Nad szalupą szumiały skrzydłami stada ptaków. Wyspa musiała być blisko.

Znów próbowałem przywrócić Dicka do przytomności. Na próżno. Słyszałem tylko równiejszy oddech, który napawał mnie nadzieją, że druh jednak wyzdrowieje.

Podniosłem żagiel i z szotem w ręku przeszedłem do rumpla. Sterowałem na południe.

ROZDZIAŁ V

Wyspa odnaleziona. W niewoli u tubylców. Stracone nadzieje. Nowa choroba i śmierć Dicka. Groźba wojny. Przybycie Harry'ego. Przegrana Whagoo. W nowej niewoli. Ucieczka. Pogoń. Ratunek

Z niepokojem wypatrywałem łądu. Nie miałem pojęcia, jak daleko zapędziły mnie szkwały. Istniała możliwość, że odpłynąłem daleko na zachód i minę wyspę nie zobaczywszy jej. Pomimo wielu wątpliwości nie zmieniłem kursu. Wciąż sterowałem na południe.

Jednocześnie obserwowałem twarz Dicka. Wydawało mi się, że zapadł w głęboki sen, po którym będzie się czuł lepiej. Wywierciłem w orzechu kokosowym otwór i przygotowałem kawałek ryby, aby go nakarmić, gdy otworzy oczy i wstanie. Dick jednak spał tak spokojnie, że ponownie nawiedziły mnie myśli o jego śmierci. W innych warunkach prawdopodobnie nie myślałbym o tym. Byłem jednak strasznie znużony i pełen obaw. Upadałem na duchu.

Żeglując po spokojnym oceanie, po falach błyskających odbitymi promieniami słońca, musiałem przedstawiać widok człowieka całkowicie zadowolonego z życia — obraz jakże bardzo nie odpowiadający rzeczywistości.

Co pewien czas wstawałem i szukałem wzrokiem upragnionego łądu. Lekka mgiełka, zakrywająca dotychczas widnokrąg, zniknęła pod coraz mocniejszymi promieniami słońca. Wówczas ku mej niewysłowionej radości dostrzegłem ów cypel, który chciałem okrążyć poprzedniego dnia. Wyrastał z morza znacznie bliżej, niż przypuszczałem. Od razu odzyskałem dobre samopoczucie. Zacząłem marzyć, że jeżeli Dick wydobrzeje, wtedy wszystkie moje troski i obawy znikną na zawsze. Nie mogłem pohamować okrzyku: „Łąd! łąd”, chociaż nie zdałem sobie z tego sprawy, zanim nie usłyszałem własnego głosu. Wołając zbudziłem Dicka.

— Ład, panie Rayner, ład! — wykrzyknął. — Myślałem, że lada chwila wejdziemy do portu i spotkamy pana Mudge z resztą towarzyszy.

Próbowałem objaśnić mu przebieg wydarzeń, lecz był jeszcze półprzytomny i niewiele rozumiał.

— Co? Przez cały czas pan siedział u steru? Pan musi być zupełnie wyczerpany! — wykrztusił Dick. — Proszę pozwolić, wezmę rumpel, a pan wypocznie.

Ze sposobu, w jaki rozmawiał, rozumiałem, że jeszcze jest niezdrów. Powiedziałem mu, że trochę spałem i mam jeszcze dość sił, aby siedzieć przy sterze.

Poczęstowałem go przygotowanym uprzednio pożywieniem — mlekiem kokosowym i rybą — które Dick przyjął bardzo chętnie. Po śniadaniu czuł się już lepiej. Usiadł i zaczął rozmowę.

Obliczyliśmy, że nie dotrzemy do zatoki pana Mudge przed zachodem słońca. Dick radził mi, abym oszczędzał żywności na wypadek, gdyby zapadła cisza.

Płynęliśmy obok wyspy. Jej wschodnie brzegi utworzone były z wysokich skał. Wiatr dął coraz silniej i żeglowaliśmy wartko. Po przebyciu mili dojrzałem żagiel i wydałem okrzyk radości.

— Hura! To pewnie okręt, który zabierze nas i towarzyszy na pokład.

— To tylko wyspiarska piroga — ochłodził mój zapał Dick. — Teraz powstaje pytanie, czy płyną na niej przyjaciele czy wrogowie. Jeśli wrogowie, możemy zakończyć podróż w sposób nieoczekiwany i niemiły.

Statek był typowym dla tych archipelagów dwukadłubowym katamaranem, z jednym trójkątnym, plecionym jak mata białym żaglem, który początkowo wziętem za topsel okrętu.

Katamaran szedł ostro do wiatru, z szybkością, jaka wykluczała naszą ucieczkę. Obie pirogi, tworzące kadłub statku, były bardzo wąskie i długie. Na nich opierała się platforma. Na tym dziwnym pokładzie dojrzelśmy trzech mężczyzn. W razie wrogich zamiarów mogliśmy więc stawiać opór. Dick jednak czuł się bardzo osłabiony, uznaliśmy zatem, że najstuszniej będzie, jeśli odważnie poradzimy wyspiarzom, aby płynęli swoim kursem, a sami nadal będziemy sterować na południe. Katamaran zbliżył się, a z pirogi wyjrzały twarze jeszcze trzech krajowców, uzbrojonych w łuki i dzidy. Odłożyli dzidy na pokład i napięli łuki. Przekonany, że zaczną szyć strzałami, opuściłem żagiel i podniosłem ręce, dając znać, że poddajemy się. Wyspiarze zdjęli strzały z cięciw i katamaran przybił do naszej burty. Wskazałem na Dicka i próbowałem wytłumaczyć, że jest chory. Napastnicy nie zwracali uwagi na moje znaki, trzech z nich wskoczyło do szalupy i przycumowało do niej swój statek, po czym porwali Dicka i mnie na jego pokład. Początkowo myślałem, że chcą nas natychmiast zabić. Dick był zbyt słaby, aby się bronić, a ja sam nie miałem żadnych szans zwycięstwa.

Starałem się nie okazywać strachu. Pochwyciłem dłoń jednego z wyspiarzy i potrząsnąłem nią na znak przyjaźni, uśmiechem próbując zjednać napastników. Tubylcy po krótkiej naradzie wyraźnie zdecydowali, że oszczędzą nas. Opuścili żagiel, przełożyli na drugą stronę masztu i przeciwnym do poprzedniego halsem pożeglowali, holując za sobą naszą szalupę. Dickowi pozwolili siedzieć na pokładzie, a ja stałem obok niego. Nikt nie tknął nas nawet palcem.

— Panie Rayner — szepnął Dick — to brzydka sprawa, ale musimy robić dobrą minę do złej gry. Gdybym czuł się lepiej i mógł panu pomóc, dalibyśmy sobie radę. Ale czuję się słaby jak dziecko i to mnie gnębi najbardziej.

— Mam nadzieję, że wydobrzejesz, a wówczas zorganizujemy ucieczkę do naszych przyjaciół — od powiedziałem.

— Ja natomiast obawiam się, aby wyspiarze nie wzięli ich do niewoli — mówił Dick. — Ciekaw jestem, dlaczego nie znaleźli nas wcześniej? Podejrzewam, że muszą być jakieś powody, dla których południowa część wyspy jest nie zamieszkała.

Mogłem tylko przyznać słuszność rozumowaniu Dicka i życzyć sobie, aby Mudge od-

krył istnienie tubylców na wyspie i miał się przed nimi na baczości. Oczywiście przykro mi było, że oficer podzielił nas na małe grupki. Gdybyśmy wędrowali wszyscy razem, moglibyśmy bronić się lub w razie potrzeby ująć na naszych łodziach.

Na razie udawałem, że jestem zadowolony i starannie kryłem uczucie strachu. Aby to zadokumentować, chodziłem po pokładzie i oglądałem ciekawą konstrukcję statku. Obie pirogi, wyciosane z pni drzew, były umocowane równolegle do siebie na końcach mocnych, kilkustopowej długości żerdzi. Na tej konstrukcji leżał pokład z cienkich prętów, a maszt opierał się stopą o poprzeczną belkę zaciśnięty drewnianymi nożycami. Z boków podtrzymywały go potrójnie skręcane liny z włókien platanów. Żagiel z misternie plecionej maty miał kształt trójkąta, którego górny brzeg tworzyła giętka łaćńska rejka. Szoty i fały, nie grubsze niż palec, skręcane były z tych samych włókien co wanty.

Sternik kierował łodzią za pomocą lekkiego wiosła, sterczącego wysoko nad pokładem. Podczas ciszy wiosło to stanowiło napęd statku — pracowano nim „na śrubkę”. Niezbyt to wygodny sposób poruszania, ale cóż — katamaran był przede wszystkim statkiem żaglowym.

Na pokładzie w glinianym palenisku płonął ogień, a nad nim wisiał garnek z jakimś smakowicie pachnącym jadłem.

Poczułem głód. Wytłumaczyłem krajowcom na migi, że chcę jeść, a mój towarzysz również musi podtrzymać swe nadwątlone siły. Jeden z nich drzewcem dzidy zamieszał w garnku i widocznie uznał potrawę za gotową, gdyż skoczył do pirogi. Wyjął ze schowka zagięty w kształcie haka patyk i kilka szerokich liści, które rozdał wszystkim na pokładzie z wyjątkiem sternika. Zebrani wokół ogniska czekaliśmy na wydawanie porcji. Każdemu dostał się kawał ryby i jakieś rozgotowane korzenie. Podziękowaliśmy z Dickiem gospodarzowi w najbardziej przekonujący sposób i zjedliśmy wszystko do ostatniego kęsa.

Dick głąskał się po brzuchu i wykrzykiwał:

— Bono, bono, to było świetne, panie dzikus!

Ryba rzeczywiście miała smak doskonały. Zwracając się do mnie Dick oświadczył, że czuje, jak powracają mu siły, i że widzi świat nie w tak ciemnych jak przedtem kolorach.

Katamaran sunął gładko po wodzie. Muszę przyznać, że patrząc na jego lekką konstrukcję stwierdziłem, że przy dużej fali żegluga na nim na pewno nie przypadłaby mi do gustu. Wyspa była coraz bliżej. Na naszym kursie dostrzegłem wejście do zatoki otoczonej wysokimi skałami, dolinę wrzynającą się w głąb lądu, palmy kokosowe nad brzegiem. Widok był bardzo malowniczy i przyjemny. Niedaleko plaży gromadki prawie całkiem nagich wyspiarzy brodziły po wodzie. Widocznie łowili ryby, gdyż inni przyglądali się ich zajęciu z dużym zainteresowaniem.

Początkowo nie zwracali uwagi na katamaran, jednak gdy dostrzegli naszą szalupę, a zapewne i nas, wszyscy pobiegli do zatoczki. Dobiliśmy do płaskiego głazu, na który można było wychodzić jak na pomost.

Kapitan czy wódz załogi naszego statku wygłosił długie przemówienie. Zapewne objaśniał rodakom, w jaki sposób zostaliśmy pojmani. Na zakończenie Dick uściśnił mi rękę, jakby był przekonany, że przemówienie nie kryło w stosunku do nas wrogich zamiarów.

Wódz i jego współziomkowie wyraźnie byli z tego gestu zadowoleni. Z oznakami szacunku, którego całkiem nie spodziewaliśmy się, zaprowadzono nas w głąb lądu. Widzieliśmy, jak niektórzy wyspiarze oglądali szalupę, inni dotykali naszych ubrań, podziwiali białą skórę. Po długich oględzinach, przy akompaniamencie podnieconych głosów, poprowadzono nas do wioski. Tam scena powtórzyła się. Ciekawskimi były tu przeważnie kobiety i dzieci.

Gest po geście, słowo po słowie, domyśliliśmy się, że dowódca łodzi był synem wodza wioski i dlatego zostaliśmy oddani pod jego opiekę, a raczej staliśmy się jego własnością.

Pierwsza rozmowa wyglądała w ten sposób:

Wskazałem na mego towarzysza i powiedziałem „Dick”, a polem dotknąłem palcem swej piersi i wyraźnie wymówiłem „Rayner”; z kolei wskazałem na wodza i rozłożyłem ręce.

Zrozumiał o co mi chodzi, i rzekł godnie: „Paowang”.

W ten sam sposób poznałem również i imię jego syna — Whagoo.

— Tak więc, panie Paowang — zaczął przemówienie Dick — mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Będziemy panu wdzięczni, jeśli wskażesz nam chatę, w której możemy zamieszkać, i to jak najszybciej, gdyż radzi bylibyśmy ukryć się przed zbyt gorącym słońcem i uciąć sobie smaczną drzemkę. O odpowiedniej porze rozkaż swoim podwładnym, aby przynieśli nam dwie porcje ryby i wiele innych przysmaków. Będziemy za to panom bardzo zobowiązani.

Chociaż Paowang nie rozumiał ani słowa, pojął jednak gestykulację Dicka. Natychmiast wskazał pobliską chatę i wytłumaczył, że jest ona do naszej dyspozycji.

Parę żerdzi wbitych w ziemię i pokrytych matami tworzyło ściany naszego domu. Strzecha z liści i grube maty na podłodze zamykały budowlę z góry i z dołu. Byliśmy wreszcie oddzieleni od natrętnego tłumu, a tak bardzo tego pragnęliśmy. Albowiem wygląd większości towarzyszących nam ludzi nie był zbyt miły, chociaż wódz i jego syn mieli twarze wesołe i przyjemne.

Kobiety miały na sobie spódnice z mat, a mężczyźni z płótna lub po prostu kawałki materiału owinięte wokół bioder. Kolor skóry wyspiarzy był raczej brązowy niż czarny, lecz wielu z nich pokrywało ciała mieszaniną farby i ziemi czy też sadzy, co oczywiście upodobiło ich do czarnoskórych. Starsi mężczyźni mieli krótkie krzacaste brody i olbrzymie wełniste czupryny. Uzbrojenie ich stanowiły łuki, dzidy i rzeźbione maczugi o różnych kształtach. Niektóre wyglądały na bardzo groźną broń. Posiadali również strzałki z nacinanymi grotami, które wyrzucali ze specjalnych proc. Strzałki te mogły zabijać ptaki i ryby na odległość osiem do dziesięciu jardów.

Narzędzia, jakie widziałem, sporządzone były wyłącznie z kamienia i muszli. Oburzał nas fakt, że najcięższe roboty wykonywały kobiety, którym mężczyźni nie szczędzili uderzeń i obelg.

Do wieczora nikt nas nie odwiedzał. Dopiero o zmroku córka wodza przyniosła nam ryby i poi, rodzaj kaszy przyrządzonej z owoców drzewa chlebowego albo yamu.

Po spokojnie spędzonej nocy już wczesnym rankiem wódz wezwał nas do siebie i wytłumaczył, że aby otrzymać jedzenie, trzeba na nie zarobić. Musimy zatem pracować na plantacjach taro, chodzić na polowanie albo zabrać się do rybołówstwa.

Dick natychmiast powiedział, że możemy wypływać na połów własną łodzią, jednocześnie dodając, co zrozumiałem tylko ja, iż natychmiast skorzystamy z okazji i uciekniemy.

Ostrzegłem go, aby zbyt wyraźnie nie zdradzał naszych zamiarów. Ponieważ jednak rozmawialiśmy z wodzem wyłącznie za pomocą gestów, rozmowa nie należała do najłatwiejszych.

Dick doszedł już do dużej wprawy. Pokazał, że bez broni nie możemy iść na polowanie. Potem naśladowując ruchy kopaczy wyjaśnił, jak bardzo nam ten rodzaj pracy nie odpowiada. Wreszcie łatwymi do zrozumienia gestami pokazał, jak będzie rzucał wędkę i wyciągał ryby. Wódz skinął głową i wskazał ręką morze. Mogliśmy iść do portu. Pokazywaliśmy nasz sprzęt rybacki, haczyki, wędki. Poprosiliśmy o małe rybki na przynętę. Cieszyliśmy się na myśl, że popłyniemy na morze bez straży i po paru dniach, gdy zdobędziemy zaufanie, uda się nam ucieczka. Nadzieje te spaliły na panewce. Do szalupy wsiadło wraz z nami trzech dzikusów uzbrojonych w toporki i maczugi. Uśmiechali się przekornie, jakby ciesząc się z pokrzyżowania naszych planów.

Dick nie zwracał na to uwagi. Wcisnął im do rąk wiosła i kazał wiosłować. Nie mieli o tym pojęcia. Musieliśmy zabrać się do pracy; wypływając z zatoki, uczyliśmy naszych strażników nowego fachu.

Wyspiarze próbowali wiosłować, ale robili to bez powodzenia. Najprzód jeden z nich zaciął tak mocno wodę, że wiosło stanęło pionowo, drugi szarpnął i pióro wyskoczyło z

wody, a niefortunny wiosłarz przewrócił się na plecy, boleśnie uderzając głową o następną ławkę. Potem znów pierwszy wywinął koziołka w identyczny sposób. Nie mogliśmy z Dickiem powstrzymać śmiechu, na co jeden z dozorców chwycił maczugę i zaczął wygrażać nią Dickowi. Uspokoiłmy go poklepując po ramieniu, a Dick wskazał mu miejsce przy sterze. Sam usiadł przy wiosle i pokazywał spokojnie, jak należy nim się posługiwać.

Byliśmy już dość daleko od brzegu i zaczęliśmy połów. Prawie natychmiast po zarzuceniu linki wyciągnąłem dużą rybę, Dick następną tuż po mnie. Ryby brały jedna za drugą ku wielkiej radości wyspiarzy. Za pomocą naszych wędek w ciągu trzech godzin złowiliśmy więcej niż tubylcy przez cały dzień.

Po powrocie uradowany wódz nadał Dickowi imię — Człowiek Wielkiej Ryby.

Mijały dni. Cieszyliśmy się szacunkiem wodza i mieszkańców wioski. Traktowano nas bardzo uprzejmie, a mimo to byliśmy tylko niewolnikami, którzy bardzo niepokoiли się o losy swych towarzyszy. Jeśli wyspiarze odkryliby ich obecność i zaatakowali, pokonani w walce przyjaciele nie mogliby liczyć na takie jak my traktowanie, a nasze szanse ucieczki zmalałyby znacznie.

Po przeszło dwóch tygodniach tubylcy zaczęli obchodzić się z nami bardziej szorstko. Kilku z nich posiadało sztukę wiosłowania i bywało, że na połów posyłano tylko jednego z nas, podczas gdy drugi musiał pracować w polu w towarzystwie kobiet i dziewcząt. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie straszliwy żar spływający z nieba. Dick bardzo cierpiał od upałów i wyglądał coraz gorzej. Przerażała mnie myśl o nawrocie jego choroby.

Niestety moje najgorsze przewidywania miały się sprawdzić niebawem.

Pewnego wieczora gdy wróciłem z połowu, zastałem Dicka leżącego bez sił na matach. Zaledwie mógł mówić. Spędził cały dzień w polu, był głodny i cierpiał na udar słoneczny. Miał wysoką temperaturę. Pobiegłem do wodza i prosiłem go o mleko kokosowe, lecz nie otrzymałem pomocy. Zrozpaczony, wdrapałem się na najbliższą palmę, na której dostrzegłem kilka orzechów. Zerwałem je i rzuciłem na ziemię. Dwa pękły i mleko było stracone, zostały jednak trzy całe, które natychmiast zabrałem do chaty.

Pojąc druha odżywczym płynem miałem obawy, że pomoc jest spóźniona. Czuwałem przy nim całą noc. Od czasu do czasu podawałem napój, ale chory czuł się coraz gorzej.

Przemówił tylko raz.

— Panie Rayner, uciekaj łodzią. To jedyna droga. Ufaj Bogu, On ci pomoże... — zamilkł wyczerpany. Zasnąłem i ja.

Zbudziło mnie słońce zaglądające przez drzwi chaty. Spojrzałem na Dicka. Twarz miał spokojną i pogodną. Dotknąłem jego odrzuconej na bok ręki. Wybuchnąłem płaczem — mój towarzysz nie żył.

Gdy tylko uspokoilem się, poszedłem do wodza i błagałem, aby przydzielił mi paru mężczyzn do pomocy. Chciałem wykopać Dickowi grób i urządzić pogrzeb, gdyż obsiadły go już roje much.

Wódz przystał na moje prośby. Mogiłę wykopaliśmy za wsią, na wzgórzu z ładnym widokiem na morze. Wieczorem pochowałem towarzysza, z żalem po raz ostatni spoglądając na jego szlachetną twarz.

Obok grobu zasadziłem pędy drzew i kwitnących krzewów. Następnego dnia na kawałku deski wyciąłem nazwisko zmarłego i datę jego śmierci.

Wkrótce po śmierci Dicka zauważyłem we wsi niezwykle poruszenie. Mężczyźni przygotowywali broń, kobiety były wyraźnie zaniepokojone i podniecone. Tubylcy nie wyjaśnili mi jednak, o co chodzi. Jak zwykle musiałem pracować w polu.

Zaczniałem o świcie, aby wykonać jak najwięcej pracy, zanim słońce przygrzeje. Pewnego dnia usłyszałem w krzakach trzask gałęzi i w ślad za tym ujrzałem biegnącego ku mnie człowieka. Był to Harry Hudson.

— Uciekajmy! Gonią mnie — wołał. — Pochwyć nas obu! Później powiem ci, co się

stało.

Pobiegliśmy w stronę wsi. Harry szybko wyjaśnił mi, że był ścigany przez wrogie tutejszej wiosce plemię, które jeśli nie zostanie zatrzymane, zniszczy uprawne pola.

Wojownicy pod dowództwem Whagoo ruszyli naprzeciw nieprzyjaciela. Wódz wsi dziękował Harry'emu za ostrzeżenie i obiecał bronić go przed ścigającymi wrogami.

Ku memu zdziwieniu Harry doskonale umiał porozumiewać się z tubylcami, chociaż dialekt, jakim mówił, znacznie różnił się od miejscowego.

Wypytywałem go, w jaki sposób znalazł drogę do wioski i skąd wiedział o mojej niewoli.

Wówczas Harry opowiedział mi dokładnie o przeżyciach całej ich grupy, o tym, jak bardzo martwili się o mnie i Dicka, gdy zniknęliśmy bez śladu. Harry i Tamaku pewnego dnia wyruszyli na wyprawę, aby zbadać północną część wyspy i poszukać nowych palm kokosowych, które w najbliższej okolicy biwaku zostały już ogołoczone z owoców. Przeprawili się przez strumień oddzielający północną część wyspy od południowej i brnęli poprzez gąszcze. Nagle stanęli oko w oko z dużą grupą dzikusów. Tamaku chciał się bronić, lecz został uderzony maczugą w głowę. Upadł na ziemię i Harry przypuszcza, że zginął. Tubylcy porwali Harry'ego do swej wioski. Traktowali go dość uprzejmie. Chłopca stale dręczyły obawy, że może być zabity z jakiegoś błahego powodu. Postanowił szukać ratunku w ucieczce, a jednocześnie ostrzec pana Mudge i towarzyszy. Na szczęście rozumiał rozmowy wyspiarzy i dowiedział się, z nich, że wrogie plemię na północy wyspy pojmało szalupę z dwoma białymi. Natychmiast pojął, że chodziło o Dicka i o mnie. Później podsłuchał rozmowę o planach napaści na owo północne plemię.

Wodzem wioski, w której był jeńcem, był Oamo. Był to gwałtowny, krewki wojownik i Harry wyczuwał, że w niewoli u takiego człowieka jego życie było bardzo zagrożone.

Wybadał możliwości ucieczki. Wrócić na południe było znacznie trudniej niż przedostać się na północ do mnie, ponieważ tubylcy szukaliby go raczej na ścieżkach wiodących do biwaku białych.

Tej samej nocy zrealizował swój odważny zamiar.

Paowang i Whagoo przyspieszali przygotowania do wielkiej wojny. Pod dowództwem Whagoo ruszyli w dżungłę, zabierając ze sobą Harry'ego i mnie. My dwaj nie mieliśmy broni i byliśmy zdziwieni słysząc rozkaz wymarszu. Nie mieliśmy ochoty walczyć, nawet gdyby dano nam broń. Whagoo jednak stwierdził, że byliśmy mu potrzebni.

Szybkim marszem dotarliśmy do rzeki, która rozdzielała włości Paowanga od terenów Oamo. Na przeciwległym brzegu stali w szyku bojowym wojownicy Oamo. Obie armie zaczęły działania. Poleciały nad wodę przekleństwa, obelgi i różne wymyślne przezwiska. Innej broni na razie nikt nie używał. Wojownicy obu stron judzili się wzajemnie, rozbudzając w sobie odwagę.

Harry mówił mi, że na tyle, ile mógł zrozumieć, każda ze stron wzywała przeciwnika do przekroczenia rzeczki.

Wreszcie Whagoo wyzwał Oamo na pojedynek. Po krótkiej naradzie wyzwanie zostało przyjęte i Oamo z dwudziestu wojownikami przeszedł strumień.

Grupa jego stanęła przed nami nie dalej niż w odległości pięćdziesięciu jardów. Dwaj przywódcy, uzbrojeni w pięknie wykonane maczugi, ruszyli do boju. Odniosłem wrażenie, że jeden skutecznie zadany cios powinien być zdecydować o zwycięstwie. Przeciwnicy zbliżali się powoli, bacznie się obserwując. Najwyraźniej wyczekiwali na odpowiedni moment, aby wymierzyć pierwszy cios.

Whagoo był młodszy i ruszał się żwawiej. Wzniósł swą maczugę do góry, jakby chciał przygwoździć przeciwnika do ziemi potężnym ciosem. Za to Oamo, który wyglądał na silniejszego, czaił się ostrożnie, trzymając swą dwuręczną broń tuż przy ziemi. Potem przez chwilę trwali bez ruchu. Wzrok każdego z nich płonął. Patrzyli na siebie bez mrugnięcia okiem.

Nagle Oamo zadał szybki jak błyskawica cios. Whagoo odskoczył i przeszedł do ataku. Oamo, balansując, przyjął pozycję obronną i uniósł maczugę. Znów obydwaj zamarli na chwilę pełni napięcia, nie decydując się na nowy atak.

Wreszcie Whagoo zaczął tracić cierpliwość. Zrobił szybki doskok i próbował zadać cios w prawy bok Oamo. Ten jednak miał się na baczności; szybkim jak myśl unikiem przepuścił ciężką maczugę przeciwnika obok, zadając z kolei cios swoją.

Whagoo aż przyklęknął, lecz odparował uderzenie. Poderwał się natychmiast, atakując odstonięte ramię przeciwnika. Rozgrzani walką wojownicy ruszali się tak szybko i z taką precyzją, że żaden cios nie trafiał. Krążyli wokół siebie, czaili się, przysiadali. Oamo zwodami zmuszał Whagoo do stałego ruchu. Najwyraźniej chciał go zmęczyć. Wytrawny szermierz zadał wreszcie cios, który nie chybił celu. Koniec maczugi rozdarł lewe ramię Whagoo. Krew buchnęła strumieniem. Wydawało się, że raniony wojownik zaraz padnie bez sił. On jednak walczył dalej, podniecony atakował z jeszcze większą wściekłością, ale bardzo nieostrożnie.

Zacząłem obawiać się wyniku spotkania. Oamo widział swą przewagę. Z wyrachowaniem pozwalał Whagoo rozrzutnie zużywać siły

— Co uczynimy, gdy nasz przyjaciel zostanie pokonany? — spytałem Harry'ego.

— Będziemy musieli próbować ucieczki. Obawiam się, że możemy być oddani zwycięzcom.

— I zostaniemy zabici?

— Jeśli Oamo wyjdzie z walki bez jednej rany — nie zabiją nas. Będą świętować zwycięstwo z taką radością, że zatrzymają nas jako łup. Mimo wszystko nie podoba mi się ta historia.

Obawy nasze wzrosły, gdy Oamo trafił Whagoo w udo, a jednocześnie błyskawicznym odskokiem uniknął straszliwego ciosu wymierzonego w swoją głowę. Whagoo w zbytnim zapale, osłabiony wpływem krwi, stracił równowagę i zanim zdołał ją odzyskać maczuga Oamo roztrzaskała mu czaszkę. Nasz obrońca padł martwy.

Wojownicy Oamo z dzikim wrzaskiem rzucili się do ataku i zanim zdołaliśmy z Harrym pomyśleć o ucieczce, otoczyli nas zbrojnym kołem. Podwładni Whagoo rozbiegli się jak stado spłoszonych jeleni, a Oamo nie zadał sobie trudu, aby ich ścigać natychmiast. Prawdopodobnie był przekonany, że wódz Paowang zbierze swoich wojowników i będzie chciał pomścić śmierć syna.

Natychmiast uprowadzono nas na drugą stronę rzeki. Zaczęliśmy pośpieszny odwrót na południe, przy wtórze triumfalnych hymnów.

Zwycięzcy nie zatrzymali się, zanim nie dotarli do wioski. Przed chaty wyległy tłumy kobiet, aby powitać wracających i przyjrzeć się nam — jeńcom. Nie spodziewałem się niczego innego, jak tortur i śmierci. Ale Oamo, chociaż dzikus, nie patrzył na nas z nienawiścią. Widocznie zadowolony ze zwycięstwa miał zamiar zgotować nam los łagodniejszy niż ten, jaki czekałby nas w innych okolicznościach. Byliśmy jednak skazani na niewolę. Przypuszczałem nawet, że pod baczną strażą nie będziemy mieli żadnych szans ucieczki.

— Nie upadaj na duchu — pocieszał mnie Harry. — Dzikusy nie mają pojęcia, że rozumiem każde ich słowo. Wkrótce poznam wszystkie ich plany i to ułatwi nam przygotowanie planu działania. Z tego, co dowiedziałem się dotychczas, odnoszę wrażenie, że południowa część wyspy jest tabu i wstęp na nią jest zakazany, gdyż należała niegdyś do wodza, będącego jednocześnie kapłanem, a teraz jest świętą ziemią czy czymś w tym rodzaju, ów wódz wyruszył pewnego razu na wyprawę i zakazał pod karą najstraszliwszych klątw wstępować na tamte tereny. Z wyprawy nie powrócił, ale Oamo i jego ludzie za nic nie odważą się okupować tamtych ziem. Możemy tam żyć spokojnie i bez obaw, jeśli tylko uda się nam przekroczyć strumień stanowiący granicę świętej ziemi.

Słowa przyjaciela znacznie podniosły mnie na duchu. Łatwiej było mi teraz znosić niewygody i przeciwności losu.

Dzień po dniu mijał spokojnie. Traktowano nas podobnie jak w wiosce Paowanga. Nie musieliśmy jednak łowić ryb z tej prostej przyczyny, że nasi gospodarze nie mieli łodzi.

W rozmowach na temat ucieczki doszliśmy do wniosku, że warto pokusić się uciekać na północ. W wiosce Paowanga była nasza szalupa i katamaran, którym umiał kierować tylko jeden Whagoo. Ten zginął w walce. Jeśliby więc udało się nam wykraść szalupę, możliwości pościgu były znikome.

Z biegiem czasu smak niewoli stawał się coraz bardziej gorzki. Jedyłą pociechą było to, że nas nie rozłączono i wieczorami mogłem uczyć Harry'ego wszystkiego, com umiał.

Na szczęście znałem dużo wierszy. Recytowałem je z pamięci i Harry wkrótce również się ich nauczył. Opowiadałem mu o Anglii, o fabrykach, o historii, uczyłem geografii, a nawet arytmetyki. Moja dobra pamięć była mi bardzo przydatna, a teraz miałem okazję przypominać sobie wszystko, co zapewne w innych warunkach bym zapomniał.

Nasze do pewnego stopnia przyjemne życie urwało się. Nie wiadomo dlaczego tubylcy rozdzielili nas pewnego dnia i kazali sypiać w różnych chatach. Czyżby obawiali się naszej ucieczki? Nawet pracować musieliśmy na różnych krańcach pola. Jednak pewnego wieczora Harry odnalazł mnie. Powiedziałem mu wtedy, że jeśli będzie miał okazję do ucieczki, niech nie zwraca na mnie uwagi, lecz zmyka. Tłumaczyłem mu, że mnie również może się zdarzyć taka okazja, a jeśli pan Mudge nie opuścił jeszcze wyspy, to jest całkiem prawdopodobne, że podejmie jakieś kroki, aby mnie uwolnić.

Harry zgodził się ze mną. Po chwili jednak dodał, że jeśliby nie odnalazł pana Mudge w świętej części wyspy, to wróci do mnie. Cóż bowiem uczyniłby żyjąc sam na pustkowiu. Razem zawsze będzie raźniej

Po paru dniach domyśliłem się, że ucieczka przyjaciela została zrealizowana. Nie mogłem dostrzec go ani w pracy, ani w wiosce. Czasami nawiedzała mnie straszliwa myśl, że został zabity przez tubylców. Stosunek mieszkańców wioski do mnie zmienił się w zasadniczy sposób. Traktowano mnie gorzej pracowałem tak ciężko jak nigdy przedtem, a kobiety, które jeszcze niedawno uśmiechały się do mnie uprzejmie, teraz na mój widok odwracały głowy. Głodowałem i byłem zadowolony, gdy udawało mi się dostać resztki pożywienia pozostawione przez kobiety, które z kolei zjadały resztki po mężczyznach. Mając z natury pogodne usposobienie, nie brałem tych spraw zbyt tragicznie, nie popadałem w rozpacz, stale żywiąc nadzieję, że pewnego dnia uda mi się stąd czmychnąć. Układałem sobie na ten temat przeróżne plany. Sądziłem, że gdyby udało mi się dotrzeć do brzegu, to znalazłbym drogę wzdłuż plaży. W skałach było pełno kryjówek, które mogłyby udzielić mi schronienia podczas dnia. Zawsze mógłbym zatrzeć ślady maszerując samym skrajem plaży obmywanej przez fale.

Na razie każdego dnia pracowałem rzetelnie i czas po pracy spędzałem w chacie, dzięki czemu usypiałem uwagę gospodarzy wsi.

Jednak czułem, że niewola ciąży mi coraz bardziej, i postanowiłem wreszcie zrealizować swe marzenia i plany.

Jak zwykle wieczorem powróciłem do wsi, udając przy tym, że skręciłem nogę. Zjadłem swój skromny posiłek, poszedłem do chaty i ległem na pośłaniu. Udawałem, że śpię. Niecierpliwie czekałem aż ucichną we wsi wszystkie głosy. Wstałem i skradając się bezszelestnie wyszedłem z chaty. Drogę ucieczki miałem upatrzoną zawczasu. Szedłem ostrożnie i dopiero gdy byłem pewny, że odgłos moich kroków nie może dolecieć do wsi, zacząłem biec. Pędziłem na zachód w stronę morskiego brzegu.

W żadnym wypadku Oamo nie będzie wiedział, czy umknąłem na północ czy na południe.

Po godzinie biegu zobaczyłem ocean. Ruszyłem według planu wzdłuż plaży. Na szczęście był przypływ, więc mogłem maszerować po miękkim piasku, tuż na granicy wody. Bałem się stąpać na suchy skraj plaży, aby nie zostawić śladów. Czasem musiałem wspinać

się na skały i przełazić przez duże głazy. Na szczęście nie napotkałem miejsca, gdzie by kamienne ściany wchodziły głębiej w morze, co oczywiście uniemożliwiłoby mój plan ucieczki.

Szedłem przez całą noc. Księżyc, który wspiął się na niebo, oświecał mi drogę i ułatwiał marsz.

O świcie kusilo mnie, aby nie przerywać ucieczki. Rozsądek jednak zwalczył niebezpieczną pokusę i zacząłem szukać wśród skał schronienia, gdzie mógłbym ukryć się przed pościgiem.

Nie miałem pojęcia, jak daleko uszedłem, ale zdawałem sobie sprawę, że do zatoki pana Mudge jest jeszcze szmat drogi. Znalazłem kryjówkę dość daleko od najwyższego punktu przyływu i mogłem być spokojny, że woda do niej nie dotrze. Zmęczony ułożyłem się na twardym kamiennym łożu i zasnąłem.

Zbudził mnie szum skrzydeł. Przerażony ujrzałem nad sobą wielkiego morskiego ptaka, nie mniejszego od albatrosa, który mierzył szponami w moją głowę. Krzyknąłem, aby odstraszyć napastnika, i zerwałem się gotów do obrony. Ptak odleciał natychmiast w stronę morza. Patrzyłem za nim i... dojrzałem na falach małą plamkę. Wyteżyłem wzrok. Tak, to nie mogła być tubylcza piroga — to była łódź. Zbliżała się do brzegu. W obawie, aby nie minęła mnie, chciałem wołać. Lecz łódź była zbyt daleko. Jediną możliwością dania znaku, że jestem tu, wśród skał, było opuszczenie kryjówki i wybiegnięcie na jasny pas plaży. Machałem rękami, próbując w ten sposób zwrócić na siebie uwagę przyjaciół — gdyż byłem przekonany, że to właśnie oni stanowią załogę łodzi. Krzyczałem przy tym z całych sił. Zamilkłem na chwilę i do uszu mych jak echo dobiegły z daleka inne głosy. Ze wzgórza zbiegali ku plaży tubylcy. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, było to, że nie mieli ze sobą ani łuków, ani dzid. Pędzili ku mnie wrzeszcząc nieludzko. Jak oszalały machałem rękoma w stronę łodzi.

Byłem już bliski ostatecznej desperacji, gdy łódź gwałtownie skręciła w moją stronę i człowiek stojący na dziobie odpowiedział mi okrzykiem i machaniem rąk. Zaczął się wyścig o moje życie. Z jednej strony tubylcy, w których rękach dojrzałem teraz noże, byli już na plaży, z drugiej strony łódź — znacznie jeszcze oddalona od brzegu.

Jedyny ratunek to rzucenie się w pław ku swoim. Wiedziałem, że morze roi się od rekinów, musiałem jednak podjąć decyzję. Tak jak stałem, wbiegłem w wodę. Szedłem w bród, dopóki czułem dno pod nogami, potem popłynąłem. Nie zrzuciłem odzienia i płynąłem powoli. Obejrzałem się. Pogoń była tuż za mną. Jeśli tubylcy rzucają się za mną w pław, szanse ucieczki będą znikome, lecz nie bacząc na to dobywałem wszystkich sił, aby jak najbardziej oddalić się od brzegu. Naprzeciw, również z całych sił, wiosłowali ku mnie moi przyjaciele. Przez chwilę, dla odpoczynku, popłynąłem na wznak. Obserwowałem dzikusów stojących na skraju plaży i wymachujących nożami. Żaden jednak nie popłynął za mną. Odetchnąłem z ulgą. Teraz bałem się tylko kurczów, utraty i tak już nadwreżonych sił i, najgroźniejszych ze wszystkiego, rekinów. Przyjaciele dobrze rozumieli moją sytuację, dobywali z siebie całej energii, aby jak najszybciej zbliżyć się do mnie. Wydawało mi się jednak, że płyną bardzo długo; byłem bliski omdlenia, gdy pochwyciły mnie czyjeś mocne ręce i wciągnęły do łodzi. Ułożono minie na rufie i wkrótce przyszedłem do siebie.

Pierwszą twarzą, jaką ujrzałem, było uśmiechnięte oblicze Harry'ego. Widok ten od razu przywrócił mi siły.

Później opowiedział mi, że uciekał tą samą drogą co ja. Przez kilka dni musiał ukrywać się wśród skał, ale w końcu szczęśliwie odnalazł pana Mudge i opowiedział mu o naszym losie. Przyjaciele, którzy stracili już nadzieję ujrzenia nas kiedykolwiek, natychmiast przystąpili do przygotowania ekspedycji ratunkowej.

Harry przedstawił plan, aby wylądować nocą w pobliżu wioski. Po czym sam, znając świetnie drogę i wieś — miał przyjść do mnie i przed świtem sprowadzić do łodzi. Aby plan ten wykonać, należało przedtem ściągnąć łódź ze wschodniego wybrzeża. Zadanie to wykonał pan Mudge przy pomocy Tomka. Opłynęli wyspę wokół południowego cypla. Popo wykorzy-

stał ten czas na polowanie. Z łuku, który sobie sporządził, ustrzelił sporo ptactwa, które wraz z inną żywnością miało służyć do zaprowiantowania łodzi.

Pewnego dnia, gdy łódź stała już w porcie i inni koledzy przygotowywali ją do rejsu, Popo nadbiegł zadyszany z polowania.

Podniósł alarm, że goni go grupa tubylców. Natychmiast załadowano do łodzi wszystko, co było pod ręką. Z lasu dobiegały już wrzaski pogoni.

Cześć prowiantów trzeba było zostawić i odbić jak najspieszniej na morze.

Kim byli tubylcy? Skąd wzięli się w świętej części wyspy?

Padły domysły, że to zapewne wojownicy owego wodza-kapłana, co niegdyś wyruszył na wielką wyprawę a teraz powrócił.

W każdym razie przyjaciele moi byli zmuszeni do opuszczenia brzegu, nie bacząc na to, że łódź nie miała jeszcze żagli i do poruszania jej służyć miały dwa, niezdarnie wystrugane przez Tamaku wiosła.

Całe szczęście, że w łodzi było dość solonych ryb, dziczyzny, kosz jaj i trochę orzechów kokosowych.

Zapas wody w dwunastu skorupach orzechów mógł wystarczyć na parę zaledwie dni. Zabrakłoby jej, zanim zdążylibyśmy dotrzeć do najbliższej wyspy.

Po moim ocaleniu plan porwania szalupy został odrzucony. Widoki na dotarcie do innej wyspy były słabe. Wiosłowaliśmy jednak cierpliwie, sterując — w braku kompasu i map — w dzień według słońca a w nocy według gwiazd.

ROZDZIAŁ VI

Kurs na południowy zachód. Pragnienie i głód. Bryza. Na pokładzie „Violet”. Nowa Kaledonia. U brzegów Australii. Huragan. Rozbicie brygu. Lądowanie

Przez całą noc wiosłowaliśmy na zmianę. Świt zastał nas na otwartym oceanie. Straciliśmy ląd z oczu i Mudge postanowił sterować na południe, gdyż uważał, że plemiona tubylców w tamtych rejonach oceanu nie są tak dzikie jak te, z którymi zetknęliśmy się ostatnio. Na południu istniała również większa możliwość spotkania statku wielorybniczego lub kupców drzewa sandałowego z Nowej Południowej Walii, którzy — jak twierdził Mudge — często odwiedzali wyspy mórz południowych. Wiedzieliśmy, że na paru wyspach osiedli misjonarze, lecz nikt z nas nie znał bliższych szczegółów. W każdym razie obity się nam o uszy nazwy archipelagów Tonga, Samoa i Fidzi.

Mając przed sobą długą i nieznaną drogę, Mudge od pierwszej chwili ustalił ścisłe porcje wody i żywności. Nie mieliśmy pojęcia, kiedy dotrzemy do najbliższego lądu i jak długo zmuszeni będziemy pozostawać na tej ciężkiej i niepewnej łodzi. Wiosłowaliśmy bez przerwy, zmieniając się co godzinę w dzień, a w nocy, aby uszczknąć nieco więcej snu, każdy pracował przy wiosłach dwie godziny bez przerwy.

Szybkość, z jaką posuwała się nasza łódź, była niewielka. Przy sprzyjającej pogodzie robiliśmy trzy węzły, czyli trzy mile morskie na godzinę. Ocean był dla nas łaskawy, cichy jak staw — toteż bywały dni, w których przepływaliśmy sześćdziesiąt do siedemdziesięciu mil.

Aby rozproszyć monotonię podróży i utrzymać dobry nastrój, często śpiewaliśmy, opowiadaliśmy historyjki zarówno prawdziwe jak i zmyślane. Ileż to razy wspominaliśmy biednego Dicka Tillard, który był nieprzebraną skarbnicą gawęd i baśni. Mudge, chociaż miał co opowiadać, nie posiadał jednak tego talentu co Dick i jego historiom brakowało barwności i tempa, jakimi zawsze odznaczały się opowieści starego majtka.

Służąc podczas wojny pod rozkazami lorda Cochrane'a przeżył wiele niezwykłych przygód. Był z lordem na pokładzie „Pallas” w walce z brygiem „Tapageuse”, a później z dwiema większymi „Minerwami”. Po wojnie lord, na skutek złośliwych intryg wrogów swych w admiralicji, zmuszony był opuścić marynarkę królewską, a Mudge od tej chwili musiał pogrzebać wszelkie nadzieje na awans.

Opowiadał nam, jak jego dowódca, prowadząc jeszcze mały, stu pięćdziesięcotonowy słup wojenny „Szybki”, zdobył Barcelonę.

— Były to czasy — mówił Mudge — gdy nie śniło mi się jeszcze o karierze marynarza. Lord Cochrane podszedł swym stateczkiem do brzegów Hiszpanii i natknął się tam na fregatę „Gamo”. Trzeba wam wiedzieć, że „Szybki” miał załedwie czternaście armatek czterofuntowych i pięćdziesięciu czterech ludzi załogi, podczas gdy „Gamo” — o wyporności sześciuset ton — niósł na swych pokładach trzydzieści dwie armaty, a załogę jego stanowiło trzystu dziewiętnastu marynarzy i oficerów.

Lord kazał swym ludziom uczernić sadzami twarze. Podszedł do dziobu „Gamo” i zaatakował. Grupa jego żołnierzy pod dowództwem niebywałego śmiałka, porucznika Parkera, wdarła się na pokład hiszpańskiego okrętu. „Szybki” zręcznym manewrem uderzył od rufy. Zaatakowani z dwu stron Hiszpanie bronili się wściekle na szkafucie. Wówczas jeden marynarz z załogi „Szybkiego” wywalczył sobie drogę do flagsztoku i ściągnął banderę. Załoga „Gamo” zobaczyła upadający symbol swego okrętu. Ktoś krzyknął, że oficerowie poddali okręt. W chaosie bitwy wieść ta rozprzestrzeniła się błyskawicznie. Duch obrony został załamany. Nieliczna załoga „Szybkiego” zamknęła jeńców w ładowni „Gamo” — przy lukach postawiono działa z kanonierami trzymającymi w rękach zapalone lonty. Na zdobytym okręcie podniesiono żagle. Lord Cochrane musiał teraz co prędzej umykać na morze, bo z Barcelony wypływały liczne statki, aby odeprzeć napastnika i odebrać mu łup. Gdyby Hiszpanie działali szybko i z większą odwagą, wygraliby bitwę, a nawet odbiliby „Gamo”...

Wzdychaliśmy z żalem, że urodziliśmy się zbyt późno, aby brać udział w tak świetnych zwycięstwach.

Mudge bardzo boleśnie przeżywał późniejsze niepowodzenia swego dowódcy. Jego rówieśnicy już dawno byli kapitanami, a on musiał bez widoków na przyszłość pozostać szturmanem.

Mijały jednakowe, wypełnione wiosłowaniem i gawędami dni. Z coraz większą niecierpliwością szukaliśmy na widnokręgu sylwetki okrętu, smugi łądu. Prowiant znikał szybko. Pozostało nam po dwie szklanki wody na osobę, a zatem tylko na dwa dni. Zresztą może właśnie teraz zdarzy się coś niezwykłego?

Mudge podtrzymywał nas na duchu i kazał wiosłować. Tomek od czasu do czasu wzdychał i przeklinał chwilę, kiedy wyruszył na morze. Tylko Harry i Popo nie okazywali niezadowolenia. Gdy przychodziła ich kolej, wiosłowali ze wszystkich sił. Wolne chwile wykorzystywali na sen. Układali się na dnie łodzi bez ruchu i w ten sposób czekali następnej wachty.

Dni, gdy słońce dopiekało niemiłosiernie, były najtrudniejsze do przetrwania. Nawet gdyby nie brakowało wody i żywności, pobyt na otwartej łodzi nie należał do miłych przeżyć. W naszych warunkach cierpieliśmy znacznie bardziej. Jedyne noce, chłodne i orzeźwiający, podczas których można było spać spokojnie i bez przerwy pełne dwie godziny, dodawały nam sił.

Trudno mi opisać uczucia, jakich doświadczyliśmy opróżniając z wody ostatnią skorupę orzecha kokosowego. Wylany z niej płyn był słony i miał jakiś ostry smak.

— Mam nadzieję, że ujrzymy łąd najdalej za parę godzin — mówił Mudge tonem tak swobodnym, jakby wydawał rozkazy. — A być może, jeszcze przedtem zobaczymy jakiś statek. Wolalibyśmy spotkać okręt, oczywiście angielski, z dobrym zapasem wody i prowiantów.

— A jeśli nic nie spotkamy? — ponuro mruknął Tomek.

— O tym nawet nie chcę myśleć — odparł Mudge. — Z łatwością możemy jeszcze wytrzymać całą dobę. Mamy przecież orzechy kokosowe i będziemy je żuli, aby zabić pragnienie i głód.

Teraz liczyliśmy już godziny. Jak dotychczas nasze zapasy energii nie zostały jeszcze nadwątlone. Bolały nas wprawdzie ramiona, ale praca przy wiosłach weszła już w nawyk i wykonywaliśmy ją mechanicznie. Wątpię jednak, czy robiliśmy nadal trzy węzły.

Następna noc była najbardziej męcząca ze wszystkich. Rano nie zjedliśmy śniadania, nie mieliśmy już ani kropli wody, aby zwilżyć wyschnięte usta i popękane wargi. Gdybyśmy bardziej ograniczali racje wody, starczyłoby jej na dzień dłużej, lecz nie była to odpowiednia pora na żałowanie pomyłek. Odczuwaliśmy upał bardziej niż kiedykolwiek. Tomek zaproponował ochłodzenie się za burtą. Lecz powstał problem, jak z powrotem wejść do łodzi. Idąc za radą pana Mudge zanurzaliśmy w morzu ubrania i wkładaliśmy mokre na siebie. W ten sposób dostarczaliśmy ciału odrobinę ożywczej wilgoci. Oficer zabraniał nam pić wodę morską — opowiadając o straszliwych skutkach, jakie to mogło wywołać.

Znów zaszło słońce. Próbowaliśmy wiosłować, lecz sił starczało zaledwie na słabe poruszanie wiosłami. Mudge obawiał się, że je pogubimy i rozkazał wciągnąć je do łodzi. Ułożyliśmy się na dnie i zapadliśmy w sen.

Zbudził nas świt. Jeden po drugim wstawaliśmy półprzytomni, spoglądaliśmy na ocean, na twarze przyjaciół.

— Głosuję za śniadaniem — wykrztusił Tomek. — Jestem potwornie głodny i spragniony.

— Nie ma ani wody, ani żywności, mój chłopcze — bezdźwięcznym głosem odpowiedział Mudge. — Jeśli Bóg łaskaw, to ześle ratunek, zanim minie ten dzień. Jestem przekonany, że wytrzymamy jeszcze parę godzin, lecz jeśli nie nadejdzie pomoc, musimy zdobyć się na to, aby umrzeć, jak na mężczyzn przystało. Taki los spotkał już niejednego.

Uwagi te nie miały na celu podtrzymać nas na duchu. Mudge wiedział, że nie miałyby to sensu. Oznajmiał nam tylko prawdę. Panowała idealna cisza. Nie mógł zbliżyć się do nas żaden statek, a nam brakło już sił, aby wiosłować. Mimo to aprobowaliśmy wziąć się do wiosł z panem Mudge, prosząc Tomka, aby siadł przy sterze.

O mało nie zgubiłem wiosła, zakładając je w dulkę.

— Musimy czekać na wiatr — rzekł Mudge. — Musi powiać wcześniej czy później. To jedyna nasza nadzieja.

Zamilkliśmy. Pan Mudge siedział na ławce, a my na dnie łodzi, opierając się jak kto mógł najwygodniej. Słońce przesunęło się w górę i upał dokuczał coraz bardziej.

— Chłopcy, nie możemy poddawać się rozpacz! — zawołał nagle Mudge. — Czy nikt nie jest w stanie mówić?

Słyszając to zrobiłem wysiłek, aby wstać. Nagle usłyszałem delikatne pluśnięcie.

— Co to? — zawołałem.

— Ławica latających rybek! — krzyknął oficer. — Pędzą prosto na nas. Chwytaj za wiosło, Rayner, postaramy się je złapać.

Wspólnym wysiłkiem zaczęliśmy wiosłować.

— Wystarczy — rozkazał Mudge. — Uwaga, chłopcy. Niech każdy próbuje schwytać sobie śniadanie.

Apel nie trafił w próżnię. Nawet Tomek wykrzesał z siebie trochę życia. Po chwili kilka latających ryb wylądowało w naszej łodzi. Inne przelatując nad nami strącały za pomocą desek. Stado uciekało przed parą tuńczyków; jedna taka ryba mogłaby dostarczyć nam pożywienia na parę dni. Udało się nam trafić tuńczyka wiosłem, ale tylko machnął potężną płetwą ogonową i zniknął pod łodzią.

Ławica przeleciała. Nie było nadziei, że złowimy coś jeszcze. Zabraliśmy się do zło-

wionych ryb. Pożeraliśmy je raczej jak dzikie zwierzęta, a nie jak ludzie. Z rozkoszą wbijaliśmy zęby w wilgotne świeże mięso. Ludzie w naszej sytuacji zdolni są do postępowania, jakie w innych warunkach uważaliby za okropne.

Złowiliśmy osiem ryb. Zjedliśmy pięć. Trzy miały być rozdzielone na następny posiłek. Nawet tak niewielka ilość pożywienia dodała nam sił. Odniosłem wrażenie, że gdybym miał wodę, wytrzymałbym jeszcze dobę. Niestety, nie było widoków na deszcz — jedyne źródło wody.

— Gdyby zawędrował do nas jakiś ptak, mielibyśmy i mięso, i coś do picia — rzekł Mudge. — Jeśli nie będzie deszczu, trzeba czekać chociaż na to.

Na próżno wypatrywaliśmy morskich ptaków. Wnioskowaliśmy z tego, że jesteśmy daleko od jakiegokolwiek lądu. Bardziej dręczony pragnieniem niż głodem, zapadłem w sen. Oczywiście śniłem o wspaniałych wodotryskach, widziałem butelki szampana i piwa, całe kolekcje orzeźwiających napojów — lecz jakiś pech nie pozwalał mi ich donieść do ust.

Nie będę więcej opisywał tych przeżyć. To bolesne doświadczenia.

Wieczorem Mudge nie dał nam reszty ryb. Stwierdził, że przetrzymają one do rana, a wówczas zjemy je na śniadanie. Zgodziliśmy się. Oficer czuwał całą noc. O świcie zobaczyłem, że jedno z naszych wiosł zostało ustawione jako maszt, na którym powiewała duża chusta.

— Pobudka, chłopcy — zawołał — jeść śniadanie! Dziś, jeśli się nie mylę, przyjdzie odsiecz.

— Dlaczego? — jęknąłem raczej niż spytałem.

— Ponieważ powiał wiatr. Spójrzcie, tam widać ptaki. Możliwe, że jeden z nich złoży nam wizytę. Jeśli tak, nie będziemy przestrzegać zwyczajów gościnności i ukręcimy mu łeb.

Mudge wyjął ryby i poprzekrawał na połowy.

— Pan musi zjeść całą — powiedziałem do niego — potrzebuje pan więcej jedzenia od nas. Od pana sił założy nasze życie.

— Nie! Zachowam tę połówkę na drugie śniadanie — padła odpowiedź. — Nawet taka odrobina lepsza będzie niż nic, a przede wszystkim będziemy mieli na co czekać.

Usta nasze były tak wyschnięte, że z trudem mogliśmy żuć surową rybę.

Po śniadaniu z powrotem siedliśmy na dnje łodzi. Czułem, że długo już nie pociągnę, a moi towarzysze wyglądali na jeszcze bardziej wyczerpanych. Milczeliśmy nie bacząc, że pan Mudge stale namawiał nas do rozmowy.

— Powiedzcie coś, chłopcy, odezwcijcie się! — mruczał bez ustanku. W odpowiedzi czasem któryś z nas tylko jęknął.

Od wschodu nadciągnął leciuchny wiatr. Zachowałem jeszcze tyle przytomności, że poczułem jego powiew i dostrzegłem, jak pan Mudge nieprzerwanie lustruje widnokrąg.

Nie wiem, ile czasu minęło od tej chwili, gdy usłyszałem jego okrzyk:

— Żagiel, chłopcy, widzę żagiel! Będziemy uratowani!

Poderwany tym okrzykiem na równe nogi, stanąłem obok Mudge'a. Opierał się o wiosło zastępujące maszt, dłonią osłaniał oczy przed nadmiernym blaskiem słońca.

— Płyńcie w naszym kierunku. Wytrzymajcie, chłopcy, jeszcze godzinę, a dostaniecie tyle wody i jedzenia, ile zechcecie. Tu proszę, oto macie drugie śniadanie! — Pochwycił połowę ryby i rozdzielił na cztery równe porcje.

— Nie, nie, ja nie chcę ani odrobiny. Wytrzymam świetnie bez tego — odpowiedział, gdy zaproponowałem mu kawałek. Reszta towarzyszy z trudem wyciągała dłonie po nędzny kawałek ryby, niektórzy ledwie mogli donieść go do ust. Żucie sprawiało ból. Byliśmy tak wyczerpani, że nie mieliśmy sił wychylić się za burtę łodzi i spojrzeć na zbliżający się ku nam statek. Mudge objaśniał, że to bryg pod angielską banderą. Mimo to nie mogłem uwierzyć, że to nie złudzenie. Mudge kilkakrotnie mówił nam że bryg się zbliża. Raz wykrzyknął: — Ostrzy pod wiatr, odpływa! — A po chwili: — Nie, nie! Widzą nas! Dzięki Bogu! Jesteśmy

ocaleni, jesteśmy ocaleni!

Okrzyki te nie robiły już wrażenia na naszych towarzyszach. Znow usłyszałem wołanie Mudge'a i jakiś okrzyk w odpowiedzi. Wiedziałem, że dobiliśmy do burty statku, że wniesiono mnie na jego pokład, lecz wszystkie wrażenia pogmatwały się, nie rozumiałem, co się wokoło dzieje. Straciłem przytomność.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim otworzyłem oczy i ujrzałem pochylone nade mną twarze. Wyraźnie widziałem moją matkę. Znow zamknąłem oczy; byłem przekonany, że śnię. Gdy po chwili znow je otworzyłem, wzrok mój natknął się na siostrzyczkę Edytę. Stała obok mej koi. Patrzyłem na nią przez parę sekund i ona wpatrywała się we mnie. Nie mogłem pojąć, co się stało. Pamiętam dobrze, w jak plastyczny sposób widziałem czasem osoby i przedmioty w moich snach.

Leżałem w schludnie umeblowanej kabinie, tuż przede mną wisiał obraz naszego domu w Clifton, a obok niego damski kapelusz i płaszcz. Znow spojrzałem na zjawę mającą postać Edyty.

— Edyta! — szepnąłem, nie oczekując odpowiedzi.

— Tak, tak, Godfreyu, to ja, Edyta! Nareszcie mnie poznałeś, jak to cudownie, że czujesz się lepiej!

Odpowiedź była wyraźna, lecz często bywa tak i w snach. Usłyszałem jednak głos mego ojca, dolatujący ze skajlajtu. Wydawał rozkazy załodze. Teraz nie mogłem się mylić.

— Edyto, jak to się stało? — pytałem. — Czy to rzeczywistość, czy ja śnię?

— To rzeczywistość, mogę cię zapewnić — odpowiedziała siostra. — Muszę zawołać mamusię. Jakże będzie szczęśliwa. Czasem baliśmy się, że już nie wyzdrowiejesz. Biedny Pierce był taki nieszczęśliwy i ja... też. Tylko tatuś mówił, że będziesz zdrow — powinniśmy pamiętać, że on ma zawsze rację. Teraz poprawisz się bardzo szybko.

Słuchając tych słów nabierałem przekonania, że nie śnię. Zniknęła na chwilę i powróciła z matką, która pochyliła się nade mną, jak owej nocy, kiedy odchodziłem na morze. Wkrótce zjawił się Pierce, ale pozwolono mu zostać ze mną tylko przez parę sekund. Wreszcie przyszedł ojciec. Rzucił parę słów, że jest szczęśliwy, że cieszy się... Wiedziałem, jak trudno mu było mówić.

Matka i siostra pielęgnowały mnie i dogadzały jak dziecku. Chciałem dowiedzieć się, co sprowadziło moją całą rodzinę na Pacyfik. Uspokoila mnie od po wiedź matki:

— To długa historia, opowiemy ci, gdy będziesz już zdrow. Jedno powiem — Opatrzność posłała nas wam na ratunek.

— Jak moi towarzysze? — spytałem. — Czy są ocaleni?

— Pan Mudge już prawie wyzdrowiał. U reszty, mam nadzieję, niebezpieczeństwo minęło, chociaż początkowo wyglądali na słabszych od ciebie — mówiła matka. — Pan Mudge opowiadał nam bardzo ciekawą historię Harry'ego. Twój ojciec zna kapitana Hudsona, z którym niegdyś razem pływali. Uczyni wszystko, aby zwrócić rodzicom tak dawno utraconego syna. Na razie jednak nie powinniśmy zbyt dużo rozmawiać. Śpij. Nasza książka medyczna powiada, że człowiek tak wyczerpany jak ty, im więcej śpi, tym szybciej wraca do zdrowia.

Matka poprawiła chustę, którą byłem przykryty, i wysliznęła się z kabiny, przykazując Edycie, by siedziała cicho i poza zasięgiem mego wzroku.

Próbowałem rozmawiać, lecz siostra odpowiadała tylko cicho: „Tsss!” Wkrótce znow zasnąłem.

Wracaliśmy szybko do zdrowia. Gdy tylko miałem dość sił do rozmowy, zacząłem słuchać opowiadań matki o tym, jak ojciec doszedł do wniosku, że jego interesy w Anglii nie rozwiną się należycie i dlatego postanowił emigrować do Australii, gdzie jako były oficer marynarki wojennej będzie mógł otrzymać ziemię. Instynkt marynarza kazał mu nabyć bryg. Zaokrętował więc całą rodzinę. Po drodze miał zamiar zająć się handlem i w ten sposób pokryć koszty podróży i statku. Tym razem powiodło się dość dobrze, chociaż parokrotnie byli

w ciężkich opałach.

— Szczęśliwie przebrnęliśmy przez najgorsze i teraz płyniemy do Sydney, gdzie sprzedamy bryg i osiedlimy się na stałe. Ojciec ma zamiar odwiedzić jeszcze Nową Kaledonię, a także Nową Gwineę i inne wyspy.

— W takim razie porzucę marynarkę wojenną i pozostanę z wami! — zawołałem. — Jestem prawie pewny, że nie tylko pan Mudge, lecz także Harry, Tomek i Popo przyłączą się do nas.

Po upływie dwóch tygodni od cudownego wprost ocalenia zbliżyliśmy się do północnych brzegów Nowej Kaledonii. Ojciec szukał dogodnej zatoki, w której mógłby zarzucić kotwicę i nawiązać kontakt z tubylcami. Chciał nabyć drewno sandałowe i inne produkty miejscowego pochodzenia. Brzeg tworzyły dość wysokie łańcuchy wzgórz, przeważnie pokryte lasem. Od czasu do czasu widzieliśmy równiny i szerokie doliny. Często spotykaliśmy opisywane już katamarany.

W końcu znaleźliśmy zatokę, która skusiła mojego ojca. Natychmiast po rzuceniu kotwicy statek otoczyły pirogi i czółna ofiarując warzywa i wszelkie inne prowianty. Słyszeliśmy, że niejeden statek został opanowany przez wyspiarzy i dlatego ojciec zakazał obcym wstępu na pokład. Załoga była pod bronią, a ojciec i oficerowie pertraktowali z tubylcami. Artykuły zaofiarowane do wymiany zostały spuszczone na lince do czółen, a prowianty wciągnięte na pokład.

Niektóre pirogi miały z boku pływaki dla utrzymania równowagi, inne, widocznie używane wyłącznie na spokojnych wodach zatoki, były wąskie, zbudowane z wydrążonych za pomocą ognia pni. Zwykle w takiej łodzi siedziało dwóch wioślarzy. Jeden w samym dziobie, a drugi na rufie, obydwaj uzbrojeni w ostro zakończone wiosła, o kształcie wielkich grotów do dzid. Czasem pośrodku siedział jeden pasażer, czasem kobieta od stóp do głów okryta tkaniną z maty.

Sześć armat brygu stało gotowych do strzału. Marynarze krzatali się po pokładzie z pałaszami u boków i muszkietami w rękę. To sprawiało, że tubylcy zachowywali się całkiem przyjaźnie i uczciwie załatwiali wymianę. Na wieść, że potrzebujemy drewna sandałowego, dostarczyli nam go w obfitości; zapłaciliśmy im tyle, że byli bardzo zadowoleni. Gdyby wszyscy kupcy postępowali podobnie, wówczas charakter i usposobienie tubylców, których piętnowano jako zdradliwych dzikusów, na pewno uległyby zmianie.

Po ukończeniu transakcji handlowych podnieśliśmy żagle i wzięliśmy kurs na zachód. Ojciec chciał zbadać północne części wschodniego wybrzeża Australii, mało wówczas znane. Na podstawie osobistych stosunków z dzikimi doszedł do wniosku, że jeśli traktować ich przyzwoicie, jak to sam zwykł czynić, można z nimi dojść do porozumienia. Dlatego też nie wyrażał obaw przed osiedleniem się z dala od innych kolonistów. Prawdę mówiąc miał zamiar założyć osadę jak najdalej od już istniejących. Po pierwsze chciał, aby przydzieleni do pracy zesłańcy nie dostali się pod demoralizujący wpływ swoich dawnych kamratów, a po drugie — mógłby łatwiej nawiązać kontakt z tubylcami. W jednym i drugim wypadku miał na celu obustronne dobro.

Nie napisałem jeszcze nic o brygu i jego załodze. Nazywał się „Violet” i mógł zabrać około dwustu ton ładunku. Dwaj szturmani byli starannie dobrani przez ojca, lecz nie wyróżniali się niczym specjalnym. Natomiast bosman, Ned Burton, zajął w moim życiu miejsce po Dicku Tillardzie, którego zresztą dziwnym zbiegiem okoliczności znał dobrze.

— To był porządny i uczciwy człowiek — mawiał Ned. — Jeśli kiedykolwiek zawitam na wyspę, z której pan uciekł, na pewno odwiedzę jego grób. Służyliśmy razem w marynarce wojennej przez wiele lat i gdyby nie nastąpił pokój, służyłbym dalej. Gdy po zawarciu pokoju zostałem zwolniony z okrętu, postanowiłem osiąść na lądzie. Pewnie bym tak zrobił, gdyby nie pański ojciec. Niegdyś swój pierwszy rejs odbył ze mną, a teraz prosił mnie, abym przystał do załogi „Violet”. Początkowo chciał, abym popłynął jako drugi oficer, ale nie znam się

na nawigacji, więc nie przyjąłem tej propozycji; co innego, gdy zgodził się wziąć mnie na bosmana. Nie mogłem odmówić. Teraz tak sobie myślę, że gdy pan Rayner sprzeda bryg, a Australia przypadnie mi do gustu, to osiedlę się z wami i ściągnę z Anglii moją starą i obie córki.

Przyznałem, że takie plany są bardzo rozsądne. Sam również nosiłem się z zamiarem porzucenia służby, gdyż pan Mudge zapewnił mnie, że możliwości awansu są w tej chwili znikome.

Oczywiście będę musiał przedtem uzyskać zezwolenie kapitana Bracewell.

— To przyjdzie bez trudu, panie Rayner — śmiejąc się mówił Burton. — Wiem z doświadczenia, że praktykanci nie są w cenie. A zresztą na pewno już dawno został pan wraz z towarzyszami uznany za straconego. Nikt pana nie będzie szukał w Australii.

— Nie chciałbym jednak popełnić czegoś niehonorowego — odparłem. — Jeśli kapitan zażąda mego powrotu na okręt, to wrócę. Poza tym zostawiłem na pokładzie swój kufer i należy mi się żołd.

Stary bosman znów odpowiedział mi z uśmiechem:

— Zawsze uważałem, że żołd praktykanta nie ma znaczenia, a jeśli chodzi o kufer, to na pewno wraz z zawartością został już dawno zlicytowany przy kabestanie waszego okrętu. Trudno byłoby teraz pozbierać wszystkie drobiazgi.

Sprawę mojej przyszłości omówiłem również z Piercem. Poradził mi, abym pozostał przy ojcu, który nieraz wspominał mnie i żałował, że nie jestem z nim razem.

Harry zadomowił się już na statku i był lubiany przez wszystkich. Nawet Nanny, koza Edyty, która bodła wszystkich prócz swej pani, biegła za nim i domagała się na swój kozi sposób pieczyoty. Tylko kiedy na pokładzie zjawiała się Edyta, wówczas Nanny biegła ku niej, oglądając się jednak za Harrym, jak by chciała mu powiedzieć: „Ciebie lubię, ale ją Kocham”.

Podróż przebiegała pomyślnie i zbliżała się ku końcowi. Pewnej nocy, już niedaleko Australii, zauważyliśmy bardzo ciekawe zjawisko. Niebo było zachmurzone, bezgwiezdne. Dęła lekka bryza i cały ocean pokrywały drobne, świecące fale. Dostrzegliśmy tryskające jak fontanny ognia wydechy wielorybów. Wielkie meduzy świeciły pod wodą jak roztopione srebro.

— Ciekawe, czy nie podpała one statku — żartował Tomek.

— Ciężka byłaby sprawa, bo tego woda nie zagasi. Ale właściwie co jest przyczyną tego zjawiska?

Pytanie usłyszał mój ojciec.

— Nazywamy to fosforescencją morza, gdyż fosfor świeci w podobny sposób — wyjaśniał. — Zjawisko tłumaczy się tym, że w morzach przebywają miliardy małych fosforyzujących organizmów. Są to zarówno pierwotniaki jak i skorupiaki. W rzeczywistości jednak, zależnie od warunków atmosferycznych, świecą nawet meduzy. *

Zawołałem Edytę, która była już w kajucie. Zachwycona niezwykłym zjawiskiem, prosiła, aby nabrać wiadro świecącej wody. Ku naszej radości woda w wiadrze świeciła jeszcze jaśniej. Płynęliśmy dość długo przez owo morze pełne ogników.

Następnego dnia wiatr zmienił kierunek i pogoda znacznie się pogorszyła. Wiatr stale zmieniał kierunek, uderzając to z jednej, to z drugiej strony. Ojciec był niezwykle zaniepokojony. Na jego barkach spoczywał los statku i nasze życie. Poza tym już dawno nie dowodził statkiem, a u tych brzegów żeglował po raz pierwszy. Przypuszczam, że byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy od razu odeszli od lądu. Teraz było już za późno. Wiatr uderzył od wschodu z siłą prawdziwego huraganu. Ojciec liczył na znalezienie schronienia za osłoną przybrzeżnych raf koralowych, które tworzą barierę oddaloną od lądu, od pięciu do dwunastu mil. Na tych to

* Pierwszy argument jest słuszny. Warunki atmosferyczne nie mają wpływu na świecenie morza i żyjątek. (Przyp. tłumacza).

skalach o mało nie wylądował „Endeavour”, okręt kapitana Cooka, podczas jego pierwszej wyprawy.

O świcie huragan zaatakował ze zdwojoną wściekłością. Bryg leżał w dryfie pod mocno zarefowanymi topsłami. Trzymał się doskonale i byliśmy pełni nadziei, że nie zbliżymy się do raf przed zakończeniem sztormu. Od brzegu dzieliło nas jeszcze około trzydziestu mil. Przez całe dni prowadzona była z zawietrznej burty nieprzerwana obserwacja. Ojciec nie powiedział matce i Edycie o grożącym nam niebezpieczeństwie, lecz po prostu prosił je, aby nie opuszczały kajuty.

Była trzecia po południu. Pierwszy oficer, który z grotmasztu obserwował morze, zszedł szybko na pokład i zawiadomił ojca, że na zawietrznej od północnego do południowego skraju widnokręgu widział linię przyboju pieniącego się na rafach.

— Czy mógłby pan znaleźć przejście? — spytał ojciec.

— Z tej odległości nic dostrzegłem w rafach żadnej przerwy, ale nie mogę mieć pewności, jak jest w istocie — padła odpowiedź.

— Zanim zdryfujemy tak daleko, upłynie sporo czasu, może wiatr ucichnie — rzekł ojciec. Szturman popatrzył uważnie na wschód i odpowiedział:

— Nie zapowiada się na to.

— Musimy ufać Opatrzności. Na razie pójdę na maszt i będę wypatrywał przejścia. Jeśli jest, spróbujemy przeprowadzić przez nie statek.

Wspiałem się za ojcem na grotmaszt. Po paru minutach dostrzegłem, że w odległości pół mili na południe od naszego trawersu ocean nie pieni się tak wściekle na rafach. Wskazałem to miejsce ojcu.

— Masz rację — powiedział po chwili. — Jeśli sztorm nie ustanie, nic nas nie ocali od wpadnięcia na rafy. Wykorzystanie przejścia, które dostrzegłeś, to jedyny nasz ratunek.

Zapamiętaliśmy namiar przejścia i zeszliliśmy na pokład.

Wyjście z dryfu pod żaglami jest manewrem trudnym i do pewnego stopnia niebezpiecznym. Wymaga przy tym bardzo wprawnego operowania sterem i rejami. Załoga stanęła na stanowiskach manewrowych. Starszy szturman z kilku dobrymi marynarzami stanął u koła sterowego. Ojciec wyczekał, aż potężna fala przeszła pod nami.

— Ster na wprost! — krzyknął. — Reje fokmasztu brasować do pełnego wiatru. Ster cztery koła w lewo! Brasować reje do lewego baksztagu.

Dziób brygu zatoczył łuk i celował na zachód.

— Ster na wprost — padła komenda — tak trzymać!

Kilka wielkich fal przewaliło się nad nami, zrywając część drewnianych relingów. Na szczęście marynarze mocniej zacisnęli dłonie na linach nieruchomego takielunku i żaden nie został zmyty za burtę. Pędziliśmy prawie pełnym wiatrem. Z dziobu po prawej widoczne były spienione fale przyboju tryskającego wysoko nad rafami, a tuż przed nami ukazało się przejście, przez które należało przeprowadzić bryg. Wicher napierał nieco z lewej, a jak to się dawniej mówiło: z port-burty. Reje topsli, wygięte do granic wytrzymałości, drżały z wysiłku. Gdyby pękły, żaden cud nie pomógłby nam ominąć raf.

Za kilka minut miały rozstrzygnąć się nasze losy. Od rufy atakowały nas potężne fale, grożąc zalaniem pokładu. Wytryski kipieli leciały chyba na wysokość naszych masztów. Najgroźniejsze były te po prawej burcie, które przelatywały tuż obok. Widziałem bladą twarz mego ojca, obserwującego z napięciem wąskie przejście. Wreszcie i po lewej burcie ukazały się straszliwie spienione grzywacze. Przechodziliśmy przez wyrwę w rafie. Ojciec natychmiast kazał stanąć w dryf pod żaglami. Szybko zapadał zmrok. Zwróceniem dziobem na północ mogliśmy tylko liczyć, że osłonięci rafami przetrwamy noc i wicher nie zniesie nas na brzeg oddalony nie tak znów daleko. Sytuacja nie była bezpieczna. Nawet za rafą woda była wzburzona, chociaż fale nie załamywały się na pokładzie. Padł rozkaz do przygotowania kotwicy na wypadek, gdybyśmy zbliżyli się do brzegu.

Cała załoga pozostawała na pokładzie, gdyż nie było wiadomo, czy nie będzie potrzebna do nie przewidzianych na razie manewrów.

Pod koniec pierwszej wachty sztorm zaczął łagodnieć. Nasze nadzieje na ocalenie wzrosły. Ojciec pozwolił podwachcie zejść pod pokład, aby wypoczęła przed służbą o świcie. To była moja wachta, więc również zszedłem do swej koi, mając nadzieję, że o świcie zobaczą brzegi Australii, które wyobrażałem sobie nader malowniczo.

Zbudził mnie nieprzyjemny zgrzyt, a po chwili uczułem uderzenie, od którego statek zadrżał od dziobu do rufy. Uniesiony przez fale popłynął miękko, aby znów uderzyć o skały z siłą, która zdawała się rozrywać jego wiązania. Zbyt dobrze wiedziałem, co się stało. Byliśmy na brzegu. W jednej chwili pojąłem grozę położenia. Krzyki i wołania dolatujące z pokładu nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Wśliznąłem się w ubranie i wbiegłem do kajuty matki i Edyty, nakazując pozostanie na miejscu, zanim ojciec nie zmieni tego polecenia. Wyskoczyłem na pokład.

Bryg wpadł na podwodną rafę. Leżał prawie na lewej burcie, masztami wskazując oddaloną nie więcej niż pół mili ziemię. Tonęła jeszcze w ponurym mroku. Ojciec stał pod grotmasztem wydając rozkazy tak spokojnie, jakby nic się nie stało. Marynarze dostali polecenie zwinąć żagle, potem przygotowano szalupy do spuszczenia na zawietrznej burcie, gdzie morze było spokojniejsze. Sondowanie wykazało, że można je spuścić całkiem bezpiecznie. Bryg nasz osiadł na wysuniętym od lądu cyplu raf.

Ojciec nie ruszył się z pokładu ani na chwilę. Gdy tylko usłyszał obok siebie mój głos, rozkazał, abym co prędzej pobiegł do matki i Edyty i kazał spakować im najbardziej potrzebne przedmioty, gdyż bryg jest stracony.

Matka była przestraszona, lecz nie zdradzała tego. Edyta, widząc jej spokojną twarz, również trzymała się dzielnie.

— To wielkie nieszczęście — rzekła matka — ale niech się dzieje wola boska. Powiedz ojcu, że wykonamy wszystko i opuścimy statek, gdy tylko nam to rozkaże.

Wybiegłem na pokład i zastałem ojca i oficerów, którym pomagał Mudge wraz z resztą załogi przy spuszczeniu szalupy. Jedna łódź była uszkodzona przez stengę, która spadła w chwili uderzenia brygu o skały. Usłyszałem, jak pan Mudge mówi do ojca:

— Bezpieczeństwo jest prawie zapewnione. Możemy odpłynąć w szalupach, gdy tylko zajdzie potrzeba. Jeśli się nie mylę, właśnie w tych okolicznościach kapitan Cook o mało nie stracił okrętu „Endeavour” podczas swej pierwszej podróży dookoła świata. Tylko on sztormował dalej od brzegu. Jego okręt był w znacznie gorszej sytuacji niż nasz, gdyż został wyrzucony na brzeg podczas przypływu. Dopiero po dwóch czy trzech wysokich przypływach i oczywiście po wyrzuceniu znacznej ilości ładunku „Endeavour” spłynął na wodę. Wówczas okręt zaczął tonąć, lecz podsunęto pod kadłub ciężki żagiel, który działając jak — mało wówczas stosowany „plaster” — zahamował dopływ wody. Załoga wprowadziła „Endeavour” do ujścia rzeki, która otrzymała nazwę od imienia statku. Mimo że okręt był tak blisko zagłady, został wyreperowany i opłynawszy świat dokoła, powrócił do Anglii.

— Słyszeliście, co powiedział pan Mudge — zwrócił się ojciec do załogi. — To powinno dodać wam otuchy. Czy zdołamy zdjąć statek z raf, czy nie, to sprawa drugorzędna, jestem bowiem przekonany, że wylądujemy na brzegu bez większych trudności.

— Nie martw się pan o nas — rzekł Ned Burton. — Zrobimy wszystko co się da, a jeśli bryg zostanie na rafie, nie nasza wina.

Żagle zostały już zwinięte i cieśla sondował wodę w zenie. Meldował sześć stóp wody w ładowni. Woda wdzierwała się zatem gwałtownie. Natychmiast zaczęto pracę przy pompach. Ojciec, pan Mudge i ja mierzyliśmy głębokość wody wokół statku. Na zawietrznej było głęboko, ale na nawietrznej tkwiliśmy jeszcze mocno na rafie. Wynikało to stąd, że fala prawie przerzuciła nas przez rafę. Statek leżał na wewnętrznym brzegu basenu otoczonego rafami i wydostanie go stamtąd będzie trudne, jeśli nie zupełnie niemożliwe.

Fale nie uderzały z całą siłą, istniała więc nadzieja, że jeśli sztorm nie nabierze na nowo mocy, będziemy mogli wywieźć na brzeg przynajmniej część najbardziej potrzebnych nam zapasów. Utkwiliśmy z dala od jakichkolwiek osiedli i chociaż moglibyśmy dotrzeć do nich szalupami, jednak żegluga po najeżonym rafami morzu była bardzo niebezpieczna.

Ojciec nie zdradzał przed załogą swych myśli i nie chciał opuszczać statku, zanim nadzieja na zdjęcie go z rafy całkiem się nie rozwieje. Zresztą można by tego próbować dopiero podczas przyływu, a tymczasem musieliśmy czekać na świt, aby za dnia rozejrzeć się w sytuacji.

Ojciec, Mudge i ja pracowaliśmy przy pompach na równi ze wszystkimi. Wysiłki nasze nie dawały jednak wyników i poziom wody w ładowni wciąż się podnosił. Na wschodzie zabłyśły pierwsze smugi świtu. Gdy wpadliśmy na rafę, było tuż po przyływie. Teraz woda opadała i nie było mowy o ruszeniu statku. Baliśmy się, że gdybyśmy go opuścili, woda zniszczyłaby zapasy żywności i towarów.

O świcie ojciec po raz pierwszy zszedł pod pokład. Miał zamiar wysłać matkę i Edytę na ląd, pod opieką pana Mudge lub jednego z oficerów, załadowując na łódź prowianty, namiot i wszystkie zapakowane już przez matkę przedmioty. Matka jednak sprzeciwiła się temu.

— Uczynię, co rozkażesz — mówiła — lecz wierz mi, że wolałabym zostać przy tobie, niż patrzeć z brzegu, jak borykasz się z niebezpieczeństwem.

— Moja droga — odpowiedział ojciec — nie spodziewam się, aby sytuacja stała się niebezpieczna. Gdyby wynikała konieczność natychmiastowego opuszczenia brygu, łatwiej nam będzie to wykonać, gdy ty będziesz już na brzegu. Jeśli jednak chcesz, pozostań z nami jeszcze chwilę. Przez ten czas przygotowujemy szalupę i ludzi.

Słowa ojca uspokoiły matkę. Ojciec wydał stewardowi rozkaz, aby przygotował śniadanie. Zupełnie jakbyśmy żeglowali spokojnie na otwartym oceanie i przy sprzyjającej pogodzie.

Po wyjściu na pokład wydał rozporządzenie do przygotowania szalupy. Przy pomocy pana Mudge zgromadziliśmy zapasy żywności, żagle i drągi potrzebne do zbudowania namiotu.

Część załogi wywiozła łodzią dużą kotwicę, aby gdy tylko nadejdzie przyływ, zacząć ściągać bryg z rafy. Pozostali ludzie pracowali przy pompach.

Ojciec kazał Pierce'owi i Tomkowi iść do kajuty i zjeść dobre śniadanie, gdyż będą potrzebni do pomocy. Mudge i ja poszliśmy ich śladem, lecz dosłownie połykali śniadanie, aby jak najprędzej wrócić na pokład. Mudge szybko skończył posiłek i wybiegł zmienić ojca. Z podziwem patrzyłem na matkę i Edytę siedzące przy stole, jakby nie zdarzyło się nic niezwykłego.

Razem z Harrym poszliśmy wkrótce pomagać panu Mudge przy szykowaniu szalupy dla naszych pań. Potem zluźowaliśmy przy pompach załogę, która poszła na śniadanie.

Przez cały czas fale, chociaż nie zalewały pokładu, tłukły o burty brygu, chwilami z taką siłą, że aż maszty drżały.

Nadchodził przyływ i woda podnosiła się szybko. Kotwica była już zawieszona na miejsce i wszystko przygotowane do ściągnięcia statku. Wraz z przyływem fale mocniej napierały na statek, a niektóre przelewały się przez pokład.

— Panie Mudge — odezwał się mój ojciec — nie możemy dalej zwlekać z wysłaniem pani Rayner i młodzieży na ląd. Powierzam ich wszystkim twjej opiece. Jestem przekonany, że dla ich dobra uczynisz wszystko, co będzie w twojej mocy. Mam nadzieję, że nie spotkasz pan tubylców, lecz gdybyś natknął się na nich, a zdradzaliby wrogie zamiary — masz broń i zrób z niej użytek, aby utrzymać ich w przyzwoitej odległości.

— Może pan na mnie polegać — odpowiedział Mudge i wraz z załogą ruszył do szalupy.

Ojciec wyprowadził z kajuty matkę i Edytę. Ostrożnie opuszczano je do łodzi. Za

kobietami ruszył Pierce, potem Harry, Popo i w końcu ja.

— Och, czy możemy zabrać Nanny? — zawołała Edyta, która nawet w takiej chwili nie zapomniała o zwierzątku.

— Gdzie Nanny? Gdzie jest Nanny? — rozległy się nawoływania. Początkowo przypuszczano, że koza została zmyta za burzę.

— Jest tu! — krzyknął kucharz z kambuza, gdzie koza, na którą przyjaciele nie zwracali podczas sztormu uwagi, znalazła schronienie. Białe futro Nanny było nieco przybrudzone, lecz to nie miało znaczenia. Wyciągnięta z kuchni, spojrzała w dół w stronę szalupy. Na widok Edyty objawiła wyraźny zamiar skoczenia nam na głowy, lecz marynarze spuścili ją delikatnie do łodzi.

— Dziękuję, dziękuję! — wołała uradowana Edyta, pieszcząc ulubione zwierzę, które lasiło się do swej pani, starając się okazać jej swą radość.

Odbiliśmy od burty. Matka z żalem pozostawiała ojca na pokładzie. Z daleka wydawało się, że bryg jest w sytuacji zupełnie beznadziejnej. Mam wrażenie, że i ojciec podzielałby nasz pogląd, gdyby był z nami, lecz nie mógł opuścić „Violet”, dopóki nie wyczerpał wszystkich środków, aby ją uratować. Statek był mocno wsparty na burcie i woda wyrzucana przez pompy płynęła ciągłym strumieniem.

— Czy nie ma nadziei na uratowanie statku? — spytała matka zwracając się do pana Mudge.

— Kapitan myśli, że go uratuje, w przeciwnym wypadku nie pozostałby na pokładzie — odpowiedział wymijająco. Lecz sądząc po wyrazie jego twarzy nie miał wielkiej nadziei.

Zwróciliśmy uwagę na brzeg. Ojciec polecił panu Mudge upewnić się, czy nie ma w okolicy tubylców i dopiero wtedy odesłać szalupę z powrotem.

Będąc już blisko lądu dostrzegliśmy nieco na południe od pozycji brygu ujście rzeki. Mudge zdecydował, że to miejsce będzie bardziej dogodnie do lądowania od zalewanej falami plaży.

Stwierdziliśmy, że ujście rzeki znajduje się na wprost wyłomu w rafach, przez który przeszliśmy poprzedniego dnia. Północny brzeg rzeki był wysoki i skalisty, południowy zaś niższy i porośnięty drzewami, jakich dotychczas nie widziałem. Drzewa na równinie rosły dość daleko jedno od drugiego, a między nimi nie było śladu leśnego podszycia. Tuż nad wodą widniały zarośla mangrowców.

Na mieliźnie u ujścia rzeki buszowała fala. Pan Mudge zdecydowanie kierował się w sam środek zatoczki. Wyczekiwał odpowiedniego momentu.

— Nacisnąć mocniej! — krzyknął do wiosłarzy, gdy duża fala uniosła nas na swym grzbiecie. Obawiałem się, że zmoczy ona matkę i siostrę, lecz grzywacz przeniósł nas przez mieliżnę i po chwili wiosłowaliśmy już po gładkiej, spokojnej wodzie.

Na północnym brzegu rzeki wypatrzyliśmy skalny cypel, pokryty nieco wyżej zieloną murawą i otoczony kilkoma drzewami. W tym miejscu po raz pierwszy dotknęliśmy stopą lądu Australii.

ROZDZIAŁ VII

Rozpoznanie terenu obozu. Powrót na bryg. Niepowodzenie. Zwożenie zapasów. Wizyta tubylców. Budowa tratwy. Sztorm. Ostateczne rozbięcie brygu. Żegluga na łodziach po ładunek. Budowa domu. Odpląnięcie szturmanów i części załogi. Wyprawa z Edytą na łodzi. Sztorm. Ucieczka

Miejsce lądowania było dobrze wybrane. Mieliśmy dość przestrzeni, aby rozbić namioty. Właściwie można by z rosnących tam wielkich drzew wybudować całą wioskę. Drzewa

nie dawały jednak wiele cienia, liście ich bowiem ustawiały się równolegle do promieni słonecznych. Półwysep łączył się z lądem wąskim przesmykiem, łatwym, w razie zaatakowania nas przez tubylców, do obrony. Zatoczka tworzyła natomiast świetny port dla naszych łodzi. Skały sterczące nad wodą ciągnęły się w górę rzeki, a na równinie drzewa rosły tylko z rzadka, mieliśmy więc dobre pole obserwacji i nikt nie mógł zbliżyć się do obozu nie zauważony.

Natychmiast po wylądowaniu matka prosiła pana Mudge, aby sprawdził, czy w okolicy nie ma tubylców.

— Aby najlepiej dokonać rozpoznania terenu, trzeba zdobyć szczyt skał, skąd na pewno rozpościera się rozległy widok — odpowiedział Mudge.

Prosiłem, aby zabrał mnie z sobą. Przystał na to, lecz przed wyruszeniem w drogę wydał dyspozycje marynarzom, jak i gdzie mają wylądować z łodzi zapasy i sprzęt.

Gdy podeszliśmy do skał, okazało się, że wspinaczka nie będzie sprawą łatwą. Wyrastały one pionowo nad miejscem naszego lądowania. Pomaszerowaliśmy na zachód, to jest w górę strumienia. Tam trafiliśmy na skalne ściany bardziej popękane i miejscami porośnięte krzewami. Nie wiem, jak w naszej sytuacji zachowałby się jakiś szczur lądowy, ale my natychmiast nie obawiając się, że spadniemy na złamanie karku, zaczęliśmy wspinaczkę.

Peźliśmy po głazach, chwytając się krzewów i wreszcie dotarliśmy do pasma piaszczystych wydym. Z łatwością wydostaliśmy się na ich skraj u samego szczytu obrywu. Wtedy zawróciliśmy w stronę morza, dopóki nie ujrzyliśmy w dole pod sobą naszego biwaku.

Mudge miał ze sobą lunetę, więc dzięki temu można było dokładnie zbadać całą okolicę.

Najprzód popatrzyliśmy na bryg leżący nie dalej niż w odległości półtorej mili na północny wschód — znajdował się w tej samej pozycji, co przedtem. Przy burcie stała łódź. Nie mogliśmy dostrzec, czy prace nad ściągnięciem statku z rafy dały jakiś wynik.

— Wątpię, czy znajdzie się siła zdolna ruszyć go z miejsca — rzekł z ciężkim westchnieniem Mudge. — Jeśli nawet udałoby się ściągnąć go na wodę, nie wiem, czy dopłynąłby do naszego portu. Nic na to nie można poradzić. Powinniśmy być wdzięczni losowi, że wylądowaliśmy szczęśliwie i mamy widoki na znalezienie miejsca pod osadę.

— Obawiam się, że strata statku, choćbyśmy nawet zdołali wywieźć na brzeg część ładunku i zaopatrzenia, bardzo nadszarpnie fundusze ojca — dodałem.

— Większą szkodą byłaby strata życia czy długa podróż szalupami. Na szczęście trafiliśmy na rafę blisko brzegów. Jeszcze raz powtarzam, dziękujmy losowi za to, co nam zostawił i wykorzystajmy wszelkie możliwości — mówił Mudge nie odrywając lunety od oka i obserwując widnokrąg. Zacząłem przyglądać się naszej grupie u stóp obrywu. Marynarze wylądowali szalupę i układali toboły pośrodku półwyspu, w miejscu wskazanym uprzednio przez pana Mudge.

Oddaleni na odległość muskietowego strzału, byli jednak zabezpieczeni przed strzałami z łuków. Jeśli tubylcy nawet posiadaliby łuki, z tej odległości nie mogliby nam wyrządzić krzywdy. To odkrycie było pocieszające. Miejsce na obóz mieliśmy dobre.

Jak już wspomniałem, południowy brzeg rzeki był niższy. Nad morzem ciągnęły się płaskie, piaszczyste wydmy, a nieco dalej faliste wzgórza porośnięte drzewami. Po naszej stronie wyżyna ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Cała okolica bardzo mi przypadła do gustu.

— Nie widzę żadnych chat ani innych zabudowań, ani nawet śladu człowieka — mówił Mudge. — Aż dziwne, że tak urodzajny kraj jest nie zamieszkany. Chyba że tubylcy mieszkają pod ziemią albo w szałasach, jakie widywałem na wyspach mórz południowych. Jeśli tak, to nie dostrzeżemy ich nawet z bliska. Niech pan, Godfreyu, weźmie lunetę i powie mi, czy widać coś podejrzanego.

Oglądałem wzgórze po wzgórzu, dolinę po dolinie od północnego do południowego skraju widnokregu. Nie wykryłem więcej, niż pan Mudge.

Zakończyliśmy więc lustrację terenu i zmierzając wzdłuż krawędzi obrywu na zachód, stosunkowo łatwym zejściem opuściliśmy się na dno doliny.

Matka po wysłuchaniu sprawozdania pana Mudge prosiła go, aby wrócił na bryg.

— Tego uczynić nie mogę — odpowiedział. — Przyrzekłem kapitanowi, że będę czuwał nad pani bezpieczeństwem. Chociaż myślę, że w okolicy nie ma tubylców, jednak nie mogę być tego pewien. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby napadli na obóz podczas mojej nieobecności.

— W takim razie proszę zezwolić mnie! — zawołałem. — Trzech marynarzy wystarczy do wiosłowania. Odległość od statku jest niewielka. Pan, Paddy Doyle i chłopcy będziecie w stanie trzymać w szachu dzikich, zanim nadejdzie odsiecz.

Uzyskałem zgodę pana Mudge i matki. Łódź była już rozładowana, więc natychmiast ruszyłem w stronę brygu. W chwili gdy dobijaliśmy do jego burty, przypływ osiągnął punkt najwyższy. Ojciec, uradowany moim powrotem, wysłuchał dokładnego sprawozdania. Nie mieliśmy jednak czasu na rozmowy. Załoga pracowała przy kabestanie robiąc jeszcze jeden wysiłek, aby ściągnąć statek z rafy. Na próżno. Bryg nawet nie drgnął.

— Obawiam się, panie kapitanie — mówił pierwszy szturman — że dopiero po wyładowaniu lub wyrzuceniu ładunku za burtę zdołamy ruszyć go z miejsca.

— Jestem tego samego zdania — odparł ojciec. — Postaramy się nie stracić ładunku. Co się da, wyślemy na brzeg w szalupach. Jeśli pogoda poprawi się, zbudujemy tratwę i załadujemy na nią tyle, ile będzie można. W ten sposób uratujemy większą część ładunku.

— Spróbujmy jeszcze raz! — wołali marynarze. Okazywali ojcu współczucie i chcieli mu pomóc, gdyż zdawali sobie sprawę, że on przede wszystkim poniesie straty, jeśli bryg zostanie na skałach. Bezskutecznie próbowali obrócić kabestan. Bryg stał jak wmurowany.

— Nic nie pomoże — wołał cieśla, który tylko co wyszedł z wnętrza kadłuba. — Zdaje się, że rafa koralowa przebiła poszycie i dopóki nie usuniemy ładunku i balastu do ostatniego kawałka, żadna siła nie ruszy nas z tej skałki.

Ojciec zszedł w dół. Gdy wrócił, kazał załadowywać szalupy i przystąpić do budowania tratwy. Załadowane szalupy kazał mi pilotować do naszej zatoczki. Sam pozostał na pokładzie i z resztą załogi budował tratwę.

— Nie zostawisz przy tej robocie szturmanów, mój ojczy? — szepnąłem.

— Nie, synku — odpowiedział. — Ostatni opuszczę ten pokład. Gdy tylko wyładujecie łodzie, wracajcie. Chyba że pan Mudge zechce zatrzymać małą szalupkę. Powiedz mu o moich planach i poproś matkę, aby nie obawiała się o mnie.

Gotów byłem wykonać polecenie, ale wiedziałem dobrze, że niepokoju matki nie ułagodzą żadne słowa.

Skoczyłem do szalupki, kazałem marynarzom odbić i nacisnąć na wiosła. Morze było znacznie spokojniejsze i chociaż szalupy niosły ciężki ładunek, szczęśliwie przebyliśmy kipieli na mieliznie i dobiliśmy do naszego portu.

Na końcu przesmyku zauważyliśmy trzy obce postaci obserwujące naszych przyjaciół. Byli to czarni na ciele tubylcy bez skrawka odzienia, o bujnych, krzaczastych czuprynach. Jeden z krajowców miał gęsty zarost. Dwóch trzymało w rękach dzidy a trzeci był bez broni. Z bliższej odległości poznałem, że to kobieta.

Mudge, widząc nasze zmieszanie, zawołał:

— Nie zwracajcie na nich uwagi. Od pół godziny zastanawiają się, cośmy za jedni. Najlepszy na nich sposób to nie zaczepiać ich. Całkiem możliwe, że po pewnym czasie zaprzyjaźnią się z nami.

Przekazałem polecenie ojca. Mudge polecił mi, abym natychmiast po wyładowaniu łodzi wracał na bryg.

— Paddy Doyle świetnie daje sobie radę z naszymi czarnymi przyjaciółmi — dodał. — Jedyna rada, jakiej pragnę ci udzielić, to abyś przeprowadzał tratwę przez mieliznę tuż przed

końcem przyływu. Pomoże ci prąd i wysoki stan wody. Na razie nie warto ryzykować. Mam nadzieję, że ojciec przycumuje tratwę do burty brygu i przyjedzie do nas na noc.

Matka wyraziła takie samo życzenie.

Załoga szybko opróżniała szalupy, składając ładunek na stos obok pierwszej partii tobołów.

Paddy Doyle zamiast pracować obserwował tubylców. Udawał oczywiście, że jest czymś zajęty, ale wykonywał całą masę czynności, które miały ich zainteresować. Udało mu się to. Mężczyzna kazał swoim towarzyszom cofnąć się, widocznie, aby byli bezpieczniejsi, a sam zrobił kilka kroków w naszą stronę. Chociaż według naszych pojęć nie można go było nazwać pięknym, wyglądał jak doskonała rzeźba, gdy tak stał z pięcioma dzidami o lśniących, polerowanych grotach w lewym ręku, z drewnianą broszą w bujnej czuprynie i pękiem czaplích piór za uchem. Wokół bioder miał owiniętą skórę oposa, tworzącą bardzo obcisłą opaskę. Za pasem zatknięty był nóż czy sztylet zrobiony z kości lub kamienia, a z tyłu kamienny toporek. Prawą rękę miał wolną, jakby w każdej chwili był gotów do rzucenia w nas jednym z oszczepów. Był wysoki, ręce i nogi, chociaż zakurzone, wyglądały czysto, a jeśli chodzi o kształty — były wspaniałe.

Paddy udał, że dopiero go zauważył. Podszedł bliżej i nisko skłonił się kapeluszem. Chociaż najprawdopodobniej nikt się jeszcze tak dzikiemu nie kłaniał, odnieśliśmy wrażenie, że pojął, o co chodzi. Wskazał na siebie palcem i zawołał: — Pullingo!

— Moje najniższe uszanowanie, panie Pullingo — odpowiedział z poważną miną Paddy. — Mam nadzieję, że miewa się pan dobrze. A jak zdroweczko szanownej małżonki? Jak panicz Pullingo i inni?

Dziki odpowiedział kilku głucho brzmiącymi słowami, lecz co one mogły oznaczać, trudno pojąć. W każdym razie Paddy nazwał go „Pullingo” i ciągnął swoje:

— Zupełnie słusznie. Ja nazywam się Paddy Doyle, do usług pańskich. Wraz z moimi przyjaciółmi mam zamiar spędzić tu parę tygodni... no, może trochę więcej. Mamy nadzieję, że poznamy pana lepiej.

To przemówienie Paddy'ego oraz jego gesty wzbudziły w dzikim zaufanie i przekonały go, że nie żyjemy wrogich zamiarów. Postali chwilę naprzeciw siebie i Australijczyk zaczął cofać się, dopóki nie zbliżył się do kobiety i chłopca. Wówczas usiadł przy nich i zaczął szybko coś mówić. Nagle wszyscy troje wstali i poszli brzegiem w górę rzeki.

Byłem na ładzie bardzo krótko, lecz gdy wróciłem na statek, tratwa była prawie gotowa. Od brzegów płynął prąd odpływu. Ojciec, idąc za radą pana Mudge, przycumował tratwę do brygu. Ładunek woziliśmy na brzeg szalupami aż do zapadnięcia nocy.

Ojciec niechętnie zgodził się, aby z resztą załogi spędzić noc na ładzie.

— Nie obawiałbym się niczego na statku — mówił. — Jestem przeświadczony, że bryg będzie się trzymał jeśli nawet nie zdołamy ściągnąć go z rafy.

Na brzegu zgromadziliśmy zapasy żywności, które przy oszczędnym trybie życia mogłyby nam wystarczyć na parę miesięcy. Zabraliśmy wszystką broń i amunicję, ubrania własne i załogi, pościel, pewne części umeblowania potrzebne matce, naczynia kuchenne i nakrycia, serwis do kolacji i herbaty, sprzęt ciesielski, szpadle i oskardy, narzędzia rolnicze, bele nowego płótna żaglowego, gotowe żagle i całą masę różnych drobiazgów. Mogliśmy być zadowoleni, że udało się tyle uratować. Rozbiliśmy kilka namiotów, w których zamieszkali wszyscy członkowie załogi. Najlepszy był wystawiony dla matki i Edyty. Dla reszty po prostu przerzucało się kawał brezentu przez napiętą linę i brzegi płótna przypinało kołkami do ziemi.

Ojciec kazał marynarzom wyciąć na całym półwyspie trawę.

— To skutki doświadczeń kapitana Cooka — mówił. — Pamiętam opisy, jak tubylcy, niezadowoleni z przybycia nieproszonych gości, zapalili wokół jego obozu trawę. Dopiero w ostatniej chwili udało się zabrać amunicję i najbardziej potrzebne przedmioty. Nasi tubylcy może są nastroszeni przyjaźnie, ale nie ufam im, gdyż nie wiem, co mogą uznać za obrazę.

Dotychczas byliśmy zbyt zajęci, aby spożyć posiłek; zjedliśmy tylko trochę sucharów popijając winem. Rozpaliliśmy ognisko, zawiesiliśmy nad nim duży czajnik i kocioł, aby przyrządzić porządną kolację. Manny dostarczyła nam mleka do herbaty. Koza szczypała świeżą trawę, więc mieliśmy nadzieję, że ilość mleka znacznie się zwiększy.

Ojciec wystawił na przesmyku jeden posterunek, a dwa dalsze na brzegu. Tak ubezpieczeni zniknęliśmy w namiotach, a po pracowicie spędzonych dniach sen zmorzył nas bardzo szybko.

Trudno mi powiedzieć, jak długo spałem. Zbudził mnie trzask gromu, zdawało się tuż nad moją głową. Wskoczyłem z namiotu. Zostałem na nogach ojca, oficerów i większość marynarzy. Szalała tropikalna ulewa. Wiatr gwałcił drzewa i wyrzucał na brzeg morską pianę. Poczuję się szczęśliwy, że ojciec nie został na statku, nie opuszczała mnie bowiem obawa, że teraz zostanie on rozbity i reszta ładunku przypadnie.

Ojciec przede wszystkim zabezpieczał łódzie. Gdy skończył, zebrał swych podkomendnych.

— Nie musimy już drzeć o życie — przemówił. — Jeśli chodzi o bryg, nie jesteśmy w stanie nic zrobić przed świtem. Jeśli wiatr ucichnie, a statek nie rozpadnie się, spróbujemy ściągnąć go na wodę. Jeśli nie, niech się dzieje wola nieba. Musimy być zadowoleni, że wyszliśmy cało i uratowaliśmy coś niecoś z ładunku.

Byłem strasznie śpiący, więc szybko skorzystałem z rady ojca. Wpełzłem do namiotu i nie zważając na burzę zasnąłem.

Gdy obudziłem się, dzień był już w pełni. Deszcz nie padał, lecz niebo pozostało zachmurzone. Marynarze próbowali dokonać trudnej sztuki — rozpalali ognisko z mokrych traw i drzewa. Ojciec w towarzystwie pana Mudge wspiął się na skarpe skały, aby obserwować bryg. Sztorm minął szybko. Słońce wysunęło się złocistym kręgiem spoza chmur, które uciekały na południe. Zbudziłem swych młodszych towarzyszy. Przespali całą burzę i byli zdziwieni widząc mokrą ziemię i nadal grzmiące fale przyboju.

Wszystkie nasze namioty dzielnie przetrwały sztorm. Marynarze zbudowali je mocno. Matkę i Edytę zastałem oczekujące na powrót ojca.

— Całkowita utrata brygu będzie dla niego ciężkim ciosem — rzekła matka — a ojciec nie ma nadziei na jego uratowanie. Musimy dołożyć starań, aby podtrzymać go na duchu i pokazać, że jesteśmy zadowoleni ze swego losu. Jestem wdzięczna niebiosom, że natchnęły go, aby został na noc na brzegu. Rozbicie statku wydaje się teraz drobiazgiem. Wierzę, że ty i Pierce pomożecie ojcu.

— Oczywiście, mam. Harry również będzie pomagał — dorzucił Pierce. — Nie zawiodą nas również ani Tomek, ani Popo.

Marynarzom udało się wreszcie rozpalic ognisko. Ojciec i Mudge wrócili akurat na śniadanie. Z daleka już kręcili głowami.

— Z brygu nie zostało ani śladu — rzekł ojciec ponuro. — Miejmy nadzieję, że po przybyciu do Sydney towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaci mi odszkodowanie. Do ostatniej chwili liczyłem jednak na ocalenie statku.

Na razie mam zamiar osiąść w tej okolicy, a gdy ją dobrze poznamy i zbadamy, będziemy mogli posłać łodem ekspedycję do Sydney. Po zdobyciu pewnego doświadczenia nie będzie trudności z odwiedzeniem angielskich osad na południu.

Matce projekty ojca wydały się bardzo rozsądne, a poza tym ogarnął ją lęk przed długą wędrówką łodem, jak i przed podróżą łodzią. Reszta towarzyszy nie podzielała poglądów ojca, chociaż początkowo wcale tego nie okazywała.

Marynarze po rozbiciu statku nie czuli się już związani morską dyscypliną. Do ojca odnosili się z szacunkiem, ale nie mieli zamiaru wykonywać jego poleceń. Ojciec natomiast, wychowany w surowej szkole marynarki wojennej, nie mógł przywyknąć do zwyczajów panujących we flocie handlowej. Uważał, że załoga nadal winna mu posłuch, jak na pokładzie.

Szturmani trzymali stronę marynarzy. Jedynym oficerem, z którym ojciec prowadził narady, był Mudge.

Przed wszystkim postanowili wyszukać miejsce na osadę licząc, że marynarze pomogą w jej zorganizowaniu. Na propozycję ojca odpowiedział w imieniu załogi pierwszy szturman:

— Widzi pan, kapitanie Rayner, pan jest tu z żoną i rodziną. Z nami sprawa inna. Chcemy wrócić do swoich, do cywilizacji i nie widzimy powodu, dla którego mielibyśmy zostać tu, mając do dyspozycji mocną szalupę, którą z łatwością możemy odbyć rejs do Sydney. Jeśli pan da nam szalupę, jesteśmy gotowi odpłynąć, gdy tylko trochę rozprostujemy nogi na lądzie.

Ojciec odparł, że zastanowi się nad tą prośbą. Na to szturman mruknął coś, czego nie zdołaliśmy usłyszeć.

Wkrótce potem rozmawiałem na ten temat z Mudgem.

— Nic na to nie poradzimy — mówił. Jeśli nie potrafimy przekonać ich, aby zostali — odejdą. W każdym razie nikt nie ma prawa zmusić ich do czegoś, z czym się nie zgadzają. Możemy polegać wyłącznie na własnych siłach. Jestem przekonany, że Tomek Peck i Harry pozostaną nam wierni, liczę również na bosmana Paddy Doyle'a, który jest bardzo do nas przywiązany.

— Ja mogę ręczyć za Neda Burtona — rzekłem — a myślę, że jeszcze za dwóch, trzech marynarzy.

— Wówczas damy sobie radę bez innych — odpowiedział wesoło Mudge. — Po doświadczeniach ubiegłej nocy chciałbym wybudować dla twej matki i Edyty chatkę, w której czułyby się lepiej niż w namiocie. Mówiłem o tym twemu ojcu, który wyraził wdzięczność za moje dobre chęci. Aby pokazać marynarzom, że jesteśmy od nich niezależni, powinniśmy natychmiast przystąpić do pracy. Pobliskie drzewa są zbyt wielkie, ale przy ujściu rzeki widziałem takie, które będą akurat pasowały na narożniki i krokwie. Jeśliby jeszcze poprosić do towarzystwa bosmana Doyle, moglibyśmy zaraz iść z siekierami na wyrąb. Powiedz chłopcom, że mają ściągać do obozu zrąbane pnie, a Burton z ojcem zajmą się ich układaniem. Może zawstydzimy niektórych marynarzy i zaproponują nam swoją pomoc.

Harry i Tomek z radością powitali wiadomość, że mogą się do czegoś przydać. Uznali, że dadzą sobie radę z pniami, chyba że trafi się jakiś szczególnie ciężki. Marynarze obserwowali nasze przygotowania. Nadal siedzieli wokół ogniska kurząc fajki i nie pytali, dokąd i po co idziemy.

Szybko dobrnęliśmy do miejsca, gdzie między skałami a plażą rosnęło kilka prostych palm, świetnie nadających się do naszego celu. Zrąbaliśmy dwie, które chłopcy ponieśli do obozu wołając, byśmy przygotowali jeszcze kilka, zanim wrócą.

Pod skałami panował upał i gdyby nie wiejący od morza orzeźwiający wiatr, trudno by było tu wytrzymać. Mudge zrzucił bluzę i zakasał rękawy koszuli, Doyle uczynił to samo i wzięli się do roboty. Każdy z nich zwałił po dwie palmy, zanim ja zdążyłem zrąbać jedną. Doyle zbliżył się do grupy drzew rosnących opodal. Pozostałem razem z panem Mudge.

Machałem zamasyście siekierą, gdy nagle usłyszałem niezwykle krzyk pana Mudge. Spojrzałem w jego stronę. Ku swemu najwyższemu przerażeniu ujrzałem go na ziemi w uścisku potężnego węża, który wznosił wysoko łeb, jakby chcąc pochwycić ofiarę zębami. Skoczyłem na pomoc wznosząc siekierę. Musiałem odwrócić uwagę węża, aby zamiast atakować pana Mudge, zwrócił łeb ku mnie. Nie namyślając się zadałem cios. Gdybym nie trafił w łeb potwora, byłby mnie pokąsał. Na szczęście siekiera była świeżo naostrzona i jeden cios wystarczył, aby odrąbać łeb węża. Głowa odpadła z sykiem, lecz ciało nadal oplatało przyjaciela. Musiałem bardzo natężyć mięśnie, aby je odwinąć.

Wielu ludzi zemdlałoby w takiej sytuacji, ale pan Mudge wstał przy mojej pomocy i tylko potrząsnął głową i sprawdził, czy kości są całe.

— Dziękuję z całego serca, Godfreyu — powiedział spokojnie podnosząc siekierę. —

Miałaś głowę na karku i działałaś ostrożnie. Uratowałaś mi życie. Mam nadzieję, że takich węzów nie ma wiele w naszej okolicy; przeciwnie byłoby raczej nieprzyjemnie.

Gdy przybiegli do nas Doyle i chłopcy, nie bardzo mogli zrozumieć, co zaszło, dopóki nie ujrzeli węża z odciętą głową.

Zanim powróciliśmy do pracy, przeszukaliśmy wszystkie zarośla wokół nas. Nie naktnęliśmy się na żadnego gada. Później doszedłem do wniosku, że zabiłem wyjątkowo wielką bestię, gdyż już nigdy potem takiej nie widziałem. W Australii jest wprawdzie sporo jadowitych węży, ale są one stosunkowo mniejsze.

Uspokojeni wzięliśmy się do pracy. Kolegom noszącym pnie do obozu przykazaliśmy milczeć o przygodzie, aby nie przerazić matki i Edyty. Kobiety mogłyby z łatwością pomyśleć, że w tej okolicy panuje plaga węży.

Ścinanie palm przychodziło nam coraz łatwiej. Nabraliśmy takiej wprawy, że nasz „transport” nie mógł nadażyć z odnoszeniem pni.

Po powrocie do obozu zobaczyliśmy kilku marynarzy pomagających ojcu i bosmanowi obciosywać pnie i ustawiać ściany. Większość jednak nie interesowała się naszą pracą.

W dodatku obawialiśmy się, by marynarze nie dobrali się do rumu, Ojciec, jeśli chodzi o picie, był bardzo twardy i nieustępliwy. Kazał Edycie mieć na oku beczułki i skrzynie ustawione jedna na drugiej — gdyby któryś z marynarzy miał zamiar z nich skorzystać, Edyta miała natychmiast zawiadomić ojca.

Od morza nieprzerwanie dął silny wiatr i u brzegów huczała wysoka fala. Nie można więc było wysłać łodzi w poszukiwaniu ładunku, który mógł być rozrzucony wzdłuż brzegów. Marynarze również wiedzieli, że na razie podróż do Sydney jest niemożliwa.

Nie widywaliśmy w okolicy żadnych tubylców. Nie odwiedzał nas nawet Pullingo. Stąd nasuwał się wniosek, że wylądowaliśmy na terenach mało zaludnionych. Mimo to ojciec żądał stanowczo wystawiania na noc posterunków, aby uniknąć zaskoczenia. Niektórzy marynarze okazywali z tego powodu niezadowolenie i ojciec na zmianę z panem Mudge musiał w nocy kontrolować, czy posterunki czuwają. Trudno było zrozumieć, czemu marynarze, tak dobrze wykonujący swoje obowiązki podczas rejsu, zmienili się tak bardzo na lądzie. Przyczyną tego mogło być rozczarowanie, że nie dotarliśmy do Sydney, gdzie większość spodziewała się zabawić po swojemu. Tylko ci, co posiadali jakieś wykształcenie, zachowywali się lepiej.

Następnego dnia wiatr stracił na sile i wreszcie ustał. Ocean skrzył się w słonecznych promieniach, a na mieliźnie przy ujściu rzeki woda była zupełnie gładka. Szturmani poprosili ojca, aby zezwolił im i marynarzom odpłynąć dużą szalupą do Sydney. Zwrócili się do ojca w sposób grzeczny, ale stanowczy. Ojciec próbował wytłumaczyć im, jakie mogą spotkać ich niebezpieczeństwa u całkiem nieznanymi brzegów. Poradził im, aby podwyższyli burty łodzi i przygotowali ją do długiej podróży, podczas której mogą spotkać gwałtowne sztormy.

Szturmani byli niecierpliwi, odpowiedzieli, że taka praca zajęłaby zbyt wiele czasu i że pragną odpłynąć natychmiast. Ojciec poprosił wówczas, aby przedtem popłynęli nieco na północ i zobaczyli, co pozostało z wraku „Violet” i czy fale nie wyrzuciły na brzeg ładunku.

Pierwszy szturman wyraził zgodę pod warunkiem, że popłynie z nim ojciec lub pan Mudge.

— Kapitanie Rayner, chętnie popłynę — zgodził się Mudge. — Pan przez ten czas dopatrzy budowy chaty.

Poprosiłem ojca, aby pozwolił mi również wziąć udział w rejsie. Postanowiliśmy zatem z panem Mudge i paru marynarzami wyruszyć na małej szalupie. Pierwsi wyszliśmy z zatoki, kierując się ku rafom, na których osiadł bryg. Nie ujrzeliśmy go jednak — z wody sterczało zaledwie kilka belek.

— Dobrze, że twój ojciec nie popłynął — rzekł Mudge. — Byłby to dla niego przykry widok. Sterujmy teraz wzdłuż brzegów, chociaż wątpię, czy fale mogły zanieść cokolwiek aż

tak daleko.

Przeszukaliśmy wybrzeże na przestrzeni paru mil, lecz znaleźliśmy tylko kilka rozbitych części statku. Duża szalupa wyłowiała trochę desek, które szturman miał zamiar użyć do podwyższenia burt łodzi.

Mieliśmy zamiar wracać, gdy dostrzegłem pływającą niedaleko od nas dużą skrzynkę. Na jednym z boków wypisana była jej zawartość: „Nasiona”.

— Jeśli nie uległy zniszczeniu przez morską wodę, przedstawiają dla nas wielką wartość — rzekł Mudge. — Zostały przecież zabrane po to, aby je zasiał.

Wyciągnęliśmy skrzynię i zamiast wracać ruszyliśmy na dalsze poszukiwania. Wyłowiliśmy jeszcze kilka skrzynek i antałek piwa. Szturmanowi dopisało takie samo szczęście. Wiosłowaliśmy jeszcze dość daleko na północ, lecz brzeg i morze były puste. Powróciliśmy zatem do zatoki.

Ojciec po wysłuchaniu raportu pana Mudge tylko westchnął.

— Wiedziałem, że tak będzie — rzekł ze smutkiem — ale liczyłem jeszcze, że morze wyrzuci na brzeg część ładunku. Dziękujemy losowi za to, co ocaliliśmy. Nasiona mają tu dużą wartość. Nie zostały zniszczone, gdyż zalutowałem je w blaszanym pudle i dopiero wtedy włożyłem do skrzyni.

W jednej z małych skrzynek znaleźliśmy konserwy owocowe, w innej suszone ozorki, które nic nie straciły na wartości mimo morskiej kąpieli. Skrzynka herbaty wywołała ogólną radość, a antałek piwa również przyjęto z zadowoleniem.

Skrzynki wyłowione przez szturmana także zawierały prowianty a beczułka — rum.

Ojciec ostrzegał oficera przed zabieraniem alkoholu na szalupę z niezbyt zdyscyplinowaną załogą. Szturman był jednak dobrej myśli.

— Dam sobie radę — odpowiedział. — Gdy tylko wyjdziemy na morze, przywrócę dyscyplinę. To tylko na brzegu pozwalają sobie na niesubordynację.

— Życzę zatem powodzenia — rzekł ojciec — musiałem jednak ostrzec pana.

Gdy załoga dowiedziała się, że ojciec nie ma zamiaru jej zatrzymywać, lecz nawet chce pomóc w przygotowaniu łodzi, zachowała się bardzo przyzwoicie.

Mieliśmy komplet narzędzi i cieśla z pomocnikiem szybko podwyższyli burty szalupy a dziobową jej część pokryli pokładem. Ustawili dwa maszty, dorobili dwa żagle na rejkach lugrowych i sztaksel.

Ze źródła, które biło niedaleko obozu, marynarze nabrali wody do baryłek dostarczonych im przez ojca, który jeszcze raz proponował szturmanowi, aby zostawił rum i zamiast niego wziął dodatkową beczkę wody.

— Dziękuję, panie kapitanie — odparł oficer. — Wody będziemy mogli nabrać przy ujściu każdej rzeki, a moi ludzie na pewno będą zadowoleni, gdy od czasu do czasu dostaną porcję czegoś mocniejszego.

Ojciec i Mudge włożyli dużo wysiłku, aby wyposażyć szalupę w rzeczy niezbędne do tak długiego rejsu. Dał szturmanowi mapę, kompas i kwadrant, na wypadek gdyby sztorm uniósł szalupę na pełne morze. Napisał listy do kupca, któremu miał dostarczyć bryg, prosząc, by jeśli uzna, że podróż lądem jest zbyt ciężka, przysłał po ojca statek, na który będziemy czekać przez trzy miesiące. Po upływie tego czasu mieliśmy uznać, że podróż lądem nie naraża nas na zbyt wielkie niebezpieczeństwa.

— Może pan na mnie polegać — rzekł pierwszy szturman, biorąc list. — Zostanie doręczony.

Drugi oficer obiecał, że wróci po nas statkiem. Po czym obydwaj przyłączyli się do załogi czekającej już w łodzi. Na brzegu pozostali z nami bosman i pomocnik cieśli.

Patrzyliśmy w ślad za łodzią. Żeglowała w dół rzeki pod tchnieniem lekkiego północnego wiatru. Mudge miał taki wyraz twarzy, jak by żałował, że pozostał na lądzie. Rozumiałem go. Naszym obowiązkiem było dołożyć wszelkich starań, aby jak najprędzej powrócić na

nasz okręt. Z drugiej strony uważałem, że popełniłbym gorszą dezercję, gdybym w takich okolicznościach opuścił mego ojca i rodzinę.

Przystąpiliśmy do pracy nad wykończeniem chaty. Dick Joint, pomocnik cieśli, zrobił ramę okienną do pokoju matki i miał zamiar sklecić kilka najpotrzebniejszych mebli. Na razie mieliśmy stół, zabrany ze statku, kilka składanych krzeseł i dwa łóżka dla matki i Edyty.

Obie panie były bardzo pracowite, lecz Edyta z trudem zносиła upał panujący u podnóża skał. Ojciec zastanawiał się, czy nie przenieść obozu na wyżynę. Doszedł jednak do wniosku, że lepiej pozostać na miejscu, gdyż trudno byłoby nam przenieść wszystkie uratowane z brygu zapasy, a poza tym na wyżynie bylibyśmy bezbronni, gdyby zaatakowało nas jakieś nieprzyjazne plemię tubylcze.

Aby mieć trochę rozrywki i uchronić Edytę od dokuczliwego żaru, robiąc wycieczki łodzią zawieszaliśmy nad rufą osłonę z płótna i na dnie układaliśmy poduszkę: to było miejsce dla naszej pasażerki. Załogę zwykle stanowili Pierce i Tomek, lub Harry i ja. Z całkowitą swobodą mogliśmy manewrować niewielką łodzią, zwłaszcza że docieraliśmy tylko do ujścia rzeki.

Koza Nanny, za każdym razem gdy tylko dostrzegała, że Edyta wsiada do łodzi, biegła na brzeg i wskakiwała za swoją panią — po prostu uważała się za członka załogi.

Wyszukaliśmy w bagażach haczyki na ryby i często wyruszaliśmy na połów. Ponieważ pracy na brzegu było sporo, wycieczki łodzią można było robić tylko w czasie wolnym od zajęć. Zresztą łowienie ryb było również zajęciem pożytecznym, a Harry wykorzystywał wycieczki na uzupełnianie braków swego wykształcenia, w czym dzielnie pomagała mu Edyta.

Pewnego dnia korzystając z pięknej pogody Tomek i ja zabraliśmy Edytę na przejażdżkę łódką. Pierce, który czuł się trochę niezdrowszy, pozostał w domu. Morze było tak spokojne, że postanowiliśmy popłynąć w stronę rafy, na miejsce, gdzie już kiedyś złowiliśmy sporo doskonałych ryb. Rzuciliśmy kotwicę na głębokiej wodzie, nie zastanawiając się, jak ją potem wyciągniemy. Lina kotwiczna była przywiązana do parosążniowego łańcucha, przykutego do dziobu łodzi.

Złowiliśmy kilka ryb. Edyta początkowo bawiła się doskonale pomagając nam wyciągać ryby. Po pewnym czasie zaczęła narzekać, że jest jej słabo i położyła się na swym pościelaniu na rufie łodzi.

— Zaraz mi przejdzie — mówiła — nie zwracajcie na mnie uwagi.

Łowiliśmy zatem dalej. Harry wyciągnął piękny okaz ryby i chciał go pokazać Edycie. Zwrócił się do niej i nagle krzyknął:

— Godfreyu, spójrz na nią! Czyżby umarła? Jak strasznie zbladła!

Jednym skokiem znalazłem się przy siostrze. Chwyciłem ją za rękę. Była ciepła. Edyta oddychała. Zemdlała tylko i wyglądała przy tym na bardzo chorą.

— Musimy wracać. I to natychmiast! — zawołałem. — Harry, wachluj ją, a my z Tomkiem wyciągniemy kotwicę.

Mimo naszych wysiłków kotwica ani drgnęła. Harry pośpieszył nam z pomocą. Ciągnęliśmy z wszystkich sił, lecz bez skutku.

— Musimy odciąć łańcuch! — krzyknąłem. Wiedząc, że mamy na łodzi siekiere, chwyciłem ją i próbowałem rozbić łańcuch, w miejscu gdzie opierał się o burtę. Harry przeszedł na rufę doglądać chorej.

— Powiała bryza — stwierdził Tomek — pomoże nam szybciej dotrzeć do zatoki.

— To będzie coś więcej niż bryza — odpowiedziałem spoglądając w stronę morza, nad którym rozpięta szeroko rosła czarna chmura. Będziemy mieli burzę z piorunami. Całkiem możliwe, że to spowodowało zemdlenie Edyty.

Fale wokół łodzi już bryzgały pianą. Próbując rozbić łańcuch, wyrąbałem w nadburciu łodzi głęboką wyrwę. Na szczęście siekiera była dobra. Wytrzymała silne uderzenia łańcucha o stal.

— Czy już kończysz? — pytał niecierpliwie Harry.

— O, jeszcze nie! — odpowiedziałem.

— Pozwól, że ja spróbuję — poprosił. — Może pójdzie mi lepiej.

Z ulgą oddałem mu siekiere. Tak bardzo chciałem jak najprędzej uwolnić łódź, że nie odczułem zazdrości, iż ktoś wykona lepiej zaczęta przeze mnie pracę.

Harry przez chwilę patrzył uważnie na ogniwo z wyraźnymi śladami moich uderzeń. Opuścił siekiere z mniejszą niż ja to czyniłem siłą. Trafił w sam środek ogniwa. Potem każdy cios padał dokładnie w to samo miejsce. Po minucie byliśmy uwolnieni. Tomek za pomocą wiosel utrzymywał łódź dziobem pod wiatr a Harry podniósł żagiel i podał mi szoty. Uderzył w nas gwałtowny poryw wiatru, który wciąż przybierał na sile. Gdybyśmy pozostali na kotwicy, obawiam się, że fale zalałyby łódź i poszlibyśmy na dno.

Dobrze się stało, że przerąbaliśmy łańcuch, ale trzeba było jeszcze przebyć przed wejściem do rzeki ową mieliznę, na której tak groźnie załamywały się fale. Edyta jeszcze nie odzyskała przytomności. Miałem nadzieję, że wiatr orzeźwi ją, lecz osłonięta rufą nie czuła jego powiewów.

Z uwagą obserwowałem przewalające się mielizną fale. Długie oceaniczne bałwany nie były jeszcze wysokie i nie załamywały się na płyciźnie. Mogliśmy więc śmiało żeglować na wprost. Zresztą nie było wyboru. Wiedziałem, z jakim niepokojem słuchał rosnącego wycia wichru mój ojciec.

Tuż przed mielizną, na której fale wyglądały naprawdę groźnie, Tomek wykrzyknął:

— Godfreyu! Spójrz, co tam się dzieje! Czy zdołamy przejść?

— Musimy! — odkrzyknąłem. — Bierz wiosła i uważaj, żeby nami nie zakręciło, jeśli nagle zabraknie wiatru.

Mocno ścisnąłem rumpel a wzrok utkwilem w kamiennym cyplu, który służył mi jako nabieżnik, aby wejść w sam środek kanału. Uniosła nas długa fala.

— Wiosłować, wiosłować! — krzyknąłem. Tomek i Harry pociągnęli z całych sił. Zjechaliśmy do wodnej doliny i zaczęliśmy wspinać się na następne płynne wzgórze.

Doganiała nas duża fala. Żagiel wyduęty wiatrem ciągnął doskonale. Pędziliśmy zatem gnani podwójną siłą, jak szaleni.

Akurat wtedy zerknąłem na Edytę. Oczy miała otwarte i spoglądała wokół ze zdziwieniem.

— Dzięki Bogu, że czujesz się lepiej — powiedziałem. — Nie ruszaj się. Za chwilę wrócimy do domu.

Wstrzymałem oddech. Tuż przed nami była najgorsza część przyboju. Doganiająca nas fala uniosła rufę łodzi i pchnęła przez spienione wiry. Po chwili gładko sunęliśmy po spokojnej wodzie zatoczki.

Rodzice oczekiwali nas na brzegu. Matkę zaniepokoiła pobladła twarz Edyty. Uspokajałem ją jak mogłem, a Harry i Tomek wynieśli moją siostrę z łodzi i oddali ojcu, który zaniósł ją do chaty.

Być może choroba Edyty uratowała nam życie. Natychmiast po naszym wylądowaniu zerwał się gwałtowny, chociaż krótkotrwały sztorm.

ROZDZIAŁ VIII

Wyprawa po warzywa. Bliższa znajomość z rodziną Pullingo. Wyprawa myśliwska. Dziwne zwierzęta. Bandyci. Zniknięcie Edyty i Pierce'a. Bezowocne poszukiwania

Minał tydzień od odpłynięcia szalupy do Sydney. W obozie czuliśmy się już jak w domu. Oczywiście nie zabieraliśmy Edyty na przejażdżki po morzu, gdyż nie życzyła sobie tego moja matka. Za to często płynęliśmy w górę rzeki. Wiedzieliśmy, że gdzieś tam mieszkają tubylcy, ale trzymając się środka rzeki nie baliśmy się zaskoczenia.

Podczas pieszych spacerów, zwłaszcza w okolicę, gdzie wąż zaatakował pana Mudge, zawsze przetrząsaliśmy podejrzane miejsca. Węży, prócz zabitego olbrzyma, więcej nie spotkaliśmy. Paddy Doyle oświadczył, że wszystkie zostały pożarte przez tamtego, który dzięki temu urósł taki duży.

Zwiedzaliśmy całą okolicę bez żadnych obaw. Czasami przeprawialiśmy się na przeciwległy brzeg rzeki na polowania i po owoce. Ojciec miał uzasadnione powody do obaw, że bez świeżych warzyw i owoców możemy zapaść na szkorbut.

Założyliśmy już ogródek, ale na wykiełkowanie nasion i na zbiory należało długo czekać.

Pewnego dnia Mudge, Harry, Paddy Doyle i ja poszliśmy polować na południowym brzegu rzeki. Pamiętaliśmy również o życzeniu ojca, aby zawsze przynieść do obozu jakiejś zieleniny. Pod grupą palm Harry zatrzymał nas. Z wprawą, jakiej nabył mieszkając wśród wyspiarzy, wspiął się na palmę i zaczął zrzucać zwinięte jak kapusta liście. Po ogołoceniu przez niego kilku drzew mieliśmy dość do dźwigania. Dalej na piaszczystych wzgórzach znaleźliśmy roślinę podobną do grochu, której pędy rozrastały się po ziemi. Mudge uznał, że warto nazbierać tego grochu. Wypełniliśmy nim nasze chlebaki. Zastrzeliliśmy po drodze kilka gołębi i papug. Po powrocie do łodzi z ulgą zrzuciłem z ramion ciężki balast, który dosłownie przygniatał mnie do ziemi.

Będąc już w łodzi, tuż przed odbiciem od brzegu zauważyliśmy nadlatujące stado dużych ptaków. W blasku zachodzącego słońca pióra ptaków błyszcząły śnieżną bielą, miejscami zabarwioną różowym odcieniem. Ptaki obsiadły gałęzie drzew nad brzegiem rzeki, prowadząc ze sobą gorącą, skrzekliwą dyskusję. Były to różowe kakadu, najpiękniejsze papugi, jakie dotychczas widziałem.

Nasza bliska obecność wcale ich nie spłoszyła. Usadowiły się na gałęziach, najwidoczniej mając zamiar spędzić tu noc. Mogliśmy oglądać je bez trudności. Upierzenie miały białe z różowym odcieniem. Szyja i piersi, jak również koniec ogona zabarwione intensywną czerwienią. Najpiękniejszą ich ozdobą był wspaniały pióropusz rozpostarty jak wachlarz nad głową lub leżący płasko na karku. Pióropusz był wysoki w czerwone, żółte, złote i białe pręgi — co jeszcze dodawało mu uroku.

Mogliśmy ustrzelić parę tych ptaków, lecz żywności było już pod dostatkiem. Miałem jednak ochotę pojmać chociaż jednego żywcem, aby pokazać go Edycie.

Harry pomyślał chwilę i oświadczył, że mógłby złapać papugę, ale chcąc ją oswoić, trzeba wybrać młodą sztukę.

Mudge mówił do ptaków:

— Jesteście wspaniałe, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że gdyby nas przycisnął głód, wyskubalibyśmy wasze piękne pióra i poszłybyście do garnka.

Zbliżał się wieczór. Zaniechaliśmy dalszego podziwiania kakadu i odpłynęliśmy do obozu.

Ojciec powitał nas radośnie i pochwalił, że przywieźliśmy dużo zieleniny.

— Dopóki natura zaopatruje nas w takie owoce i warzywa, a przy tym wystarcza nam

prochu do polowania, nie musimy obawiać się głodu. Widzę, że w razie podróży na południe będziemy mogli znaleźć dość pożywienia tuż przy drodze.

Od pewnego czasu nie oczekiwaliśmy już wizyty Pullingo. Przypuszczaliśmy, że trafił do nas przypadkowo podczas jakiejś długiej wędrówki. Zdziwiło nas zatem wołanie Paddy Doyle:

— Najniższe uszanowanie dla szanownego pana, dla jego małżonki tudzież dzieci! Mogę pana zapewnić, że synalek udał się panu i może pan być z niego dumny, panie Pullingo.

Spojrzeliliśmy w tamtą stronę. Pullingo szedł w towarzystwie syna, który wyglądał jak żywa kopia ojca. Za nimi podążała kobieta, z drepzczącymi koło niej dziewczynką i chłopcem.

Kobieta z dziećmi zatrzymała się w pewnej odległości, a mężczyźni podeszli bliżej. Obydwaj w lewej ręce trzymali po kilka dzid. Paddy dał im znak, aby podeszli do nas bez obawy i aby podkreślić swój przyjazny stosunek, odłożył muszkiet. Krajowcy za jego przykładem odłożyli dzidy. Wówczas Paddy ruszył w ich stronę. Tubylcy, jakby rozumiejąc go, wyciągnęli na powitanie ręce. Paddy po europejsku uściśnął wyciągnięte dłonie ku wielkiemu zdziwieniu dzikich. Irlandczyk i Pullingo przemawiali każdy w swoim języku.

Dobrze rozumiałem, że zdobycie sympatii krajowców jest sprawą ważną. Toteż pobiegłem do chaty poprosić ojca o błyskotki i lusterko, które chciałem ofiarować niezwykłym gościom. Mieliśmy te rzeczy w swoich bagażach, gdyż były one przedmiotem handlu z mieszkańcami wysp południowych.

Pokazałem drobiazgi Pullingo i próbowałem mu wytłumaczyć, co przeznaczam dla niego, a co dla poszczególnych członków rodziny. Dzikie oglądał wszystko bez żadnego zainteresowania. Widocznie uważał, że świecidełka nie przedstawiają dla niego żadnej wartości, co było zresztą całkiem słuszne.

— Prawdopodobnie wolałby pieczoną papugę — odpowiedział Doyle, który tylko co upiekł na roznach kilka ptaków. Oczywiście starczyłoby ich i dla gości. Zaproponowaliśmy im więc świeżo upieczone ptaki. Oczy dzikich zabłyśły radośnie. Obydwaj porwali przysmaki bez żadnych oznak wdzięczności i pobiegli do kobiety i dzieci.

— Oho, ho! I to ma być przyzwoite zachowanie? — wykrzyknął Paddy. — Może to są tutejsze zwyczaje, ale wcale nie uważam, by były przyzwoite. Jeśli jednak podzielicie się z rodziną, to nawet jestem skłonny przebaczyć wam złe maniery.

Dzicy rozerwali ptaki na części i zanim sami zaczęli jeść, dali po kawałku dzieciom.

— Będzie z was pociecha — zrzędził Paddy. — Nie zapominacie o dzieciakach! Przekonamy się, że pan Pullingo to porządny facet, jeśli oczywiście przyswoi sobie trochę naszych zwyczajów.

Widocznie krajowcom nasze towarzystwo przypadło do gustu, bo przystąpili do budowania chatek opodal nad rzeką.

Na obwodzie koła wbijali w ziemię cienkie pręty, których czubki zgięte do środka związywali powróstem ze słomy. Całość obkładali zdartą z drzew korą. Pullingo musiał być bardziej cywilizowany od swych współziomków, gdyż nigdy później tak eleganckich chat nie spotkaliśmy.

Czy w najbliższym sąsiedztwie zamieszkiwała reszta plemienia, nie wiedzieliśmy, w każdym razie byliśmy zadowoleni, że udało nam się zawrzeć przyjaźń z jedną rodziną tubylców. Całkiem możliwe, że opowiedzą swym współziomkom o naszych przyjaznych zamiarach i dzięki temu nie będziemy przez dzikich niepokojeni.

Zapomniałem powiedzieć, że Tomek Peck, chociaż pędziwiatr, miał duży talent do rysunków. Często zabawiał Edytę szkicując w jej bloku rysunkowym figury ludzi i obrazki z natury.

Edyta, choć umiała tylko szkicować widoczki, zabrała ze statku blok wraz z całą swoją biblioteczką.

— Czy chciałaby pani, panno Edyto, mieć portret księcia Pullingo i jego przepięknej

małżonki? — pytał Tomek. — Nie potrafię narysować ich z pamięci, ale mogę poprosić, aby mi pozwali.

— Oczywiście! — zawołała uradowana Edyta. — Chociaż bardzo wątpię, w jaki sposób można zmusić ich do siedzenia przez chwilę bez ruchu.

— Proszę polegać na mnie — odrzekł Tomek. — Proszę pożyczyć mi blok i ołówek, no i oczywiście gumkę. Spróbuję.

Uzbrojony w przybory rysunkowe, poszedł do obozu krajowców, a my z Harrym w pewnej odległości za nim, tak aby mu nie przeszkadzać. Tomek skłonił się nisko i usiłował wytłumaczyć, po co przyszedł, pokazując im blok z naszymi portretami. Harry, Popo i ja byliśmy na nich zupełnie podobni.

Nie wydaje mi się, żeby Pullingo zrozumiał, co znaczą kreski na papierze, ale jego żona szybko pojęła, o co chodzi, i pokazała na migi, że chce zobaczyć swoją podobiznę. Tomek natychmiast ustawił ich i zaczął rysować. Modele patrzyły nań z uwagą i artysta nie musiał się śpieszyć. Dorysował im nieco więcej ubrania, niż mieli w rzeczywistości, by — jak powiedział — wyglądali przyzwoiciej. Mówił, że w ten sposób da im do zrozumienia, aby ubierali się nieco staranniej, gdy odwiedzają cywilizowane towarzystwo.

Wykończył portrety i pokazał szanownym modelom. Kobieta była zachwycona. Wskazywała to swą podobiznę, to siebie, potem męża i jego portret. Mężczyzna nie okazał wielkiego zadowolenia, widocznie obawiając się jakichś czarów. Kobieta była wyraźnie zgorszona, gdy Tomek zatrzasnął blok i nie dał jej portretu. Próbował wytłumaczyć, że robi dla niej kopię. Przyniesienie wypełnił. Oryginał dostała Edyta, a ja później wkleiłem go do swego pamiętnika.

Nasze namioty nie były zbyt wygodne. Zbudowaliśmy więc następne chatki, jedną mieszkalną, a drugą na magazyn. Nasz pobyt w dolince mógł potrwać parę miesięcy i trzeba było w jakiś sposób zabezpieczyć produkty i towary przed zniszczeniem. Przy pracy mieliśmy zawsze pilnych obserwatorów — Pullingo i jego syna, którzy nie odrywali wzroku od naszych zajęć.

Niestety nie wszyscy mogli brać udział w budowie. Niektórzy z nas musieli chodzić na polowanie, aby zaoszczędzić nie psujących się prowiantów okrętowych. Mudge, Harry, Paddy i ja byliśmy głównymi myśliwymi. Gdy szliśmy na łowy, towarzyszył nam Pullingo trzymając się w przyzwoitej za nami odległości. Czy również miał zamiar polować, trudno powiedzieć, jedyna broń, jaką posiadał — to kilka dzid i bumerang.

Zawsze potrafiliśmy ustrzelić tyle ptactwa, ile było trzeba. Jednakże naszym marzeniem było zapolować na dziwne zwierzęta, które kapitan Cook nazywał kangurami.

Były one największymi zwierzętami w tej okolicy. Miały łebki podobne do sarnich i futro takiego samego jak sarny koloru. Wielkością znacznie różniły się między sobą, ale widywaliśmy niektóre tak wysokie jak człowiek. Z podziwem przyglądaliśmy się, jak szybko skakały na swych potężnych tylnych nogach, podpierając się ogonem, a przednie króciutkie łapy trzymając przy tym jak ręce. Poznaliśmy oposy i latające wiewiórki, które początkowo braliśmy za nietoperze. Z rzadka widywaliśmy dingo — bardzo brzydkie dzikie psy, które uciekały przed nami tchórzliwie.

Szkoda, że nie potrafiliśmy wyjaśnić Pullingo, o co nam chodziło i spytać, gdzie najlepiej szukać zwierzyny. Krajowiec chodził za nami, zdaje się jedynie po to, aby podziwiać wyniki strzelania i zachwycać się naszą bronią.

Kiedyś zapuściliśmy się w poszukiwaniu kangurów dość daleko i znaleźliśmy się w okolicy, gdzie na niskich wzgórzach nie rosło ani jedno drzewo, a w oddali wznosiły się skaliste góry. Mieliśmy zamiar zawrócić, gdyż w otwartym terenie trudno podejść jakkolwiek zwierzynę. Nagle Doyle zawołał:

— Hej, spójrzcie, co za wielkie ptaszysko pobiegło na nogach! Szybko, szybko, bo zwieje! Wystarczy nam za sto papug i jeszcze no, ho!

Nie dalej niż o sto jardów od nas biegł olbrzymi ptak. Przynajmniej przypuszczałem, że to ptak, gdyż stworzenie to pokrywały pióra. Ptak stanął. Miał co najmniej siedem stóp wysokości, potężne nogi i długą szyję, na której obracała się maleńka główka. Pokryty jasnobrązowymi piórami, wydawał się nie mieć skrzydeł. Spoglądał na nas badawczym wzrokiem, jakby zastanawiając się, co za dziwaczne stworzenia przed nim stoją. Podeszedł parę kroków bliżej, aby lepiej nas obejrzeć. Być może zbliżyłby się jeszcze bardziej, ale Paddy nie wytrzymał i strzelił. Spłoszone hukiem wystrzału, zwierzę pomknęło z szybkością wyścigowego konia. Gapiliśmy się za nim — jak powiedział Paddy — z bardzo niemądrymi minami.

Był to ptak emu. Z tej samej rodziny co strusie zamieszkujące Afrykę, Amerykę Południową i Archipelag Indyjski.

Wracaliśmy do obozu. Za wyjątkowo gęstym, jak na miejscowe warunki, laskiem dostrzegliśmy na równinie tak bardzo wypatrywane przez nas kangury. Zaczęliśmy podchodzić je wykorzystując osłonę drzew. Mudge i ja szliśmy na przedzie, a Harry i Paddy tuż za nami. Broń trzymaliśmy w pogotowiu. Zbliżyliśmy się na odległość strzału. Mudge złożył się. Poczekaliśmy jednak na towarzyszy i wszyscy wystrzeliliśmy jednocześnie.

Jeden kangur z przestrzelonym przez pana Mudge łebkiem padł na miejscu, drugi upadł po paru skokach, lecz trzeci, widocznie nawet nie draśnięty, szybko zniknął nam z oczu. Podbiegliśmy do upolowanej zwierzyny, zapominając nawet powtórnie nabić broń. Oglądaliśmy kangura zabitego przez pana Mudge, a Paddy poszedł obejrzeć drugiego, który jeszcze zdawał się oddychać. Zwierzę, słysząc jego kroki, zerwało się do ucieczki.

Paddy próbował pochwycić kangura, który tak wierzgnął nogami, że pazury tylnej kończyny rozerwały spodnie Irlandczyka. Gdyby ten nie odskoczył w porę, zostałby poważnie zraniony. Irlandczyk błyskawicznie wyciągnął nóż i wbił go w serce zwierzęcia.

Mieliśmy teraz olbrzymie zapasy mięsa. Postanowiliśmy zaprosić do udziału Pullingo. Poćwiartowaliśmy zwierzęta i część mięsa zawiesiliśmy na drzewie, aby uchronić je przed apetytem dzikich psów.

Podczas pracy wydało mi się, że usłyszałem tętent. Po chwili ku naszemu zdumieniu podjechało do nas dwóch jeźdźców. Konie mieli ładne, lecz sami byli wychudzeni i oberwani. Każdy z nich miał na plecach strzelbę, a u boku duże pistolety w olstrach. Do siodła były przytroczone skórzane worki.

— Halo, ludzie. Skąd przybyliście? — zawołał jeden z konnych. — Nie wiedziałem, że w okolicy mieszkają biali.

— My również nie spodziewaliśmy się spotkać Europejczyków tak daleko od Sydney — odparł Mudge, podejrzliwie obserwując przybyszów. — Skąd przybywacie, moi przyjaciele?

— To niewiele pana obchodzi — padła odpowiedź. — Ale ponieważ jesteście, jak przypuszczam, Anglikami, nie wątpię, że podzielicie się z nami kangurzym mięsem. Muszę przyznać, że jesteście porządnie wygłodniali.

— To widać — z naciskiem powiedział Mudge. — Musieliście mieć długą i uciążliwą drogę z Sydney.

— Wcale nie powiedziałem, że jesteście z Sydney — poprawił go jeden z konnych. — Chociaż bywało się tam. Już dawno opuściliśmy to miasto i od paru miesięcy prowadzimy dość twardy żywot. Na razie jednak najważniejszy jest kawałek mięsa. Pogawędzimy, gdy mięso zaskwierczy nad ogniskiem.

— Proszę, bierzcie tyle mięsa, ile wam potrzeba — zaproponował Mudge. — Ale ognia do przyrządzania pieczeni nie mamy.

— Zaraz rozpalimy ognisko, panie — rzekł jeździec. Obydwaj zsiadli z koni, spętali je i szybko i nazbierali suchych patyków, których w tej okolicy nie brakowało. Wyciągnęli krzesiwo i hubkę, skrzesałi ognia. Zapłonęło ognisko, wokół którego gwoli bezpieczeństwa wyskubaliśmy trawę. Przybysze z zapalem zabrali się do jedzenia. Odcinali cienkie pasma

mięsa i przysmażali je nad ogniem. Musieli być naprawdę głodni, gdyż nie czekali, aż mięso upiecze się do końca, lecz jedli półsurowe. Zapach jadła pobudził nasze apetyty. Poszliśmy za przykładem nieznanym, lecz przy jedzeniu zachowywaliśmy większy umiar i lepiej smażyliśmy mięso.

Pullingo obserwujący nas z daleka, podszedł do ogniska i na migi poprosił o pieczyste. Oczywiście nie odmówiliśmy mu. Przybysze obserwowali tubylca podejrzliwie, ale i on nie odnosił się do nich z zaufaniem.

Obcy wymienili z sobą kilka zdań i jeden z nich zwrócił się do Pullingo w narzeczu całkiem dla nas niezrozumiałym. Australijczyk odpowiedział po chwili wahania. Nieznajomi między sobą rozmawiali gwarą, której również nie rozumieliśmy. Po chwili takiej konwersacji, podczas której zadano Pullingo dużo pytań, jeden z nieznanym zwrócił się do pana Mudge.

— Będziemy panu zobowiązani, jeśli otrzymamy parę drobiazgów bardzo nam potrzebnych. Po pierwsze, chcielibyśmy dostać tytoniu. Może nawet macie trochę przy sobie? Potrzebny jest nam proch i śrut, i kilka noży. Przydałoby się również jakieś porządniejsze ubranie.

Mudge miał kilka cygar, a Paddy nieco tytoniu. Obydwaj bez wahania oddali nieznanym te skromne zapasy.

— Jeśli chodzi o proch, to mamy go naprawdę niewiele — rzekł Mudge. — A co do innych rzeczy, prosimy do obozu, tam kapitan Rayner bez wątpienia pomoże wam.

— Nie zrobicie nam kawału i nie przytrzymacie nas? — spytał rozmowniejszy przybysz.

Mudge, zaskoczony nieco tym pytaniem, odpowiedział:

— Nie widzę powodu. Odpląćcie się nam dając dokładny opis terenów, które trzeba przebyć w drodze do Sydney.

Odpowiedź nieznanym zdumiała go jeszcze bardziej.

— Wkrótce do was zawitamy, przygotujcie wszystko, o co prosiliśmy!

Jeźdźcy nie wdając się w dalsze rozmowy przytroczyli do sodeł duże kawały mięsa, a my przygotowaliśmy sobie tyle, ile każdy mógł udźwignąć. Pozostałe mięso oddaliśmy Pullingo, uradowanemu niezmiernie z tak, w jego pojęciu hojnego daru.

Nieznajomi nie chcieli jechać z nami do obozu. Oświadczyli, że wstąpią do nas później, na razie jednak proszą o proch i kule, tłumacząc nam, że swoje zapasy zużyli i nie mają już czym polować ani nawet bronić się w razie napaści krajowców. Wyglądali na tak nieszczęśliwych, że każdy z nas odsypał po sporej porcji prochu i dodał po parę kul. Zostawiliśmy ich przy ognisku.

Pullingo nie czekał na nas i nie myślał służyć za przewodnika. Gdy tylko dostał mięso, truchcikiem pobiegł na przełaj w stronę obozu.

Byliśmy już dość daleko od ogniska, gdy odezwał się Mudge.

— Nie przypađł mi do gustu wygląd tych ludzi. Słyszałem, że ścigani bandyci uciekają do puszczy i organizują bandy. Prowadząc życie rabusiów, napadają na osadników i kradną co popadnie. Przyłgnęła do nich nazwa „leśnych jeźdźców”. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że to właśnie takie ptaszki.

— Wcale o tym nie wątpię — stwierdził Paddy. — Szkoda, że daliśmy im ładunki, chociaż nie żałuję im ani ścierwa, ani tabaki.

— Nie użyją ładunków przeciw nam — rzuciłem.

— Nie byłbym tego zbyt pewny, jeśli należą do tych, na jakich wyglądają — rzekł Mudge. — Musimy się mieć na baczności i nie dać się zaskoczyć.

Do osady, bo tak zaczęliśmy nazywać obóz, przybyliśmy bardzo zmęczeni. Zapasy mięsa oczywiście zostały powitane radośnie i część od razu przyrządzona na kolację. W obozie Pullingo płonęło ognisko, więc domyśliliśmy się, że Australijczyk znacznie nas wyprzedził.

Następnego ranka jeden z nieznajomych przyszedł pieszo do obozu. Powiedział, że zostawił swego towarzysza na pagórku, aby pilnował koni, a sam chce zabrać obiecane im przedmioty. Ojciec podzielał opinię pana Mudge dotyczącą tajemniczych jeźdźców. Uważał jednak, że lepiej dać im wszystko, co obiecaliśmy, a w zamian uzyskać tak bardzo nam potrzebne informacje o terenach dzielących nas od Sydney.

Mężczyzna nie wyglądał na tak wygłodzonego, jak się nam wczoraj wydało. Nie zaprosiliśmy go do chaty, gdyż był straszliwie brudny. Postawiliśmy w cieniu stół i krzesło, nie żałując jadła, a ojciec poczęstował przybysza szklanicą mocnego piwa, które nieco otworzyło mu usta.

Nieznamy przyznał, że prowadzi z towarzyszem trudne i niebezpieczne życie, ale nie mają innego wyjścia. Dokładnie opisał tereny, którymi zamierzaliśmy podróżować. Przeważnie były to łatwe do przebycia otwarte przestrzenie, ale mieliśmy na drodze również skaliste góry, miejscami całkiem dzikie i pozbawione wody.

Czy opis był prawdziwy, trudno było stwierdzić, lecz należało przypuszczać, że nieznajomy musiał sam przemierzyć opisywane okolice.

Całkiem możliwe, że zapuszczając się dalej w głąb lądu lub idąc wzdłuż brzegu, można by ominąć wiele przeszkód, ale to były tylko domysły.

Mężczyzna, uważany przez nas za leśnego jeźdźca-rabusia, nie okazywał przed nami żadnych obaw. Po spożyciu posiłku zwrócił się do pana Mudge.

— A teraz będę wdzięczny, jeśli wypełni pan przyrzeczenie. Potrzebujemy tyle prochu, ile możecie nam dać, gdyż bez niego nie zdobędziemy ani chleba, ani mięsa. Potrzebujemy również noży, igły, nici. Proszę, tu jest ołówek, aby spisać nasze zamówienie.

— A jeśli odmówimy? — odezwał się ojciec oburzony bezczelnością przybysza.

Na twarzy nieznajomego błysnęła wściekłość.

— Wówczas przekonacie się, że to dla was zły interes — odpowiedział bez ogródek. — Jeśli gentleman raz obiecał, spodziewam się, że słowa dotrzyma. Przyszedłem tu jako przyjaciel i chcę tak odejść. Nie mam zamiaru sprawiać nikomu kłopotu swoją osobą. Wolę żyć sam. Jeśli wyświadcycie mi przysługę, odpłacę wam tym samym. Jeśli spróbujecie gróźb, potrafię zemścić się, możecie mi wierzyć.

— A jeśli byśmy pana obezwładnili i jako jeńca dostarczyli władzom w Sydney? — spytał ojciec.

Mężczyzna wybuchnął głośnym śmiechem.

— To byłaby trudna sprawa — odparł. — Nie przyszedłem tu bez uprzedniego zabezpieczenia się. Widzi pan, kapitanie, szanse są równe. A teraz, jeśli łaska, proszę o obiecane rzeczy i natychmiast odchodzę.

Ojciec zrozumiał, że jeśli pan Mudge przyrzekł udzielić pomocy, nie pora się teraz wycofywać. Przygotowano więc tłumok ze wszystkim, czego przybysz zażądał. Po krótkich podziękowaniach nieznajomy zarzucił go na plecy i ruszył w drogę.

Mieliśmy nadzieję, że nie spotkamy więcej żadnego z tych leśnych jeźdźców.

Zauważyliśmy, że z chwilą przybycia nieznajomego do naszego obozu, Pullingo wraz z rodziną skrył się za skały. Nie wyszli stamtąd, dopóki przybysz nie zniknął za szczytem skarpy.

Wkrótce potem Pullingo przyszedł do nas. Od dawna bywał naszym gościem i nigdy nie odchodził z pustymi rękoma. Zawsze dostawał coś dla siebie i rodziny. Właściwie podobało się mu wszystko, co otrzymywał, z wyjątkiem alkoholu. Poczęstowany kiedyś wódką — splunął z obrzydzeniem.

Tym razem miał podobną minę. Chcieliśmy dowiedzieć się od niego, co myśli o naszym niedawnym gościu. Po wielu próbach zdołaliśmy wytłumaczyć Pullingo, o co chcemy go spytać.

Gdy zrozumiał, natychmiast wykrzywił twarz w straszliwym grymasie wyrażającym

obrzydzenie, potrząsnął głową i na migi pokazywał nam, że owych leśnych jeźdźców trzeba przy najbliższej okazji zastrzelić.

Zdobył nasze całkowite zaufanie i miał prawo swobodnie wałęsać się po obozie. Pewnego dnia przyniósł z lasu kosz pełen pięknych kwiatów, owoce i kilka jaj emu.

Przypuszczaliśmy, że ma zamiar ofiarować je moim rodzicom. Nie przeszkadzaliśmy mu więc, aby uczynił to zgodnie ze swoimi zwyczajami.

Obserwowałem go i ze zdziwieniem zobaczyłem, że wszedł do izby pana Mudge. Zajrzałem do wnętrza. Pullingo klęczał przed stojącą w kącie izby strzelbą i rozkładał przed nią wyjęte z koszyka dary. Przemawiał do strzelby i składał jej hołd. W oczywisty sposób przypisywał muszkietowi tajemne siły. Od wielu dni był świadkiem, jak celnie strzela i teraz chciał coś u niej wybłagać.

Nie przerywałem mu i byłem rad, że nie widzą jego modłów Paddy i Tomek, gdyż na pewno nie omieszkaliby zakpić z dzikusa. Odszedłem na palcach, aby Pullingo mnie nie słyszał. Po chwili i on wyszedł z chaty i jak zwykle błąkał się bez celu po osadzie, tylko przez chwilę dłużej obserwując pracę cieśli.

Opowiedziałem Harry'emu, com widział przed chwilą, ale mój przyjaciel uznał zachowanie Pullingo za całkiem naturalne. Wkrótce po wejściu na pokład „Heroine” sam miał zamiar składać hołd kompasowi, kwadrantowi i lunetom, nie mówiąc już o armatach, muszkietach i innych przedmiotach, które Papo nazywał fetyszami białych ludzi.

Od pierwszej chwili Paddy Doyle został uznany przez Pullingo za najważniejszego przyjaciela. Obydwaj szybko znaleźli jakiś cudowny sposób porozumiewania się. Mudge żartował, że są sobie bardzo bliscy.

Prosił Paddy, aby wybadał, czy Pullingo nie wie, co stało się z leśnymi jeźdźcami. Okazało się, że zdaniem naszego czarnego przyjaciela, rabusie odjechali z tych stron. Wiadomość ta uspokoiła nas i przestaliśmy myśleć o nieznanym.

Byliśmy także przekonani, że nie grozi nam nic ze strony tubylców, zaniechaliśmy zatem wszelkich ubezpieczeń i czujności. Tylko nocą trzymaliśmy zwykłą wartę, raczej dla zachowania morskiej dyscypliny, niż z rzeczywistej potrzeby.

Pod skałą, wzdłuż rzeki, a czasem nawet na płaskowyżu chodziliśmy bez broni. Nawet moja matka i Edyta pozbyły się wszelkich obaw i nierzadko ruszały na długie spacery w towarzystwie Harry'ego i Pierce'a. Czasem chodziłem z nimi, lecz przeważnie byłem zajęty łowieniem ryb i polowaniem.

Pewnego dnia matka nieco chorowała i została w obozie pod opieką Popo. Ojciec z panem Mudge, Tomkiem i Paddy Doyle poszli na polowanie, a ja z Harrym i Nedom Burtonem wypłynęliśmy na połów ryb. Obozu strzegło tylko dwóch marynarzy.

Wiosłowaliśmy w dół rzeki. Ryby brały świetnie. Złowiliśmy więcej niż kiedykolwiek przedtem. Był odpływ, który odsłonił liczne skały, zwykle zalane wodą. Z chwilą gdy woda zaczęła na nowo przybierać, łowienie poszło jeszcze lepiej. Podnieceni powodzeniem, nie zwróciliśmy uwagi, ile czasu przebywamy w łodzi. Cieszyło nas, że mieliśmy dość ryb, nie tylko dla siebie, lecz także dla naszych czarnych przyjaciół. Dzicy cenili nas nie za naszą wiedzę, lecz przede wszystkim za umiejętność zdobywania tak bardzo cenionej przez nich żywności.

Burton zaproponował, abyśmy poszukali nad brzegiem soli potrzebnej do konserwowania ryb. Chętnie na to przystałem — solone ryby można by zabrać ze sobą w podróż.

Łowienie przerwał alarmowy wystrzał w obozie. Wyciągnęliśmy wędki, podnieśliśmy kotwicę i nie żałując sił powiosłowaliśmy do naszego portu.

— Co mogło się stać? — pytałem.

— Zapewne czas na kolację i w ten sposób wzywają nas z powrotem — spokojnie odpowiedział Burton.

— Mam nadzieję, że nie złożyli nam wizyty jacyś obcy tubylcy lub znajomi rabusie —

zastanawiał się Harry.

— I to możliwe. Ale pokażemy im, że nie lubimy tego rodzaju kawałów — mówił Burton.

Uwaga Harry'ego zaniepokoiła mnie. Słyszałem już o okrucieństwie leśnych jeźdźców. Dobijaliśmy do portu, gdy doszły nas okrzyki:

— Na pomoc, na pomoc, bo uciekną!

Co tchu popędziliśmy do obozu.

Jeden z marynarzy leżał jak nieżywy, a drugi, przywiązany do pnia, wołał: — Tam, w tamtą stronę! Zatrzymajcie ich!

Byłem zbyt podniecony, aby zrozumieć, co mówi. Pobiegłem do naszej chaty. Była zamknięta. Zacząłem tłuc pięściami w drzwi i wołać matkę. Nie było odpowiedzi. Usłyszałem jednak, że ktoś się rusza za drzwiami, które po chwili otworzył Dicki Popo.

— O massa, dobrze, że jesteś, bo nas pomordują — jęczał Murzyn.

— Gdzie matka?

— W pokoju, ale nic nie mówi!

— Mamo! Mamo! — zawołałem. Drzwi wiodące do jej pokoju były zamknięte. Wraz z Popo wyważyliśmy je. Matka leżała na podłodze. W pierwszej chwili pomyślałem, że została zabita, lecz dosłyszałem jej oddech. Ouciliśmy ją. Na mój widok szybko przysła do siebie.

— Czy to był tylko potworny sen — spytała — czy naprawdę napadli nas bandyci? Gdzie jest Edyta i Pierce?

— Nie trzeba się o nich martwić — odpowiedziałem. — Bandyci uciekli, a Edyta i Pierce na pewno siedzą w jakiejś kryjówce.

— Biegnij ich szukać — prosiła matka — i przyprowadź tu natychmiast. Boję się, że ci okropni ludzie porwali moje dzieci.

— Na pewno nie — odpowiedziałem bez przekonania. — Jestem pewien, że Burton i Harry ruszyli za nimi w pogoń.

Matka jednak nalegała, abym pobiegł szukać rodzeństwa. Chwyciłem strzelbę, przykazałem Popo pozostać przy matce i pobiegłem. Burton i Harry uwolnili przywiązanego do drzewa marynarza, a ten, którego uważałem za zabitego, powoli odzyskiwał przytomność. Był tylko ogłuszony ciosem w głowę. Uzbrojeni w strzelby pobiegliśmy w stronę wyjścia z półwyspu.

Nawoływałem Edytę i Pierce'a, gdyż nie przyszło mi na myśl, że zostali porwani. Dostrześliśmy rabusiów, jak ciężko obciążeni wspinali się na skarpe.

— Stać! — krzyknął donośnie Burton.

Nie było odpowiedzi. Bandyci przyśpieszyli kroku. W pewnej chwili jeden z nich zatrzymał się i zaczął celować z muszkietu.

— Jeśli zrobicie jeszcze krok, strzelam! — zawołał.

— Przyjacielu, gdzie jest dwóch, tam może być zabawa — odkrzyknął Burton. Błyskawicznie złożył się i wystrzelił. Poszedłem za jego przykładem. Gdy dym się rozwiął, ujrzałem rabusiów uciekających z niezwykłą zręcznością. Stanęliśmy, aby nabić strzelby. Nie zwracając uwagi na pogróżki ruszyliśmy w dalszą pogoń. Bandyci jednak mieli nad nami tę przewagę, że minęli już najtrudniejszy odcinek drogi. Mogli uciekać szybciej niż my gonić. Liczyliśmy, że ciężko obciążeni mogą pośliznąć się lub obsunąć ze skarpy. Nie dawaliśmy za wygraną. Kryły ich przed naszym wzrokiem urwiska kamienne i drzewa.

Burton wysunął się naprzód i pierwszy dotarł do szczytu. Podniósł muszkiet i strzelił. Natychmiast stanęliśmy u jego boku. Leśni bandyci galopowali wzdłuż obrywu w stronę morza. Nasze kule nie mogły ich już dosięgnąć.

— Znów chybiłem! — zawołał Ned Burton. — Te łotry posługują się czarami albo mój muszkiet krzywo strzela.

Ponieważ nie mogliśmy gonić bandytów, powiedziałem Burtonowi, że bardzo się niepo-

koję o rodzeństwo i chcę natychmiast wracać. Nadal liczyłem, że oboje gdzieś się ukryli przestraszeni napadem bandytów.

— Widziałem, jak dzieci pobiegły wzdłuż rzeki, zaraz po pańskim wyjeździe na ryby — powiedział Tom Nokes. jeden z marynarzy. — Sądziłem, że mają zezwolenie matki, więc nie zwracałem na nie uwagi.

Ta wiadomość uspokoiła mnie. Bandyci prawdopodobnie nie zauważyli dzieciaków, więc przecież nie mogli wyrządzić im krzywdy.

Pobiegłem do matki, lecz ona nic nie wiedziała o spacerze dzieci, a zresztą uważała, że do tego czasu powinny były wrócić. Nie chciałem jej więcej denerwować i poszedłem nad rzekę. Postanowiłem, że z Harrym i Burtonem popłyniemy w dół rzeki. Tom Nokes ofiarował się ruszyć na poszukiwania piechotą.

Wyładowaliśmy złowione ryby i natychmiast wypłynęliśmy.

Słońce chowało się już za drzewa, gdy dotarliśmy do ujścia rzeki. Mimo nawoływań nie usłyszeliśmy żadnej odpowiedzi. Edyta i Pierce zniknęli. Bez wahania wypłynąłem na morze i sterowałem wzdłuż brzegu na północ, trzymając się jak najbliżej przybrzeżnej rafy.

Co pewien czas zatrzymywaliśmy łódź i lustrowaliśmy brzeg. Dzieci nigdzie nie było. Na skutek przyływu woda miejscami dochodziła do podnóża skał. To zrodziło nowy niepokój. Jeśli dzieci poszły wzdłuż plaży, przyływ złapał je w pułapkę.

— To są próżne obawy — uspokajał mnie Ned Burton. — Oboje mieli dość zdrowego rozsądku i mam nadzieję, że potrafili na czas znaleźć bezpieczne miejsce.

Wiosłowaliśmy tuż przy skałach. W pewnej chwili dostrzegłem podejrzany kształt, który przykuł moją uwagę. Początkowo myślałem, że to głaz pokryty wodorostami, lecz z bliższej odległości rozpoznałem na wpół zanurzone w wodzie ciało ludzkie, leżące bez ruchu obok konia, który robił słabe wysiłki, aby utrzymać głowę na powierzchni.

— To jeden z bandytów! — krzyknąłem.

— Bez wątpienia — odpowiedział Ned Burton. — Trudno jednak zrozumieć, dlaczego spadł ze skały.

— Czy nie dałoby się dotrzeć do niego? Może jeszcze żyje? — pytałem.

— Nikt, kto spadł z takiej wysokości, nie będzie żył — odparł Ned. — Na pewno ma potrzaskane wszystkie gnaty, chyba że spadł na konia. Bądź pan pewny — ten już nie żyje. Za chwilę skończy się także koń. O proszę, już łeb poszedł pod wodę. Gdyby nie to, że szukaliśmy dzieci, można by spróbować dotrzeć tam, ale po co tracić niepotrzebnie czas. Zresztą można uszkodzić łódź o rafy.

— A więc wiosłujmy dalej. Szukajmy Edyty i Pierce'a — zdecydowałem.

Szybko zapadał zmrok. Na próżno wypatrywaliśmy oczy. Na próżno wołaliśmy. Tylko echo odbite od skał powtarzało wykrzykiwane imiona.

Ogarniał mnie coraz większy niepokój. Wydawało mi się, że los rodzeństwa został przesądzony. Ned Burton uznał, że pora wracać. Harry był równie nieszczęśliwy jak ja. Wołaliśmy bez przerwy i niestety bez skutku.

Panował już zupełny mrok i ledwie trafiliśmy do naszej rzeki. Dobiliśmy do przystani. Ojciec z towarzyszami właśnie powrócił z polowania. Złe wieści bardzo go zmartwiły. Tym bardziej, że Tom Nokes również nie natrafił na żaden ślad zaginionych.

Zapadła ciężka noc. Ojciec jak mógł pocieszał matkę, lecz nie mógł rozwiać jej straszliwych obaw. Niepokój o malców odwrócił uwagę od napadu rabusiów.

Po sprawdzeniu magazynu okazało się, że bandyci zabrali przede wszystkim znaczną ilość prochu i kul. Nie zapomnieli także porwać kilka butli z wódką. Przypuszczaliśmy, że leśni jeźdźcy popili sobie od razu i to właśnie stało się przyczyną śmierci jednego z nich. Lecz były to tylko nasze domysły.

Poszedłem spać dopiero na wyraźny rozkaz ojca, który zapewnił mnie, że będzie czuwał nad matką. Pomimo ciężkich przeżyć i zmartwień zasnąłem jak kamień.

ROZDZIAŁ IX

Pomoc Pullingo. Wyprawa ratunkowa. Straszliwy sztorm. Ucieczka. Powrót do osady. Wieloryb. Taniec dzikich. Poszukiwanie rzeki. Wymarsz

Sny miałem równie przykre, jak i przebudzenie. Wydało mi się, że bandyci porwali Edytę i Pierce'a, a podczas ucieczki zrzucili ich ze skał do morza. Potem przypływ porwał ofiary na próżno wzywające ratunku.

Nie bacząc na to, że do świtu było jeszcze daleko, wstałem i wyszedłem z chaty. Pierwszą osobą, jaką spotkałem, był Paddy Doyle.

— Tak sobie chodzę i myślę, panie Godfreyu, że nasz przyjaciel Pullingo pomoże nam odnaleźć dzieci — mówił bosman. — Wy tłumaczę mu, że zaginęły, a to chłopisko, chociaż nie posiada książkowych nauk, ma w swej łepetynie tyle pomysłów, że i nas może w kozi róg zapędzić. Przyszła mi do głowy ta myśl dziś w nocy, kiedy nie mogłem ani na chwilę zasnąć. Czekam aż będzie świt i zaraz idę do tego czarnucha.

— Oczywiście idę z tobą — odparłem. — Jestem przekonany, że ojciec pochwali twój plan.

Na wschodnim krańcu widnokregu zapaliły się pierwsze czerwone zwiastuny jutrzeńki. Poszliśmy z Paddym do szałasów Pullingo, wołając go z daleka. Australijczyk wypełznął z szałasów.

— Nasz przyjaciel nie traci dużo czasu na ubieranie się ani na mycie — zauważył Paddy.

Pullingo w lot pojął, że musimy mieć do niego ważną sprawę. Lecz wyjaśnienie mu przyczyn naszej wizyty trwało znacznie dłużej. Jednak w końcu Paddy dopiął swego i Australijczyk kręcąc kudłatą głową poszedł z nami do osady.

Zabrałem Pullingo do naszej chaty i pokazałem puste łóżko rodzeństwa, potem wyciągnąłem rękę w stronę skał i morza. Czarny myślał przez długą chwilę, rozejrzał się wokół, podniósł kawałek liny, po czym wyjaśnił, że jest za krótka. Zaprowadziliśmy go do magazynu. Tam z uradowaną miną wybrał długi zwój. Palcem wskazał pana Mudge, Burtona, Doyle'a i mnie i dał znak, że mamy iść z nim na wyprawę. Zanim jednak ruszyliśmy w drogę, dał nam znać, że trzeba przedtem coś niecoś przekąsić. Gotowana ryba wyraźnie smakowała mu i szybko uwinął się z podaną porcją.

Ojciec, chociaż rad by wyruszyć z nami, nie mógł jednak opuścić matki. Na odchodnym zwrócił się do pana Mudge:

— Powierzam panu kierownictwo wyprawy. Wiem, że nie będzie pan żałował wysiłków, aby uratować dzieci, jeśli je dotychczas los oszczędził.

Pullingo spytał na migi, czy jesteśmy gotowi i ruszył naprzód. Zamiast iść wzdłuż brzegu, skręcił w górę rzeki, ku swemu obozowi. Wyszliśmy na płaskowyż.

— Ciekaw jestem, czy on w ogóle zrozumiał, że mamy szukać Edyty i Pierce'a — spytałem cicho Paddy Doyle'a.

— Na pewno zrozumiał — usłyszałem w odpowiedzi. — Zobacz pan, zaraz skręci w stronę obrywu. Całkiem możliwe, że zna jakieś zejście, któreśmy przeoczyli, a także zapewne zna miejsce, w którym jak przypuszcza, ukryły się dzieci i skąd nie mogą się wydostać.

Pullingo poprowadził nas inaczej, niż przypuszczał Paddy. Nie poszedł wzdłuż obrywu, lecz zmierzał w kierunku miejsca, gdzie widzieliśmy zwałonego w dół jeźdźca.

Gdyby niezbyt smutne myśli zaprzątające mi głowę, byłbym zapewne uśmieł się z ważnej miny Pullingo, który krocząc na czole grupy na pewno czuł swoją wyższość nad nami. Jak zwykle w lewej ręce niósł dzidę. W krzaczastej czuprynie tkwiło długie pióro. Poza tym miał tylko wążutką przepaskę na biodrach.

Razem z panem Mudge szliśmy tuż za przewodnikiem a bosmani podążali za nami, niosąc na zmianę zwój liny.

— Trudno wyobrazić sobie, żeby dzieci odeszły tak daleko. Jeśli idziemy we właściwym kierunku, to musiały okrążyć skalny cypel — zastanawiałem się głośno.

— Odpływ był głęboki i piasek plaży gładki. Dzieci szły nie myśląc o tym, że tak się oddalają — rzekł Mudge. — Jestem jednak zdumiony, że Edyta nie pomyślała o przypływie, który zamknie im wszystkie drogi powrotu. Mimo to jestem prawie przekonany, że nasz czarny przyjaciel wie, gdzie są nasze zguby.

Uwagi te poprawiły mi humor. Po drodze roztrząsaliśmy przyczyny, jakie mogły spowodować śmierć jednego z jeźdźców. Na zakończenie pan Mudge powiedział:

— Chociaż to była straszna śmierć, to jednak chyba lepsza od głodowej, której niechybnie by się doczekał. Przypuszczam, że większość zbiegów ginie z głodu. Boją się zetknąć z białymi, aby ci nie oddali ich w ręce prawa. Natomiast spotkanie z tubylcami też często musi kończyć się śmiercią. Cóż to za okropność żyć w ciągłym strachu.

Przebyliśmy już przeszło dwie mile i zwolniliśmy schodząc w szczelinę między skałami. Pullingo schodził ostrożnie. Szliśmy w ślad za nim i wkrótce stanęliśmy nad zwisającą nad wodą krawędzią obrywu. Pullingo pokazał na migi, aby rozwinąć linę i opuszczał jej koniec w przepaść. Potem również za pomocą gestów spytał, kto jest gotów spuścić się w dół.

— Najprzód, przyjacielu, musimy umocować górny koniec liny — powiedział Mudge. — Zdaje się, że czarny nie wziął tego pod uwagę.

Mieliśmy ze sobą mocne kije, których używaliśmy zamiast lasek. Wbiliśmy je wszystkie w ziemię w ten sposób uzyskaliśmy mocny pał, na który można było zarzucić linę. Jeden z nas trzymał zaimprovizowany pał i wydawało się, że można bezpiecznie zjechać nad wodę.

— Ja chcę zjechać pierwszy — powiedziałem stanowczo.

— O nie, panie Godfreyu. Jeśli to sprawa niebezpieczna i miałby pan zginąć wraz ze swoim rodzeństwem, proszę pomyśleć o ojcu i matce — zawołał Paddy Doyle. — Jeśli pan Mudge pozwoli, spróbuję pierwszy. Krzyknę, gdy stanę na dole.

— Doyle ma rację — poparł go pan Mudge. — Niech próbuje!

Nie zwlekając dłużej, Paddy zsunął się z obrywu i schodził po linie. Musiała to być niełatwa sprawa nawet dla jego nerwów. Lina kołysała się gwałtownie. Skąd Pullingo wpadł na pomysł, że powinniśmy tu właśnie zejść w dół, trudno dociec, gdyż sam zapewne nigdy nie używał liny do takich celów. Musiał to być zatem pomysł całkiem nowy. Widywał liny w obozie i wyrobił sobie opinię co do ich znaczenia. Sam z łatwością wspinał się po cienkich gołych pniach palm, więc doszedł do wniosku, że my potrafimy robić to samo na linie.

Z dołu doleciało wołanie Doyle'a, chciałem zjechać za nim, lecz Australijczyk uprzedził mnie i odważnie spuścił się w dół.

Doczekałem się wreszcie swej kolejki i nie bez strachu zacząłem spuszczać się w dół. Stałem na wąskiej plaży, utworzonej we wgłębieniu dwóch skał. Rozglądałem się wokół, myśląc, że dostrzegę gdzieś Edytę i Pierce'a.

Pullingo zauważył moje rozczerowanie i dał znak, abyśmy z Doylem szli za nim. Skreślił w kierunku północnym i stapał ostrożnie po waziotkim kamiennym gzymsie, sterczącym zaledwie kilka stóp nad wodą, która głucho pluskała tuż pod nogami. Chwilami z trudem dotrzymywałem mu kroku. Gdy tylko dotarliśmy do przestronniejszego miejsca, Doyle zdjął trzewiki i schował je do kieszeni. Poszedłem za jego przykładem. Boso szliśmy pewniej. Kamienna ściana była zbyt gładka, aby mogła stanowić oparcie dla rąk, a najłżejsze potknięcie znaczyło tyle co upadek do morza.

Na nieco szerszym występie nasz przewodnik zatrzymał się. Dołączyliśmy do niego i w głębi płytkiej groty dostrzegłem Edytę i Pierce'a. Klęczeli zwrócenymi twarzami w stronę morza. Nie słyszeli nas. Cicho zawołałem ich po imieniu. Podnieśli oczy i oboje z płaczem rzucili się ku mnie.

— Modliliśmy się o ratunek, lecz liczyliśmy, że przyjdzie od morza. Skąd wiedziałeś, że jesteśmy w tym miejscu? Czy mama bardzo rozpacza? — pytania spadły na mnie lawiną słów. Potem Pierce opowiadał, że wcale nie byli głodni, gdyż mieli ze sobą trochę jedzenia, a ze skały tryskało źródło.

— Najbardziej martwiliśmy się o mamę. Wiemy, że postąpiliśmy źle idąc tak daleko. Baliśmy się. Siedzieliśmy tu przez chwilę a gdy chcieliśmy wracać, woda zalała już wszystkie przejścia — opowiadali beładnie. — Przerażeni patrzyliśmy, jak woda podchodzi coraz wyżej. Byliśmy pewni, że zaleje grotę i utoniemy, ale przypyływ zatrzymał się. Odetchnęliśmy że od strony morza już nam nie grozi niebezpieczeństwo.

Nie skarciłem ani Edyty, ani Pierce'a, tylko dziękowałem losowi, że dopisała pogoda. Na wypadek sztormu fale zalewałyby grotę i mogły ich porwać.

Zacząłem myśleć o drodze powrotnej. Rzuciłem projekt, aby poczekać na odpływ i wrócić pieszo.

— Ale jeśli odpływ nie będzie tak duży jak wczoraj, wówczas nie wszędzie uda się nam przedostać — rzekł rozsądnie Doyle.

— W takim razie najlepiej posłać po łódź — rozstrzygnąłem. — Jeśli zechcesz wspiać się na górę, ja chętnie zostanę z rodzeństwem.

— Wyznam otwarcie, panie Godfreyu, że to nie taka prosta sprawa, jakby się wydawało — odpowiedział bosman. — Mogę oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy, spróbować, ale chyba Pullingo, chociaż nie wychował się na statku, lepiej potrafi łązić po tych skałach i linach.

— Lecz w jaki sposób wytłumaczy on naszym, że czekamy tu na łódź?

— Napisz pan parę słów. Nie ma pan papieru i ołówka?

— Wspaniała myśl! — wykrzyknąłem. Wyciągnąłem notes i skreśliłem kilka słów wyjaśniających nasz plan.

Pullingo zrozumiał, że ma oddać papierek panu Mudge, i bez wahania ruszył w powrotną drogę.

Pozostaliśmy w grocie we trójkę, gdyż Paddy poszedł odprowadzić Pullingo. Wrócił po chwili i opowiedział, że Australijczyk bez cienia strachu chwycił za linę i wspinał się po niej zręczniejsz niż małpa, jakby był wychowany na statku.

— Obserwowałem go, dopóki nie wlaź na krawędź obrywu, a pan Mudge nie odchrząknął, że dostał list — mówił Paddy.

Usiedliśmy. U naszych stóp szumiała fala przypyłwu.

— Co będzie, jeśli poziom wody będzie dzisiaj wyższy niż wczoraj? — zagadnąłem Doyle'a. — Nie będziemy mieli zbyt wiele miejsca.

— Wątpię, by Pullingo zostawił nas tutaj, nie będąc pewny naszego bezpieczeństwa — odpowiedział Doyle. — On zna się na tym. To wspaniałe chłopisko. W jaki sposób wpadł na pomysł, gdzie szukać dzieci, przechodzi moje pojęcie.

— Wczoraj, idąc na ten spacer, spotkaliśmy jego syna — wyjaśnił Pierce.

Spoglądałem na przypyływ i nie czułem się zbyt pewny widząc, że woda podchodzi coraz bliżej. Zacząłem zastanawiać się, czy nic byłoby lepiej wrócić stąd drogą, jaką przybyliśmy.

Edyta była całkiem spokojna.

— Jestem przekonana, że woda nie sięgnie dalej niż do tego miejsca — rzekła kładąc na brzegu kamyk.

Woda rzeczywiście podeszła tylko trochę poza kamień i zaczęła opadać.

Dzieci zabrały na wycieczkę masę jedzenia. Częstoowały nas, lecz obydwaj z Doylem odmówiliśmy, chociaż muszę przyznać, że byłem już porządnie głodny.

Po długim wyczekiwaniu, ku mej wielkiej radości ujrzałem łódź pędzoną szybko dwiema parami wiosł. Wyszukując przejście między kamieniami zbliżyła się do nas na dwadzie-

ścia jardów. Ned Burton zakasał spodnie i przyszedł po nas.

Zabrał Edytę, Paddy wziął na barana Pierce'a, a ja wsiadłem do łodzi za nimi.

W przystani powitał nas ojciec. Ani słowem nie zganiał dzieci za ich lekkomyślność. Uważał, że zostały już wystarczająco ukarane.

Matka, która na wieść o uratowaniu dzieci od razu poczuła się lepiej, witała nas ze łzami radości. Edyta rzuciła się jej na szyję wołając:

— Przepraszam za wszystko, mamusiu. Myśleliśmy, że dokonamy bohaterskiego czynu. Chcieliśmy zbadać wybrzeże i odkryć nową, jeszcze piękniejszą zatokę lub rzekę. Wcale nie myśleliśmy o niebezpieczeństwie.

— Dzięki Bogu, drogie dziecko, że nie było sztormu. Jak słyszę, fala mogłaby was unieść na morze — mówiła przez łzy matka.

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo w porę przyszło ocalenie. Zaledwie wylądowaliśmy, a już spoza horyzontu wypełzły ciężkie, ołowiane chmury. Po godzinie zerwał się wichur. Był to, jak mówią na wschodnich wybrzeżach Australii „czarny huragan” albo inaczej „czarny szkwał”. Był znacznie gwałtowniejszy niż ten, który szalał wkrótce po naszym wylądowaniu z rozbitego brygu. Fale oceanu wtaczały się do rzeki. Hamowały odpływ. Woda zaczęła szybko podnosić się. Z trwogą patrzyliśmy na rozszalały żywioł, gdyż odnosiło się wrażenie, że wkrótce wody zaleją cały nasz półwysep. Wichura wyłamywała potężne gałęzie drzew, których pnie kłaniały się burzy. Lada chwila mogły być wyrwane z korzeniami.

Szybko zapadła noc. Ojciec kilkakrotnie chodził na brzeg sprawdzić poziom wody. Potem poleciał Burtonowi, aby zameldował mu, jeśli woda przekroczy pewien punkt. Niedługo miał nastąpić przypływ, więc należało przypuszczać, że wody gwałtownie przybędzie. Oczywiście nikt nie położył się spać. Matka i Edyta siedziały ubrane jak do drogi. Wszyscy byliśmy w pogotowiu. Mężczyźni mieli ze sobą broń i tyle amunicji, ile mogli udźwignąć, gdyż w wypadku utracenia posiadanych prowiantów był to jedyny środek zdobywania żywności. Mieliśmy także przy sobie pewne zapasy jedzenia, drugą parą butów i trochę ubrania.

— Powiniennem być przenieść zapasy prowiantu i amunicji w bezpieczne miejsce na obrywie skalnym — mówił ojciec — ale liczyłem na to, że wichura ustanie, zanim zacznie się przypływ. Może teraz należałoby to uczynić? Pójdę jeszcze raz sprawdzić poziom wody. Jeśli stale wzrasta, ruszymy natychmiast, chociaż bardzo mi przykro, że mama i Edyta będą narażone na deszcz i wichurę.

Siedzieliśmy w naszej chacie czekając na meldunki. Wszedł pan Mudge przemoknięty do nitki.

— Umocowałem łódź na długiej cumie — mówił. — Załadowałem na nią ile się dało prowiantu. Gdy woda opadnie, będziemy mieli pewność, że chociaż tyle ocalało. Obawiam się panie kapitanie, że czas na nas. Woda jest zaledwie o stopę poniżej krawędzi brzegu, a od morza nieustannie napływają wielkie fale. Lada chwila cała osada może, być zalana wodą.

— A zatem w drogę. Powiedz ludziom, aby byli gotowi! — rozkazał ojciec.

Zarzucając na plecy przygotowane wcześniej toboły, wyszliśmy z chaty. Mudge zwołał resztę towarzyszy. Zanim rozpoczęliśmy wymarsz, ojciec kazał zamknąć i zabezpieczyć wszystkie drzwi i okna. Jeśli powódź nie zabierze domów, przepadnie tylko to, co zniszczy woda. Ojciec zaopiekował się matką, Mudge Edytą, a ja wziąłem za rękę Pierce'a. Reszta szła krok w krok za nami. W pewnej chwili do moich uszu doszły uwagi, z których wynikało, że nasz półwysep zostanie już za parę minut całkowicie zalany.

Z trudnością odnajdywaliśmy drogę.

— Niech pan pozwoli mi iść na przedzie! — zawołał Paddy. — Umiem być świetnym przewodnikiem w ciemnościach.

Paddy trzymał w ręku długi kij, którym macał przed sobą drogę. Idąc jeden tuż za drugim przeszliśmy przez wąski przesmyk łądu i maszerowaliśmy wzdłuż brzegu rzeki. Droga wiodła przez teren położony znacznie wyżej niż półwysep.

Nie obawialiśmy się, że dopędzi nas fala powodzi, zanim dotrzemy w bezpieczne miejsce.

Groziło nam jednak inne niebezpieczeństwo. Podmyte ulewą i uderzane wiatrem masy ziemi i skał spadały w dół z obrywu, jakby niewielkie lawiny, a wichura rozmiatała oderwane od pni gałęzie. Nawet Paddy z trudem mógł odnaleźć ścieżkę, która prowadziła w górę na płaskowyż.

Znaleźliśmy wreszcie osłoniętą skalnym nawisem kamienną półkę. Woda nie mogła podnieść się na tak znaczną wysokość i ojciec zdecydował, że miejsce jest dość bezpieczne na biwak.

Schroniliśmy się pod skalny dach. Mieliśmy przynajmniej świadomość, że nie spadną nam na głowę gałęzie, ani nie przywali nas lawina. Kobiety umieszczono w najbardziej osłoniętym kącie, a reszta siadła przed nimi. Spędziliśmy w ten sposób długą jak wieczność noc, cierpliwie czekając na początek dnia i koniec huraganu.

— Tak gwałtowne sztormy rzadko trwają długo — mówił ojciec. — Wierzę, że ta burza oczyści atmosferę na czas dłuższy. Możemy spodziewać się pięknej pogody. Jeśli mamy pozostać w tej okolicy, należy pomyśleć o przeniesieniu obozu na płaskowyż, chociaż jeśli wkrótce nie dostaniemy wiadomości z Sydney, wypadałoby zgodnie z rozsądkiem rozpocząć wędrówkę na południe. Stanowimy dość silną grupę, aby stawić czoła napadom tubylców, jeśli oczywiście zajdzie tego potrzeba. Mamy dość amunicji, a więc nie zabraknie nam również żywności.

Na rozmowach, które nas wszystkich interesowały, minęła uciążliwa noc. Chwilami zasypiałem i tylko przez sen słyszałem wycie wichury i ryk fal, dolatujący aż na tak znaczną odległość.

Gdy ocknąłem się, zobaczyłem, że niektórzy mężczyźni są już na nogach. Niebo jaśniało błękitem i pierwsze promienie słońca lśniły wśród gałęzi pokrytych brylantami wodnych kropel.

— Wracamy — rzekł ojciec. — Miejmy nadzieję, że nie zastaniemy wielkich zniszczeń.

Z daleka jeszcze Pierce, który z Tomkiem pobiegł naprzód, zawołał, że widzi dachy. A zatem domy nie zostały zniesione. Odetchnęliśmy z ulgą. Woda wprawdzie zaląa cały półwysep, lecz tylko na wysokość kilku cali. W domach wszystko pozostało nienaruszone. Łódź ze swym ładunkiem stała tam, gdzie ją przycumował pan Mudge. Ocalały nawet zasiewy w ogródku otoczonym rowem.

W oczekiwaniu na śniadanie oczyściliśmy podłogi domków z naniesionego przez wodę iłu.

Paddy porządnie namęczył się, zanim rozpałił ognisko, ale po chwili mogliśmy zasiąść do śniadania.

Ojciec zdecydował, że jeśli wkrótce nie ujrzymy statku wysłanego po nas z Sydney, musimy opuścić osiedle przed upływem czterech miesięcy od wylądowania.

Podczas dnia doleciał mnie od strony morza niemiły zapaszek. Wziąłem lunetę i zacząłem obserwować brzeg. Na północnym cyplu zatoki leżał olbrzymi, ciemny przedmiot. Patrząc gołym okiem sądziłem, że to głaz, chociaż nie przypominałem sobie, abym widział go tam dawniej. Teraz rozpoznałem, że jest to cielsko dużego wieloryba, wyrzuconego na ląd i już zaczynające gnić. Nie zapowiadało to przyjemnego sąsiedztwa, tym bardziej że z upływem czasu zaduch będzie się stawał coraz większy.

Zawołałem przyjaciół i podzieliłem się z nimi swoim odkryciem.

— Miejmy nadzieję, że wiatr zmieni kierunek. I to niedługo — mówił Mudge. — Inaczej będziemy musieli uciekać z obozu.

Nad padliną krążyły już gromady ptactwa. Nie bacząc na zaduch Mudge, Harry, Tomek i ja postanowiliśmy obejrzeć potworne cielsko z bliska.

Szybko wyładowaliśmy wszystko, co poprzedniej nocy pan Mudge ukrył w łodzi, i chwyciliśmy za wiosła. Wyładowaliśmy po drugiej stronie rzeki i zobaczyliśmy kilku tubylców, pędzących co sił w stronę wieloryba. Cofnęliśmy się przed tymi, niewątpliwie przybyłymi z głębi kraju ludźmi. Obserwowaliśmy ich ukryci za drzewami. Czarni nie dostrzegli nas, gdyż całą uwagę skupili na wielorybie. Przez lunetę dojrzałem pędzące na złamanie karku coraz to nowe gromady tubylców.

Jak dotarła do nich wieść, że taka góra mięsa leży na brzegu? Prawdopodobnie poczuli łup, jak drapieżne ptaki.

Coraz to nowe grupy nadbiegały z różnych kierunków. Jedne dolinką od strony łądu, inne wzdłuż brzegu. Nigdy nie przypuszczałem, że mamy tak licznych sąsiadów. Obserwowałem ich przez lunetę i... dostrzegłem wśród nich naszego przyjaciela Pullingo. Poznałem go po dużym piórze, sterczącym na czubku głowy, po pęku dzid w lewej ręce i siekierce, którą mu ofiarowałem, w prawej. Wydawało się, że jest w tym tłumie osobą ważną i szanowaną.

Tubylcy coraz ciaśniejszym kołem opasywali wieloryba. Podnosząc straszliwy wrzask skakali do góry, klaskali w dłonie jak szaleni. Niektórzy przynieśli wielkie bębny i grzmocili w nie co sił. W gromadzie znajdowało się chyba ze dwieście osób. W pewnej chwili wszyscy wzięli się za ręce, a Pullingo, wymachując stalową siekierką, włął na wieloryba i zaczął przemawiać do tłumu. Zebrani odpowiedzieli mu wrzaskiem. Potem zahuczały bębny. Dzicy znów zaczęli wrzeszczeć i tańczyć. Krążyli wokół cielska, podrygując i podskakując — wyglądało to groteskowo.

Czy był to taniec religijny, czy też zwykłe objawy radości, trudno powiedzieć. Taniec trwał długo, a Pullingo przez cały czas stał uroczyście na wielorybie.

Nagle uderzył siekierą w grzbiet zwierzęcia. To było sygnałem dla pozostałych. Dzicy dobyli kamiennych noży i zaczęli rozszarpać wieloryba jakby w jakiejś furii.

Byłem rad, że nie podeszliśmy bliżej. Nawet oglądane przez lunetę widowisko było nad wyraz przykre. Oddarte kawały mięsa dzicy szarpali zębami, jak zgłodniałe wilki. Niektórzy dosłownie włązili do wnętrza cielska i wynurzali się z kawałami mięsa, cali ociekający krwią. Nawet kobiety, niektóre zupełnie młode i o całkiem przyjemnej powierzchowności, atakowały wieloryba w ten sam sposób co mężczyźni. Zagłębiały się w cielsko i znów ukazywały, ale już umazane posoką. Gdy uświadomiłem sobie, że mięso jest już w stanie rozkładu, poczułem mdłości. W zwykłych warunkach towarzystwo tych ludzi nie byłoby miłe, a cóż dopiero, gdy po takiej orgii, zapełniliby powietrze straszliwymi wyziewami.

Straciliśmy ochotę, aby podejść bliżej. Wróciliśmy do łodzi. Dzicy rozniecili wokół wieloryba liczne ogniska i zaczęli piec mięso. Zapewne mieli zamiar pozostać tu, dopóki nie zjedzą go do końca.

Obecność tak wielu tubylców w naszej okolicy zmusiła ojca do poważnego zastanowienia się nad natychmiastowym wymarszem na południe. Ojciec zaprosił na naradę pana Mudge i Neda Burtona, a mnie pozwolił przysłuchiwać się rozmowie.

— Za dwa dni miną cztery miesiące od odpłynięcia szalupy do Sydney. Albo łódź zginęła w drodze, albo pan Brown nie mógł wysłać po nas statku — mówił Mudge. — Dopóki wieloryb nie zostanie pożarty, nie mamy co obawiać się wizyty owych smrodliwych ichmościów. Ale za to gdy wydobrzeją po skutkach, jakie z pewnością wywoła wielorybi bankiet i zaczną głodować, możemy to odczuć na własnej skórze. Nie wątpię, że potrafimy stawić im opór, ale polowanie w pojedynkę lub nawet grupami może być wówczas niebezpieczne. Dlatego proponuję: w ciągu dwóch dni zorganizować wyprawę w górę rzeki, tak daleko, jak tylko można będzie dotrzeć łodzią. Albo założyć tam obóz i przygotować się do wędrowki, albo też od razu wyruszyć na południe. Jeśli chodzi o wybór drogi, to proponuję iść trasą w głębi łądu. Idąc bowiem brzegiem morskim musielibyśmy okrążyć wszystkie zatoczki, a co ważniejsze przeprować się przez rzeki w najgorszych miejscach, w miejscach gdzie wpadają do oceanu. W głębi łądu moglibyśmy trzymać prosty kurs, a przy tym łatwiej tam o zwierzynę i wodę.

— Popieram ten projekt — poparł go Ned Burton. — Wędrując wzdłuż brzegów mieliśmy ułatwioną obronę przed ewentualnym atakiem. Jednak jeśli będziemy szybko maszerować trzymając się daleko od brzegu, krajowcy zrozumieją, że nie mamy zamiaru ich niepokoić i nie będą nam dokuczać. Proponuję, abyśmy przygotowali się do wyprawy natychmiast i wyruszyli jak najszybciej.

— Zgadzam się — przytaknął ojciec. — Proszę cię, Burtonie, zawiadom wszystkich o naszym planie. Przypuszczam, że będzie każdemu odpowiadał. Chciałbym przed wyruszeniem skontaktować się z Pullingo, gdyż mógłby służyć nam jako przewodnik w znanej mu okolicy. Uważam, że po naszych doświadczeniach możemy mu zaufać.

— Paddy Doyle będzie w tym wypadku najlepszym pośrednikiem — wtrąciłem. — Niezbyt to przyjemna misja zbliżyć się do zdechłego wieloryba, ale Irlandczyk bez wątpienia ją wykona. Pullingo wie dobrze, że możemy dostarczyć mu dość żywności, więc na pewno chętniej niż którykolwiek z dzikusów porzuci tę ohydną jatkę i orgię obżarstwa.

— Porozmawiaj więc z Paddym — polecił mi ojciec. — Tymczasem przygotujemy toboły, radzę, by każdy uszył sobie brezentowe sztylpy i kapelusz z szerokim rondem.

Przed zakończeniem narady ustaliliśmy jeszcze listę przedmiotów i prowiantu, jaki należało zabrać ze sobą.

Doyle oczywiście natychmiast zgodził się pójść do biwaku czarnych. Następnego ranka Burton, jeden z marynarzy i ja przeprawiliśmy się na drugą stronę rzeki. Obserwowaliśmy z ukrycia biednego Paddy, uzbrojonego na wszelki wypadek w muszkiet i pistolety, który szedł naprzód nie zważając na odór zalatujący od gnijącego cielska wieloryba.

Australijczycy zbudowali sobie na plaży prymitywne szałas z patyków i płatów kory zdartej z drzewa i rozpalili przed nimi ogniska.

Wszyscy spali twardo, trawiać zapewne resztki wczorajszej uczt.

Nie wiem, w jaki sposób Doyle miał zamiar odszukać naszego Pullingo w tłumie tak bardzo podobnych do siebie ludzi. Zniknął nam na chwilą z oczu, za cielakiem wieloryba i długo nie wracał.

Czekaliśmy z niecierpliwością. Przed odejściem obiecał nam, że w razie gdyby potrzebował naszej pomocy, wystrzeli z pistoletu.

— Miejmy nadzieję, że nic mu się nie stanie — szepnął Burton.

— Chyba że zemdleje od tego smrodu, który nawet tu przyprawia o mdłości — odpowiedziałem. — Sam ten zapach może się stać nawet wśród dzikich przyczyną choroby.

— Nie ma obawy, oni są przyzwyczajeni — powiedział Burton. — Hura, oto i Doyle! Nasz przyjaciel idzie wraz z nim i rozciera sobie brzuch. Coś mi się zdaje, że chodzenie sprawia mu trudności.

— Mam go — wołał z daleka Paddy — ale musimy dobrze go karmić, gdyż inaczej ucieknie, aby znów dorwać się do tej wielorybiej padliny. Tfu, zapaszek raczej mocny! Ale to chyba w ich guście!

Pullingo z wahaniem wstępował do łodzi, rzucając poządlive spojrzenia w stronę wieloryba.

— Zapomnij o nim, przyjacielu — pocieszał go na swój sposób Paddy, poklepując czarnego po ramieniu. — Damy ci tyle żarcia, ile zechcesz. Chodź już, chodź! — wziął go za rękę i wprowadził do łodzi.

Pullingo nie był w tej chwili miłym towarzyszem podróży. Zatykałem nos i próbowałem myśleć o czymś zupełnie innym.

Na brzegu usiłowałem wytłumaczyć mu, po cośmy go sprowadzili i jak go za usługę wynagrodzimy.

Nie mogliśmy jednak zrozumieć dobrze jego odpowiedzi. Ponieważ wyprawa miała nastąpić dopiero za parą dni, pan Mudge postanowił wyruszyć łodzią w górą rzeki, tak daleko, jak tylko się da. Doyle, Harry, ja i Pullingo mieliśmy tworzyć załogę. Zadaniem naszym było

dokończenie rozpoczętych pertraktacji.

Na szczęście powiał wiatr od strony obozu i rozpędził smrodliwe wyziewy. Nasi towarzysze nie byli narażeni na napaść tubylców, gdyż uczta wielorybia nie została jeszcze zakończona. Jedno było pewne — że łódź nie zabierze nas wszystkich, nie mówiąc już o prowiantach, i będziemy musieli odbyć kilka rejsów w górę rzeki od miejsca startu.

Obciążyliśmy więc łódź zapasami do granic możliwości. Załadowaliśmy prowianty, broń, amunicję; wszystkiego po trochu, aby założyć obóz wyjściowy w górze rzeki. Pożegnaliśmy przyjaciół i nacisnęliśmy na wiosła.

Mijaliśmy wspaniałe, malownicze zakątki. Miejscami brzegi rzeki porastała nieprzebyta puszcza, miejscami płynęliśmy przez skalne przełomy, walcząc z prądem na kamienistych progach.

Ciekawiło mnie, w jaki sposób Pullingo potrafi przeprowiać się przez tę rzekę wraz ze swoją rodziną. Zrozumieliśmy to, gdy zobaczyliśmy prymitywną pirogę leżącą na brzegu. Bez wahania przybiliśmy do brzegu, aby ją obejrzeć. Łódź zbudowana była z jednego kawałka kory, zgiętej wzdłuż i zszytej na dziobie i rufie. Do uszczelnienia szwów służyła glina, a patyki zastępowały usztywniające wzdłużniki i żebra. Zbudowanie takiej pirogi nie mogło trwać dłużej niż kilka minut. Doszliśmy do wniosku, że przydadzą się nam te wiadomości, gdy będziemy musieli przeprowiać się przez rzekę. Zbudujemy pirogi i przeprowimy się sposobem tubylców, co będzie na pewno łatwiejsze niż budowanie tratw.

Pullingo pokazał na migi, że łódź jest jego własnością, a zostawił ją tu dla użytku żony i dzieci.

Początkowo płynęliśmy dość szybko, wspomagani prądem przyptywu sięgającym daleko w górę rzeki. Towarzyszyły nam liczne stadka dzikich gęsi i kaczek. Buszowały u brzegów a przestraszone pluskiem wiosel odlatywały. Słońce zaczęło już się zniżać po zachodniej części nieba, cienie padły na rzekę, ale my wiosłowaliśmy wytrwale, chcąc przebyć jak największą przestrzeń. Wysoko wznoszące się czubki drzew były jeszcze oświetlone czerwonymi promieniami zachodu, gdy pan Mudge zawołał:

— Zdaje się, że słyszę szum wodospadu!

Szum spadającej wody dolatywał do nas wyraźnie. Podpłynęliśmy bliżej. Z wysokiego na sześć do ośmiu stóp progę, przegradzającego rzekę, z hukiem spadały masy wód. Pod wodospadem nad spienioną kipiela unosila się lekka mgiełka rozpylonej wody.

Było oczywiste, że w tym miejscu kończy się nasza podróż łodzią. Nie tracąc czasu podpłynęliśmy do południowego brzegu, gdzie między drzewami widniała polana wystarczająco duża, aby założyć biwak. Z wysokich drzew zwisały przedziwne pnącza, pokryte różnobarwnym kwieciami. Jedne kwiaty miały kształt gwiazd i były białe, inne żółtawe lub błyszczące jak złoto na tle soczystej zieleni. Polana porośnięta była gęstą murawą. Dotychczas nie spotkaliśmy w tym kraju tak pięknej trawy. Widocznie obfitość wilgoci w pobliżu wodospadu sprzyjała rozrostowi roślinności.

Pullingo wymachiwał potakująco rękoma, że wybraliśmy dobre miejsce. Łą, na którym stanęliśmy, był bardzo twardy, cieniutka warstwa gleby leżała na skale, w której nie mogły zakorzenić się drzewa. Przystąpiliśmy do rozbijania obozu. Część z nas zdierała korę z drzew, a reszta zbierała drwa na ognisko.

Podobnie jak kiedyś na polowaniu, nadleciało stado kakadu i usadowiło się na nadbrzeżnych drzewach. Pullingo zerkał pożądliwie na piękne ptaki. Paddy i ja pobiegliśmy po strzelby. Australijczyk wyciągnął zza pasa bumerang i dał nam znak, abyśmy nie strzelali. Zrozumieliśmy, że będziemy świadkami znacznie ciekawszego polowania.

Pullingo skradał się ostrożnie w stronę ptaków. My za nim. Kakadu gawędziły jeszcze między sobą. Niektóre chowały już głowy pod skrzydła a inne, jak gdyby mówiąc towarzyszom „dobranoc”, zostawały na czatach.

Byliśmy już blisko drzew, na których siedziało ptactwo. Pullingo ścisnął w rękę bume-

rang. Wyszedł z ukrycia, rozpedził się i wyciągniętą ręką rzucił sierpowaty pocisk. Skomplikowane ruchy jego ciała były błyskawiczne i rzut wraz z rozbiegiem nie trwał dłużej niż trzy sekundy.

Bumerang leciał nisko nad brzegiem rzeki. Zaniepokojone zjawieniem się człowieka, ptaki nie dostrzegły grożącego niebezpieczeństwa. Lecący nisko pocisk nie upadł w wodę, wzbił się na większą wysokość i wirując z niezwykłą szybkością zawrócił, jakby mimochodem zawadzając kilka siedzących obok siebie ptaków. Spadały od razu zabite lub też zranione. Czarodziejski kawałek drzewa, po dokonaniu spustoszenia w ptasiej gromadzie, legł parę kroków od Pullingo.

Pierwszy raz widziałem rzut bumerangiem. Nie uwierzyłbym w jego skutki, gdybym nie zobaczył ich na własne oczy. Zanim ocalałe ptaki ochłoneły z przerażenia, bumerang ponownie zawirował wśród nich i znów strącił kilka sztuk na ziemię. Pullingo był gotów rzucić trzeci raz, lecz kakadu, krzycząc przeraźliwie odleciały.

Wkrótce potem spożywaliśmy tłuste ptaszyska upieczone na rożnach.

Siedząc przy ognisku, z apetytem ogryzaliśmy udka i skrzydełka ociekające tłuszczem, a Paddy Doyle przemawiał do pochłoniętego jedzeniem Australijczyka:

— Dziękujemy panu serdecznie, panie Pullingo, lecz nie mogę zrozumieć, jak człowiek, co jednym rzutem kawałka drewna potrafi strącić na ziemię tyle smakowitych ptaszków, mógł obżerać się cuchnącym ścierwem wieloryba! Każdy z nas ma własne upodobania, ale w tym wypadku nie mogę podzielać pańskich!

Pullingo oczywiście nic nie rozumiał, ale wyczuł widocznie, że chwałą jego kulinarne wyczyny i pogłaskał się dłonią po brzuchu, aby w ten sposób dać nam do zrozumienia, jak bardzo smakuje mu pieczone kakadu.

Po kolacji przygotowaliśmy posłanie na wzór tubylców. Zamiast materaców podestaliśmy płaty kory brzozonej i także płaty ustawiliśmy jako daszki namiotów. Zanim skończyliśmy te przygotowania, Pullingo już chrapał. Całkowicie polegał na naszej opiece. My natomiast naradzaliśmy się jeszcze, czy wystawiać wartę. Dzikich zwierząt w tym kraju nie było, a dingo nie zaatakuje stworzenia, które może stawić choćby najmniejszy opór. Mogliśmy obawiać się tylko tubylców. Któż bowiem może przewidzieć, co zrobiliby dzicy, gdyby znaleźli nas śpiących.

Wartę pełniłem bardzo starannie, chociaż pozostali towarzysze potraktowali ją raczej lekko. Wschód słońca zastał nas wszystkich w głębokim śnie.

Gdy wreszcie wstaliśmy, pierwszym naszym zajęciem było rozniecenie ognia i przyrządzenie śniadania. Mudge i Paddy Doyle jeszcze raz ponowili próby porozumienia się z Pullingo. Wywnioskowali z jego mimiki i gestów, że chce zostać naszym przewodnikiem. Co jednak miał zamiar uczynić z żoną i dziećmi pozostawało w sferze domysłów. Wyglądało na to, że po prostu zostawi ich tam, gdzie byli.

— A teraz, panowie — powiedział Mudge — musimy zabezpieczyć przywiezione towary i co prędzej wracać do obozu. Nie wiem, czy będzie całkiem bezpiecznie zostawiać tyle rzeczy bez żadnej opieki. Może więc ktoś ma ochotę zostać na straży? Jeśli zabierzemy naszego czarnego przyjaciela do miejsc, gdzie poczuje zapaszek wieloryba, istnieją obawy, że nie zechce z nami powrócić. Doyle, czy nie udałoby ci się zatrzymać go tu?

— Spróbuję. Chętnie zostałbym tu, jeśliby ktoś chciał mi dotrzymać towarzystwa — odpowiedział Paddy.

— Ja zostanę — zgłosił się Harry, który zauważył, że nikt nie zdradza ku temu wielkiej ochoty.

— Ja też mogę — dorzuciłem — jeśli pan Mudge pozwoli.

— Nie — padła zdecydowana odpowiedź. — Dwóch wystarczy. Ty będziesz potrzebny w łodzi. Płynąc z prądem szybko dobijemy do obozu i wrócimy tu przed zapadnięciem nocy. Zresztą poznaliśmy rzekę na tyle, że możemy płynąć nawet w ciemnościach.

Mudge polecił bosmanowi ułożyć produkty i towary na podkładce z kory i nakryć je daszkiem, aby nie zamokły w razie deszczu. Gdy Pullingo dostrzegł, że prowianty zostały na brzegu, nie kwapił się do odjazdu. Pożegnaliśmy towarzyszy i popłynęliśmy w dół rzeki.

— Czy nie pokazał się statek? — spytałem witając się w obozie z Tomkiem Peckiem.

— Gdzie tam! — odpowiedział. — Kapitan poszedł na szczyt skał, aby lepiej zlustrować widnokrąg. Jeśli nic nie dojrzy, będziemy ruszać.

Matka i Edyta, które wyszły naprzeciw, potwierdziły słowa Tomka.

Gdy ojciec powrócił ze swego punktu obserwacyjnego, zgodził się na propozycję pana Mudge, abyśmy natychmiast powieźli w górę rzeki nowy ładunek. Następnym rejsem mieliśmy zabrać matkę i Edytę oraz resztę przewidzianego dla wyprawy prowiantu i ekwipunku.

Chociaż nie zmarnowaliśmy ani chwili, przyszło nam powitać noc na rzece. Usiadłem w dziobie łodzi i w gęstym mroku wypatrywałem drogi, zastanawiając się, czy nie natrafimy na jakąś przeszkodę. Z radością powitałem więc widok ogniska, rozłożonego na brzegu przez przyjaciół. Czekali nas z dobrą kolacją. Napiękli papug i gołębi, przygotowali herbatę, a nawet upitrasili placuszki zapiekane w popiele. Nie mieliśmy także kłopotu ze ścieleniem posłań. Były gotowe i natychmiast po zaspokojeniu głodu skorzystaliśmy z nich, aby wstać na godzinę przed świtem.

Następnego dnia postanowiliśmy szybciej obrócić w obie strony.

Obudziłem się nawet wcześniej, niż zamierzałem. Zostałem Pullingo siedzącego przy ognisku, lecz bynajmniej nie pełniącego warty. Pochłaniał resztki naszej wczorajszej kolacji. Wprawdzie chcieliśmy zjeść je na śniadanie, lecz już prawie wszystko znikło w pojemnym brzuchu Australijczyka.

Poprzedniego dnia znów upolowano sporo ptaków i powieszono na gałęziach. Oprawiłem je i nadziałem na różny, a dopiero wtedy obudziłem załogę łodzi. Pośpiesznie zjedliśmy śniadanie i ruszyliśmy w drogę.

Do obozu przy płynęliśmy wcześniej, niż się nas spodziewano. Ojciec akurat wrócił z płaskowyżu.

— Nie widać żadnego statku — mówił. — Poważnie myślę, że szturman Brown i załoga szalupy zginęli. Zapewne natrafili na te same sztormy, które tak bardzo odczuliśmy na własnej skórze. Ostrzegałem ich, lecz nie wierzyli moim słowom. Przykro mi, gdy pomyślę, że mogli zginąć.

Podczas mej nieobecności ojciec zabezpieczył cały dobytek, jaki zostawiliśmy na półwyspie. Zabarykadował drzwi i okna obu chat i magazynu. Powbił w ziemię grube pale, a w poprzek poprzybił gwoździemi masywne okiennice i poprzeczki. Miało to odstraszyć czarnych i odegnać ich pokusy.

Przedmioty przeznaczone do zabrania były już starannie zapakowane w paczki.

Zabraliśmy wszystką broń i amunicję, której i tak według naszych obliczeń wystarczyć mogło tylko na czas podróży.

Obawa, że zabraknie nam prochu i kul, była jedną z przyczyn, które skłaniały ojca do natychmiastowego rozpoczęcia podróży. Dopóki mieliśmy amunicję, rozwiązana była kwestia zaopatrzenia w żywność, a także sprawa obrony przed możliwymi napadami ze strony tubylców. Nie mając strzelb i prochu byłibyśmy bezbronni wobec długich dzid i cudownych bumerangów.

Gdyby leśni rabusie nie ukradli nam tyle prochu i kul, moglibyśmy czekać na statek jeszcze z miesiąc lub dwa.

Ładowaliśmy łódź. Przed odbiciem od brzegu zabraliśmy jeszcze z ogródka wszystkie dojrzałe warzywa, aby mieć je chociaż na pierwsze dni wyprawy.

Z żalem żegnaliśmy piękny zakątek, który był nam przez tyle tygodni przystanią.

— Odbijać! — padła komenda ojca, który siadł przy sterze. Matka i Edyta usadowiły się blisko ojca, a koza Nanny legła u stóp swej pani.

Poprzez zarośla spojrzeliśmy jeszcze w stronę wieloryba, wokół którego nadal gromadziły się tłumy tubylców. Nie uległo wątpliwości, że po spałaszowaniu padliny staliby się uciążliwymi sąsiadami.

Fakt, że mogliśmy znaczną część drogi na zachód odbyć łodzią, bardzo nam dogadzał. Wędrując do Sydney mieliśmy jeszcze dość znacznie zboczyć w tym kierunku.

Matka była w świetnym humorze. Nie przerażała jej perspektywa długiej, pieszej wędrówki. Edyta jak zwykle szczebiotała wesoło. Wyobrażała sobie, że to będzie cudowna zabawa — maszerować całe dnie, ciągle oglądać nowe okolice, co wieczór rozkładać biwak — po prostu długa seria majówek, tylko znacznie ciekawszych, niż to zwykle bywa. Nikt z nas nie wyprowadzał jej z błędu, nie chciał rozwiewać jej złudzeń, chociaż nie mogliśmy pozbyć się obaw, że bardzo szybko znuży ją koczowniczy tryb życia. Pocięchą było to, że pora deszczowa minęła i mogliśmy liczyć na dłuższy okres dobrej pogody.

Bez przygód dotarliśmy wieczorem do obozu w pobliżu wodospadu. Oświetleni migotliwym blaskiem ogniska oczekiwali nas przyjaciele i dobra kolacja.

Łódź wyciągnęliśmy daleko na brzeg i ukryliśmy starannie, aby w razie nieprzewidzianego powrotu mieć ją do swej dyspozycji.

Obóz założyliśmy nieco wyżej niż nasze początkowe biwaki. Otaczał nas naprawdę dziewiczy las. Piętrzyły się nad nami wielkie, niebotyczne drzewa. Poprzez gałęzie błyskały jasne gwiazdy. Niezliczona ilość pnączy spływała z gałęzi w dół, długimi warkoczami umajonymi masą kwiatów, na których igrały światła ogniska.

Mudge zbudował dla kobiet szałas z kory, a my postawiliśmy dla siebie długi pochyły daszek, który miał służyć jako osłona dla nas wszystkich.

Właściwie byliśmy szczęśliwi. Siedzieliśmy weseli wokół ogniska. Nie brakowało nam niczego. Mieliśmy ze sobą więcej zaopatrzenia, niż można było zabrać. Musieliśmy nawet pomyśleć o założeniu na miejscu składziku, jak powiadają Kanadyjczycy, en coche. Pullingo czuł się pełnoprawnym członkiem naszej grupy, gdyż Mudge ubrał go w koszulę i spodnie i w tym stroju Australijczyk prezentował się w cywilizowanym towarzystwie znacznie lepiej niż zupełnie bez stroju.

Chcieliśmy jeszcze dać mu brezentową bluzę, lecz Pullingo zaprotestował tłumacząc nam, że byłoby mu za gorąco i zbyt ciężko.

Nocą zauważyłem, że nasz czarny przyjaciel zrzucił ubranie i okrył się starą, wytartą skórą. Widocznie inaczej nie potrafił zasnąć.

ROZDZIAŁ X

Podróż łądem rozpoczęta. Pierwszy obóz. Taniec szkieletów. Wizyta tubylców. Dalszy marsz. Ekspedycja. Niebezpieczeństwo. Marsz forsowny. Nowy obóz. Przyjaciele Pullingo

Dobytek, którego nie mogliśmy zabrać ze sobą, ukryliśmy w łodzi. Każdy miał ze sobą worek z amunicją, zapasową parę obuwia, zmianą ubrania, mąkę, suchary, konserwowane mleko, sól i różne drobiazgi.

Ojciec dodatkowo niósł pieniądze uratowane ze statku, kompas, sekstant, mapy i kilka książek.

Ja niosłem swój pamiętnik, matka swoje ubranie, a Edycie pozwolono nieść małą, specjalnie spakowaną torbę. Każdy dźwigał tyle, ile mógł unieść. Ładunek, który początkowo wydawał się całkiem lekki, po pewnym czasie zaczynał straszliwie ciążyć. Sprawa przedstawiała się jeszcze gorzej, gdy trzeba go było nieść dzień po dniu, prócz tego trzymając w ręku muszkiet, a u pasa mieć dyndające pistolety.

Na czele, w pełni świadomy swego znaczenia, godnie kroczył Pullingo. Bumerang zatknął za pas, a w lewej dłoni jak zwykle ścisnął dzidy. Za nim szedł Paddy Doyle. Czasem gdy teren na to pozwalał, Paddy dołączał się do Australijczyka i zabawiał go „rozmową” — starał się nauczyć tubylczego języka i jednocześnie zaznajomić czarnego z angielskim. Za tą parą maszerował Mudge i Tomek Peck, potem rodzice, a Harry lub ja towarzyszyliśmy dzieciom, które prowadziły z sobą kozę. Bosman Burton i Popo wraz z marynarzami zamykali pochód. Ja, gdym nie towarzyszył Edycie, rozmawiałem z Burtonem lub wysuwałem się na czoło pochodu do Mudge'a.

Wkrótce po opuszczeniu obozu minęliśmy las porastający brzegi rzeki i wyszliśmy w teren, gdzie drzewa rosły w znacznych od siebie odstępach i widoczność była znacznie lepsza. Pocieszałyśmy się, że nie spotkamy żadnych tubylców, gdyż wszyscy uczują przy padlinie wieloryba, a poza tym Pullingo na pewno nie poprowadziłby nas przez okolice zamieszkałe przez nieprzyjazne mu plemiona.

Australijczycy skupieni w plemiona lub grupy rodzinne ściśle przestrzegają podziału terenów łowieckich. Plemiona nie łączą się z sobą i często nie znają narzecza sąsiadów.

Pullingo tak pewnie prowadził naszą kolumnę, jak by maszerował przez dobrze znane mu tereny. Nabraliśmy przekonania, że musiał pochodzić z plemienia żyjącego dalej na południe. Spotkanie nasze nad rzeką zawdzięczać musieliśmy jakiejś wyprawie podjętej przez Pullingo.

Po przebyciu około piętnastu mil * dotarliśmy do skraju gęstego lasu i postanowiliśmy rozbić obóz. Na mapie przebyta odległość wyglądała bardzo skromnie. Byliśmy zmęczeni, chociaż droga wiodła przez równinę. Patrzyliśmy na mapę — czekały nas okolice górskie, gdzie marsz miał być znacznie trudniejszy.

— Dość, dość tego! — zawołał ojciec, słysząc nasze rozważania. — Zabronię wam w przyszłości rozkładać mapy. Wszystko co możemy zrobić, to wytrwale iść naprzód i odpoczywać w okolicach obfitujących w wodę i zwierzynę.

Następnego dnia znów zrobiliśmy piętnaście mil.

— A zatem, w sumie zbliżyliśmy się do Sydney o trzydzieści mil — całe pół stopnia, to już coś znaczy — radośnie obwieścił Tomek.

Maszerowaliśmy tak przez kilka dni. Żywności było pod dostatkiem. Ustrzeliliśmy sporo gołębi i papug, a Pullingo niejednego ptaka strącił swym bumerangiem.

Nad wysychającą niewielką rzeczulką, która, sądząc po śladach wody na brzegach, jeszcze niedawno była dużą rzeką, rozbiliśmy obóz. Chociaż nasze panie szły bez słowa skargi, ojciec postanowił zrobić dzień przerwy względnie następnego dnia zmniejszyć ilość godzin marszu.

Jak zwykle przygotowywaliśmy kolację z upolowanej zwierzyny i zapasów okrętowych. Mięso pokrajane na małe kawałki wrzucano do kotła, dodawano warzyw, a w końcu zaprawiano kawałkami sucharów, mąką, pieprzem i musztardą. Każdemu podawano w miseczce jednakową porcję. Potrawa ta była bardzo smaczna i mogliśmy ją jeść codziennie, zarówno na obiad jak i na kolację.

Do posiłku siadaliśmy zawsze w ten sam sposób. Rodzice, Edyta, pan Mudge, pozostała młodzież i ja z jednej strony, a naprzeciwko bosman, marynarze i obok Paddy Doyle'a Pullingo. Ci dwaj porozumiewali się już całkiem dobrze, posługując się mieszaniną słów angielskich i narzeczy tubylców.

Pewnego wieczora Pullingo siadł nieco z tyłu za swym przyjacielem. Wziął z jego ręki miskę z zupą i bacznie nasłuchiwał. W pewnej chwili tuż przed zakończeniem posiłku zauważyłem, że Australijczyk zniknął. Podczas przerw w rozmowie wydało mi się, że słyszę jakieś dziwne głosy dolatujące z lasu. Przypuszczałem, że to papugi tak hałasują przed nocnym spoczynkiem.

* Około 24 km. Mila angielska — 1603 m, mila morska — 1852 m.

Po chwili zobaczyłem wracającego Pullingo. Dotknął ramienia Paddy Doyle'a i bez słowa dał mu znak, aby ruszył za nim. Paddy chwycił strzelbę i poszedł. Zaciekawiony tajemniczym zachowaniem czarnego, także chwyciłem muszkiet i cichaczem dołączyłem się do przyjaciół. Czarny prowadził nas w stronę, skąd dolatywały dziwne odgłosy. Jak zorientowałem się, szliśmy na południe, czyli naszą jutrzejszą trasą. Marsz trwał dość długo. Za gęstymi krzakami, na polanie, czerwonym blaskiem migotało ognisko. Pullingo stanął. Paddy, a ja za nim, wyrzeliśmy z ukrycia. Ujrzałem straszliwy, wstrząsający obraz. Słyszałem, że Irlandczyk szczeka zębami, i zauważyłem, że drży cały, lecz nie ma siły, aby oderwać wzrok od polany.

Kilkadziesiąt kroków przed nami, na słabo oświetlonej części polany w takt huczących bębnow tańczyły ludzkie szkielety. Dwadzieścia, a może ze trzydzieści strasznych postaci drgało, podskakiwało, kręciło się w kółko. Chwilami odnosiłem wrażenie, że patrząc na groteskowe pajace, pociągane za sznurek. Szkielety wyrzucały ramiona w bok. stawały w rozkroku, fikały koziołki. Po chwili biegły tworząc koło, aby po wykonaniu dziwacznych figur dzikiego tańca zniknąć.

Myślałem z ulgą, że odeszły w ogóle, lecz nie! Wróciły i na nowo rozpoczęły niesamowity taniec.

Nie miałem czasu na zebranie myśli i wydawało mi się, że szkielety są poruszane jakąś magiczną siłą. Biedny Paddy był o tym przekonany.

Zespół tubylców w zapamiętaniu wybijał na bębnach dziki rytm. Muzykanci siedzieli tuż przed nami, lecz nie widzieli nas. Nabierałem przekonania, że widowisko odbywa się jednak za ludzką, a nie nadprzyrodzoną sprawą. Gdy na niektóre szkielety padał jaśniejszy blask ogniska, zauważyłem wreszcie, że są to Australijczycy, którym na czarnej skórze wymalowano białe linie imitujące kości.

Taniec trwał dalej. Paddy zapewne również rozpoznał w szkieletach zwykłych ludzi i westchnął z ulgą. To westchnienie, podobne raczej do jęku, o mało nie zdradziło naszej obecności. Pullingo, o ile mogłem się domyślić, nie powiedział tubylcom, że mają obcych widzów. Nie bardzo rozumiałem, jaki miał cel nasz przewodnik, przyprowadzając nas na ową niezwykłą polanę i jakie znaczenie miał taniec. Możliwe, że krajowcy chcieli nas nastraszyć i zmusić do zaprzestania marszu przez ich tereny, ale równie dobrze mógł to być ich taniec obrzędowy lub po prostu rozrywka.

Po pewnym czasie pociągnąłem Paddy'ego za rękaw i dałem znak do wycofania się. Uczynił to z ochotą.

— Ojej, panie Godfreyu — wykrztusił, gdy byliśmy już w bezpiecznej odległości od tubylców. — Cudaki to straszne, te czarne Murzyny. Przyznaję, że gdym ich zobaczył, to niewiele brakowało, bym upadł i sam przemienił się w kościotrupa! Po co Pullingo nas tu przyprowadził, nie rozumiem.

— Dla mnie to także zagadka — odparłem. — Zobaczmy, czy ojciec lub pan Mudge potrafią coś wyjaśnić.

Niedaleko od naszego obozu dogonił nas Pullingo. Rozprawiał o czymś z Paddym, który wyjaśnił mi, że czarny pyta, co myślimy o widowisku.

Wiadomość o licznych tubylcach koczujących w pobliżu naszego obozu nie wzbudziła zachwyty. Ojciec postanowił nie zatrzymywać się na odpoczynek i następnego ranka ruszać w drogę. Matka przyznała mu rację, ale choć mówiła, że ma dość sił do marszu, wołała jednak, aby następnego dnia przejść krótszy niż zwykle odcinek.

Opowiadanie o niezwykłym tańcu szkieletów zaostrzyło ciekawość pana Mudge, Tomka i Harry'ego. Postanowili więc natychmiast zobaczyć ów niezwykły balet. Burton po chwili wahania dołączył się do nich, ale pozostali członkowie naszej wyprawy doszli do wniosku, że w tańcu dzikusów musi kryć się coś diabelskiego i nadnaturalnego.

Grupa Mudge'a powróciła późno. Przyjaciele z przejęciem opowiadali, że szkielety bez

wytchnienia nadal prowadzą swój obłąkany tan.

Ojciec polecił na noc wystawić podwójne posterunki. Dla przykładu czuwał z Burtonem pierwszy. Po paru godzinach przyszła kolej na mnie. Stojąc na posterunku, przez cały czas słyszałem bębny. Nie ulegało wątpliwości — czarni nie przerywali tańca. Zapewne bawili się równie dobrze, jak Anglicy na całonocnym balu.

Na warcie zmienił mnie Mudge i później opowiadał, że także słyszał odgłosy bębnów.

Okazało się, że ta niezwykła „uroczystość” trwała do świtu. Aby uniknąć spotkania z krajowcami, wyruszyliśmy z początkiem dnia. Dopiero po przebyciu czterech mil stanęliśmy, aby zjeść śniadanie. Pullingo prowadził nas z miną, która zapewne miała nas przekonać, że poczwierc nie ma nic wspólnego z tańcem, który — jak dowiedzieliśmy się później — wchodził w skład obrzędów związanych z pełnią księżyca i zwał się karrobori.

Ojciec jednak nie darzył naszego przewodnika całkowitym zaufaniem. Często sprawdzał kierunek marszu za pomocą kompasu; moglibyśmy więc znaleźć drogę sami bez pomocy Pullinga, który jednak świetnie wiedział, gdzie znaleźć źródła dobrej wody i umiał wywęszyć miejsce polowań na papugi czy gołębie.

Po śniadaniu odpoczęliśmy chwilę i pomaszerowaliśmy, aby jak najbardziej oddalić się od sąsiadów z ubiegłej nocy. Ze względu na zmęczenie matki i Edyty zatrzymaliśmy się na postój już wczesnym popołudniem, natychmiast po przebyciu dość głębokiej dolinki, na której dnie płynął strumień. Właściwie było to łożysko prawie zupełnie wyschniętej rzeki. Cienutkie strumyki łączyły małe i większe często dość głębokie stawy. Podczas pory deszczowej w dolince musiała szumieć duża rzeka, gdyż najwyższy poziom wody można było poznać po głazach i brzegach.

Po rozbiciu obozu chcieliśmy z panem Mudge ruszyć na polowanie, lecz nie mogliśmy nigdzie znaleźć Pullingo. Zniknął i, co gorsze, nie wiadomo, w jakim poszedł kierunku.

— Damy sobie radę bez niego — rzekł pan Mudge. — Bylebyśmy tylko nie zabłądzili.

— Weźcie mój kompas — zaproponował ojciec — lecz bądźcie bardzo ostrożni.

Polowaliśmy na ptactwo mało troszcząc się o nazwy lub zwyczaje nieznanymi okazów. Byliśmy, jak się to mówi, łowcami, którzy myślą tylko o pełnym garnku. Czasem robiło mi się żal, że ustrzeliłem tyle pięknych ptaków. W drodze powrotnej, obładowani ptactwem, nabijaliśmy strzelby nie śrutem, lecz kulami. A nuż spotkamy kangura? Wypatrywaliśmy tych zwierząt bez skutku. W pewnej chwili Harry zawołał:

— Patrzcie, patrzcie! Co za straszne stworzenie!

— Niedźwiadek! Sądząc po ruchach i futrze to niedźwiadek — odpowiedział biegnąc w jego stronę Mudge. — Zaraz poznamy tego pana bliżej.

Zwierzę szło spokojnie, kołysząc się z nogi na nogę jak miś. Nie widziało nas. Mudge wycelował i strzelił. Zwierzę, zapewne trafione w samo serce, padło bez ruchu. Miało ze trzy stopy długości i bujne, ciepłe, trochę szorstkawe futro koloru szarego, z czarnymi i białymi plamami. Pysk zwierzęcia był szeroki, a łapy pokryte czarną sierścią zbrojne w mocne pazury. Było bardzo podobne do niedźwiadka, lecz na brzuchu posiadało worek, jak kangur.

— A to ci dziwadło! — wykrzykiwał Paddy Doyle. — Jedno jest pewne, niedźwiedź nie niedźwiedź, niechby nawet była to świnia, grunt, że dostarczyło nam mięsa na parę dni.

Natychmiast zabrał się do oprawiania i ćwiartowania zwierzaka.

Do obozu powracaliśmy objuczeni mięsiwem.

Domniemany miś ważył chyba ponad czterdzieści funtów. Później dowiedzieliśmy się, że był to niedźwiadek australijski, zwany w języku krajowców wombat. Zwierzę to, chociaż jest bardzo w Australii rozpowszechnione, trudno upolować, gdyż całe dni spędza w podziemnych kryjówkach. Mieliśmy zatem szczęście, i dużo mięsa.

Paddy po powrocie do obozu nie tracił czasu — natychmiast nadział kawałki wombata na rożen i zawiesił nad ogniem. Jako rożna użył długiego a cienkiego patyka, opartego końcami na dwóch wbitych w ziemię kijach, rozwidlających się na końcu. Jeden koniec rożna był

dłuższy i wystawał dość daleko za podpórkę. W ten sposób mogliśmy obracać pieczeń, nie stojąc za blisko ognia.

Wkrótce po naszym powrocie z polowania zjawił się Pullingo w towarzystwie trzech czarnych. Jeden z nich, imieniem Naggernook, został nam oficjalnie przedstawiony. Sądząc po pomarszczonej skórze i siwych włosach, był leciwym starcem. Nie zapominał jednak języka w gębie i trajkotał bez przerwy z wyraźnym upodobaniem, jak by chciał nam wyłożyć coś niezmiernej wagi. Oczywiście nie zrozumieliśmy ani słowa. Widok pieczonego wombata wzbudził jego ciekawość i za pośrednictwem Pullingo chciał się dowiedzieć, jak go upolowaliśmy. Nasz czarny przyjaciel wskazał starcowi muszkiety i zaczął coś długo opowiadać. Zapewne mówił, jakich cudów można dokonać za pomocą tej broni. Chociaż nieraz widział, jak nabijamy strzelby i polujemy, przypisywał im czarodziejską moc i odnosił się do nich z zabobonnym strachem, co w swoim własnym interesie uważaliśmy za zjawisko bardzo pożądane.

Ojciec chciał zjednać sobie czarnych. Gdy tylko jedna porcja wombata została upieczona, podał ją Naggernookowi. Starzec przycisnął do siebie pieczyście i zaczął z zachwytem tańczyć, podskakując w komiczny sposób. Po zadokumentowaniu w ten niezwykle sposób swego zadowolenia, a być może nawet wdzięczności, siadł na ziemi i zaczął pożerać mięso. Odrywał duże kawałki i pchał je sobie do ust w sposób, jaki można by uznać za zaprzeczenie wszelkich ludzkich form jedzenia. Od czasu do czasu z wyraźnym żalem rzucał kawałek mięsa swym młodszym towarzyszom, którzy porywali kasek jak psy podczas uczyty swego pana.

Nie mieliśmy ochoty na przebywanie w towarzystwie tak mało pociągających przedstawicieli rasy ludzkiej, lecz za to oni najwyraźniej postanowili pozostać z nami. Zapewne po to, aby korzystać z naszych darów albo żeby coś ukraść, chociaż to drugie przypuszczenie, moim zdaniem, było dla krajowców krzywdzące.

Młodzieńcy, gdy tylko ogryźli do czysta ostatnią rzuconą im przez Naggernooka kostkę, ustawili z płatów kory pochyłe daszki, jakby dla podkreślenia, że z obozu naszego nie ruszą się. Pullingo podczas kolacji opowiadał coś o przybyszach, którzy zaszczytili nas swoją obecnością. Trudno było pojąć, o co mu chodziło, lecz fakt pozostawał faktem — obok nas biwakowało liczne plemię krajowców, a jakie były ich zamiary względem nas, nie wiadomo.

Oczywiście wystawiliśmy warty obozowe jak zawsze. Tym razem druga zmiana przypadła panu Mudge i mnie. Postanowiliśmy spędzić ten czas spacerując wokół obozu. Gdy jeden siadał, aby odpocząć, drugi chodził obok, prowadząc z nim rozmowę.

Po godzinie marszu usiadłem zmęczony. W pewnej chwili pan Mudge pochylił się w przód i zaczął bacznie wypatrywać czegoś w ciemności na południowym krańcu obozu. Podszedłem do niego. Między drzewami, w przyzwoitej od nas odległości, na kopczyku usypanym z ziemi stała ludzka postać. Chociaż na pewno był to człowiek, wyglądał niesamowicie. Z ramion jego spływały końce długiego szala, a poruszane wiatrem, robiły wrażenie skrzydeł ogromnego nocnego ptaka. Długa broda i sterczące na głowie ulepione na kształt rogów loki dopełniały obrazu.

Dziwadło nie wydawało żadnego głosu, tylko z wolna poruszało ramionami w górę i w dół, jakby czyniąc jakieś czary. Człowiek ten stał jak anioł u wrót raj, broniący powrotu pierwszym rodzicom. Domyśliliśmy się, że był to czarownik, a zarazem odważny chłop. Wykonywał swoje praktyki blisko obozu białych, których Australijczycy uważali za okrutników, wykonywał je tak blisko, że każda kula wystrzelona z naszych strzelb musiałaby go trafić. Oczywiście nie mieliśmy zamiaru strzelać.

— Co za cel może przyświecać temu dziwnemu czarownikowi? — spytałem cicho, podchodząc blisko do pana Mudge.

— Prawdopodobnie chcą nas stąd wystraszyć — odpowiedział równie cicho. — Wiedzą, że konkurować z bronią palną nie są w stanie, próbują więc wystraszyć nas za pomocą takich właśnie magicznych sztuczek. Gdyby nie to, że przed chwilą widziałem naszego nowe-

go przyjaciela Naggernooka, śpiącego jak kamień, pomyślałbym, że to właśnie on jest czarownikiem. Biegnij i sprawdź, czy staruszek naprawdę śpi, a ja będę miał na oku czarownika.

Ostrożnie podkradłem się do legowisk gości. Wszyscy byli na miejscu. Zameldowałem o tym panu Mudge.

— Zbudź Pullingo — polecił. — Zobaczymy, jak on zareaguje na czary.

Przewodnik nasz, jak zwykle, spał obok Paddy Doyle'a. Irlandczyk zbudził się prędzej od czarnego.

— Paddy — mówiłem cicho — jakieś dziwadło chce nas nastraszyć. Jest tu obok, niedaleko. Chcemy sprawdzić, co powie na to Pullingo. Postaraj się mu wytłumaczyć, że nie czujemy strachu, tylko jesteśmy ciekawi — chcemy wiedzieć, jaki jest cel tych kawałów.

— A jeśli to prawdziwy duch? Na miłość boską, nie obraźcie go — stłumionym szeptem odpowiedział Paddy. — U nas w Irlandii spotyka się duchy i tylko poganie w nie nie wierzą. Oj, panie Godfreyu, uważaj, z czym zaczynasz!

Pullingo po dłuższej rozmowie z Paddym, ociągając się, udał się z nami do miejsca, gdzie oczekiwał nas pan Mudge. Wrażenie, jakie wywarł na czarnym widok czarownika, było większe, niż mógłbym się spodziewać. Trząśnięty ze strachu, wrzasnął na całe gardło: „Karakul! Karakul!” — i uciekł pędem do obozu. Jego wrzaski zbudziły pozostałych krajowców, którzy zerwali się i co sił umknęli w las, wykrzykując to samo magiczne zaklęcie. Hałas postawił na nogi wszystkich w obozie. Ojciec i Burton podbiegli ku nam, pytając, co zaszło. Podczas zamieszania czarownik zniknął.

— Musimy go odnaleźć i oduczyć takich sztuczek! — zawołał Mudge. Pobiegł w las, a my za nim. Harry, który zwykle wykazywał dużą odwagę, teraz miał minę nie mniej wystraszoną niż krajowcy. Radził nam, abyśmy zaniechali pogoni za duchem.

Na próżno przeszukiwaliśmy okolice kopca. W ciemnościach ktoś znający dobrze teren mógł ukryć się z łatwością nawet zupełnie blisko.

— Nie ma co szukać biedaka — mruczał Mudge — ale musieliśmy pokazać, że nie boimy się jego czarów.

Po powrocie do obozu rozpaliliśmy ognisko i znów ruszyliśmy na poszukiwanie, tym razem Pullingo i jego znajomków. Znaleźliśmy ich niedaleko obozu, wciśniętych w dziuplę dużego drzewa. Albo byli naprawdę przerażeni, albo świetnie to udawali — zęby im szczękały, drżały ręce i nogi, wydawało się, że nawet włosy stanęły im dęba na głowie. Zbici w ciasną grupkę, trzymali się za ręce. Szeroko otwartymi oczyma wyglądali z kryjówek.

Paddy musiał ich długo przekonywać, żeby wyszli z dziupli i wrócili z nami do ogniska. Gdy wreszcie zdecydowali się na ten bohaterski czyn, rzucali dokoła wystraszone spojrzenia, a po przybyciu do obozu stale zerkali w stronę, gdzie stał czarownik. Dopiero kilka pieczonych papug poprawiło im humor.

Skomplikowane i uciążliwe śledztwo wydobyło z Pullingo informację, że Karakul to straszliwy czarownik, który potrafi dysponować życiem każdego, kto go czymkolwiek urazi. Karakul zadaje swym ofiarom śmierć za pomocą kości wydobytej z ciała zmarłego.

W noc po pogrzebie tubylca czarownik idzie na jego grób. Magiczne zaklęcia i gesty są wstępem do dalszych czarów. Karakuł kładzie się na mogile i czeka. Na niebie błyska ściśle określona gwiazda. Z mogiły wychodzi trup i wkłada pod skórę czarownika maleńką kostkę. Właśnie ta kostka dzięki zaklęciom straszliwego Karakuła wyskakuje z jego ciała i przenika do serca wybranej ofiary, która pada trupem. Czarownik oczywiście stwarza pozory, że potrafi nie tylko zabijać, lecz także leczyć. Gdy nie pomagają zaklęcia, stosuje zamawianie i różnorakie sposoby hipnozy. Czasem przypala ręce i nogi pacjenta, puszcza mu krew za uchem, wieszka za rękę na gałęzi. Rannym zalepia rany błotem. Jeśli chory mimo takich zabiegów nadal czuje się źle. Karakuł stwierdza uroczyście, że sam sobie jest winien i umywa ręce.

— Mamy powody, aby czuć przed nim strach — tłumaczył nam za pomocą słów i gestów Pullingo.

Gdy poznałem lepiej zwyczaje i życie krajowców, przekonałem się, że jego obserwacje były zupełnie słuszne. Dzięki Pullingo poznaliśmy wiele innych spraw, związanych z przesadami jego ziomeków.

Ciekawe było wierzenie, że naturalna śmierć nie istnieje. Człowiek mógłby żyć wiecznie, nie starzeć się i nie tracić sił, gdyby bliźni nie zabijali, nie rzucali klątw i czarów.

— Dość tego — zawyrokował Mudge. — Niech Pullingo powie swoim kompanom, żeby szli spać — zwrócił się do Paddy'ego. — I sam też niech się kładzie, aby mieć siły na jutro.

Pana Mudge i mnie zmienili na posterunku Burton i jeden z marynarzy. Czarownik nie pokazał się więcej. Najwidoczniej błyskające w świetle ogniska lufy muszkietów, które trzymali w ręku wartownicy, przekonały go, że z nami nie przelewki i nowy występ byłby ryzykowny.

Następnego dnia w rozmowach na temat ostatnich wydarzeń doszliśmy do wniosku, że krajowcom zależy na tym, abyśmy zrezygnowali z dalszej podróży. Nie mieliśmy zamiaru tym się przejmować. Po śniadaniu spakowaliśmy ryszstunek i kazaliśmy Pullingo maszerować na czele. Wahał się, a w końcu oznajmił, że nie może iść w kierunku, gdzie zobaczył Karakula.

— Możesz iść inną drogą, powiedział mu Mudge — a my maszerujemy prosto. Dołączysz się do nas dalej...

Naggernook ze swymi kompanami bacznie śledzili każdy nasz ruch. Gdy zobaczyli, że ruszamy na południe w kierunku kopca, na którym stał czarownik, uciekli wrzeszcząc: „Karakul! Karakul!” Odpowiedzieliśmy im wybuchami śmiechu. Mudge strzelił przed siebie, dając im do zrozumienia, że oczyścił drogę. Powinni byli zrozumieć znaczenie tego wystrzału. Mieliśmy nadzieję, że ich współziomekowie nie będą nas niepokoić. Głównym naszym celem było teraz unikanie wszelkich zatargów z tubylcami. Gdyby krew raz została przelana, nie wiadomo, jakie mogłyby z tego wynikać skutki. Musieliśmy pokazać naszą siłę i udowodnić krajowcom, że strach jest nam obcy.

Maszerowaliśmy w zwykłym szyku. Daleko za sobą zostawiliśmy „kopiec czarownika”. Nie mogliśmy stwierdzić, czy tropi on nas ze swymi wyznawcami, czy nie. Znając okolicę, mogli niepostrzeżenie przemykać się blisko nas.

Tu chciałbym wtrącić kilka uwag dotyczących krajobrazu i wydarzeń pominiętych dotychczas w opowiadaniu.

Nad rzeką, którą przekroczyliśmy ubiegłego dnia, rosły grupy wspaniałych sosen, zwanych sosnami z wyspy Norfolk. Wysokie na sto stóp drzewa, świetnie nadawały się na maszty dla największych okrętów. Najczęściej jednak spotykaliśmy różnego rodzaju eukaliptusy, sięgające stu i więcej stóp wysokości. Niektóre miały w obwodzie trzydzieści, czterdzieści stóp, a kilka „wiekowych sterców” mogłoby w swych dziuplach dać schronienie całej naszej grupie. Olbrzymów tych nie cechowała wielka uroda. Liście miały twarde i brzydkie, ustawione pionowo, tak że obie ich strony były jednakowo naświetlone.

W dolinach widywaliśmy paprocie-giganty wysokości dwudziestu stóp. Z pni grubości wioślna wyrastały cztero-, pięcio-stopowe liście, zupełnie podobne do liści naszych paproci.

Najdziwniejszą rośliną było drzewo, którego pień, nie mający więcej niż sześć stóp wysokości, zdobiła korona zwiniętych w spirale, podobnych do długiej trawy liści, opadających ku ziemi. Ze środka tej zielonej czupryny wystrzelał na dwadzieścia stóp w górę pręt, którego ostre zakończenie miało kształt kłosa.

Pewnego razu Pullingo polując na kangura stracił dwie ze swych dzid. Utkwiły w grzbiecie zwierzęcia, które ogromnymi susami uciekło, nie zważając na rany. Nasz czarny przyjaciel nie przejął się zbyt bardzo tą stratą. Gdy tylko znalazł opisane przeze mnie drzewo, ściał ów długi pręt i zahartował jego koniec w ogniu. Oszczep był gotowy.

Do tej chwili często zastanawialiśmy się, gdzie tubylcy znajdowali lub jak robili proste

dzidy.

Co do wierności Pullingo nie mieliśmy zastrzeżeń, lecz nie dowierzaliśmy jego ziomkom. W marszu zachowywaliśmy zwarty szyk, aby łatwiej odeprzeć niespodziewany atak. Na postojach zwykle chodziliśmy na łowy w towarzystwie przewodnika. Przy jego pomocy szukaliśmy dzikich owoców lub palmy, której liście zastępowały kapustę. W ogóle wszelka jadalna zielenizna była bardzo cenna i zbieraliśmy ją przy każdej okazji.

Kangurze mięso jadaliliśmy przynajmniej raz na kilka dni, codziennie upolowaliśmy kilka ptaków. Były to przeważnie kakadu lub różne inne rodzaje papug, gołębie, turkawki, od czasu do czasu dropie lub australijskie indyki, duże ptaszyska wagi około szesnastu, osiemnastu funtów.

Zdarzało się, że podczas marszu słyszeliśmy wyraźne trzaskanie z bicza. Tomek i Pierce żartowali, mówiąc, że to jakiś czarny pastuch zabawia się w ten sposób gdzieś w pobliżu. Przeszliśmy sporo mil, zanim wykryliśmy sprawcę owych odgłosów. Był to niewielki ptaszek, który przelatywał nad nami, siadał na gałązkach i wydawał dźwięki, przypominające strzelanie z bata.

Od ostatniego postoju, gdzie straszyl nas Karakul, przeszliśmy ponad dziesięć mil i stanęliśmy obozem pod wielkim eukaliptusem. Teren był pagórkowaty i niedaleko ciągnął się gęsty las, co nie sprzyjało dobrej obserwacji. Do postoju w tym miejscu skusił nas strumień z czystą wodą. Matka i Edyta nie były bardzo zmęczone. Upały jeszcze się nie zaczęły i powietrze było czyste i ożywcze.

Podczas polowania chcieliśmy udać się w stronę pobliskich wzgórz, lecz Pullingo energicznie zaprotestował. Wreszcie widząc, że nie rezygnujemy ze swego zamiaru, usiadł przed nami i zagradzał rękoma drogę. Minęliśmy go, lecz nie podniósł się i gestami tłumaczył nam, że pozostanie na miejscu. Musieliśmy zaniechać wycieczki. Poza tym polowanie na tym postoju udało się znakomicie. Ustrzeliliśmy kangura i dużo ptactwa, a Pullingo za pomocą bumeranga poważnie zasilił zapasy pierzastych przysmaków.

Kolacja była zatem wyśmienita. Matka upiekła w popiele kilka placków dla nas wszystkich, co było dużą niespodzianką, gdyż początkowo wszelkie mączne potrawy przeznaczaliśmy tylko dla niej, Edyty i Pierce'a.

Po posiłku położyliśmy się spać. Mudge i Paddy czuwali na pierwszej zmianie. Ledwie zdążyłem zamknąć oczy, a poderwał mnie na równe nogi straszliwy śmiech. Stanęliśmy wszyscy z bronią gotową do strzału. Nie mieliśmy złudzeń. Krajowcy otoczyli obóz i w dziki sposób wyrażali swą radość, że mają nas w swych rękach. Spodziewaliśmy się, że lada chwila uderza w nas liczne oszczepy. Nie mogliśmy jednak nikogo dostrzec.

— Skąd dobiegał ich krzyk? — spytał Mudge.

— Spóźnione pytanie — odparł ojciec. — Wróg na pewno cofnął się w gąszcz. Stać w grupie! — rozkazał ojciec. — Pod żadnym pozorem nie oddalać się. Zapewne chcieliby wywabić nas i zabić po kolei.

Matka i Edyta stały przed swym szałasem, drżąc z przerażenia.

— Nie bójcie się — uspokajał je ojciec — dzicy widząc, że czuwamy nie zaatakują nas.

— Las jest ich najbliższą kryjówką, a krzyk słyhać było tuż obok — gorączkował się Mudge. — Niech pan pozwoli, kapitanie Rayner, a wezmę dwóch ludzi i wystraszę ich z kryjówki.

— Wierz mi, Mudge, oni są już daleko — odpowiedział ojciec. Ledwie przebrzmiały jego słowa, a przeraźliwy wrzask znów rozdarł ciszę. Tak mógł śmiać się i wrzeszczeć tylko szaleniec.

— Dzikie musiał wleźć na drzewo — zawołał Mudge podnosząc muszkiet. — Zestrzele go, jeśli sam nie zejdzie.

Spojrzałem w stronę ogniska. Pullingo najspokojniej w świetle siedział w kręgu światła i patrzył jakby zdziwiony naszym niepokojem. Powtarzał cicho słowo: „Gogobera”. Czy było

to imię wodza dzikich, czy jakiegoś urojonego bożka, nie wiedzieliśmy. Widziałem, jak uśmiechał się, najwyraźniej ubawiony naszym przerażeniem.

— Ten czarny coś wie — zawołałem. — Wcale bym się nie zdziwił, gdyby okazało się, że straszy nas czarodziej, o którym już słyszeliśmy. Paddy, dowiedz się co prędzej, kto tak piekielnie hałasuje.

Pullingo szybko zrozumiał pytanie. Wstał i podszedł do drzewa, na które spoglądał Mudge. Wyjął zza pasa bumerang, cofnął się parę kroków i rzucił. Spośród gałęzi spadł na ziemię wielki ptak z czarnym łbem i dziwacznym dziobem.

Pullingo, wskazując go, powiedział łamaną angielszczyzną:

— Taki robić śmiechy.

Nocny gość okazał się tak zwanym „śmiejącym osłem”, czyli olbrzymim australijskim zimorodkiem. Później dowiedzieliśmy się, że zimorodek australijski, mimo straszliwego głosu, jest ptakiem bardzo pożytecznym. Niszczy węże, które chwytają szponami i zabija uderzeniem dzioba. Podobnie jak nasz kogut, bardzo wcześnie budzi osadników, donośnym krzykiem zwiastując zbliżanie się świtu. Dlatego ma jeszcze dodatkową nazwę „budzik osadników”. W ogóle jest to bardzo towarzyskie ptaszysko. Tubylcy zwą je gogobera i nie mają związanych z nim żadnych przesądów. Pullingo skubał już zimorodka i zdaje się pożarł go całego jeszcze przed końcem nocy.

— Miejmy nadzieję, że nic więcej nie zakłóci nam spokoju, więc proponuję, aby wszyscy poszli spać.

Takiej rady nie trzeba było dwa razy powtarzać. Gdyby Pullingo nie zabił gogobery, zapewne wstalibyśmy o świcie, lecz marynarz pełniący poranną wartę zbudził nas dopiero wtedy, gdy słońce ukazało się już nad horyzontem.

Ojciec po naradzie z panem Mudge postanowił poświęcić jeden dzień na odpoczynek. Obóz leżał w bardzo dogodnym miejscu. Wody nam nie brakowało, a i zwierzyny mieliśmy dość.

Pullingo objadł się w nocy gogoberą i na wieść o odpoczynku przewrócił się natychmiast na drugi bok i zasnął.

Pana Mudge i mnie korciło, aby zobaczyć, co leży za linią wzgórz, do których Pullingo nie chciał nas wczoraj zaprowadzić. Postanowiliśmy zaspokoić naszą ciekawość natychmiast po śniadaniu. Poszliśmy uzbrojeni w strzelby i pistolety, zabierając ze sobą Paddy'ego i Popo, którzy nieśli prowianty. Droga wiodła na zachód przez gęsty las. Minęliśmy pierwsze wzgórze i przedzieraliśmy się przez gąszcz zarastający dolinę. Nie widzieliśmy żadnej zwierzyny ani ptactwa. Szliśmy więc cicho. W pewnej chwili wydało mi się, że usłyszałem ludzkie głosy. Stanęliśmy, aby lepiej je słyszeć. Tak. Miałem rację.

— Chodźmy — rzekł Mudge. — Jeśli to głosy krajowców, zawsze zdążymy cofnąć się na czas, aby ich przekonać, że nie żywimy wobec nich wrogich zamiarów.

Głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Las osłaniał nas przed wzrokiem krajowców, lecz oto skończył się. Z gęstych krzaków na jego skraju mogliśmy przypatrywać się wszystkiemu swobodnie, nie zdradzając naszej obecności.

Na otwartej przestrzeni zobaczyliśmy tłum czarnych mężczyzn i kobiet słuchających w ekstazie okropnej siwowłosej staruchy, przemawiającej ze szczytu kopca. Starucha trzymała w ręku kostur i wymachiwała nim w groźny sposób. Potok słów, podkreślany licznymi gestami, robił niezwykle wrażenie. Niestety, nie rozumieliśmy ani słowa. Mogliśmy wprawdzie nie obawiać się, że zostaniemy wykryci, gdyż wszyscy krajowcy zamienieni byli w słuch i wpatrzeni w grzmiącą kazaniem wiedźmę.

Przez kilka długich minut trwało owo przemówienie. Starucha najwyraźniej rozkazywała coś, chciała do czegoś skłonić otaczającą ją ciżbę dzikich.

Wysłuchując się uważnie rozumieliśmy wreszcie kilka znanych nam słów. Chodziło o nas. Zapewne starucha namawiała wojowników do zaatakowania nas i zatrzymania w drodze.

Poważnie obawialiśmy się, że swoimi słowami poderwie nagle cały tłum, który natychmiast ruszy na nasz obóz, trafiając po drodze na naszą kryjówkę.

Mudge dotknął mego ramienia i dał znak do wycofania. Chciałem przekazać rozkaz Paddy'emu i Popo. Obejrzałem się — i struchlałem. Za mną stał Australijczyk. A więc jesteśmy otoczeni i musimy walczyć. Zerwałem się... aby w czarnym rozpoznać Pullingo. Dawał nam znaki, abyśmy wycofywali się bardzo cicho i szybko. Niewątpliwie było to najmądrzejsze, co mogliśmy uczynić. Chyłkiem, bezgłośnie umykaliśmy co prędzej za Pullingo.

Ten pędził nie oglądając się, jakby w obawie, aby go nie dostrzeżono, gdyż wtedy mogłaby go osiągnąć zemsta współziomków. Byliśmy wzruszeni wiernością przyjaciela, który wiedząc, na jakie wraz z nami naraża się niebezpieczeństwo, dogonił nas, aby ostrzec i zaprowadzić w bezpieczne miejsce.

Dopiero na wzgórzach dał nam odetchnąć.

— Złe, Paddy, bardzo złe — mówił do swego przyjaciela i nauczyciela. — Wy być zabity, oni mówić Pullingo zabić! Złe, bardzo złe, Paddy! — powtarzał. Ograniczony zasób słów uniemożliwiał mu wyrażenie jego zdania o naszej wycieczce.

— Lecz gdybyśmy nie poszli, nikt z nas nie wiedziałby, że czarni chcą nas zaatakować — odparł Doyle. — Już w nocy mogliby nas dopaść i pozbawić nasze matki dzielnych synów, zanim byśmy zdążyli oczy otworzyć. Widzisz zatem, panie Pullingo, że nasza wycieczka była potrzebniejsza niż mógłbyś przypuszczać. A proszę, powiedz no, czemu nie uprzedziłeś nas, wiedząc o zamierzeniach twoich ziomek?

— Ja mówić, jakby chcieli atakować — odpowiedział Pullingo. — Teraz maszerować.

Ruszyliśmy w stronę obozu.

Albo szliśmy prędzej, albo Pullingo przeprowadził nas krótszą drogą, przybyliśmy bowiem do obozu wcześniej, niż przypuszczałem. Nasze sprawozdanie zachwiało postanowieniem ojca, aby pozostać na odpoczynek. Rozporządzaliśmy jeszcze czterema godzinami dnia i mogliśmy oddalić się od czarnych co najmniej o dziesięć mil. Pullingo spytany o zdanie przynaglał do wymarszu.

Edyta była bardzo zmęczona. Podróż wyczerpała znikome siły dziecka.

— Przecież możemy nieść panienkę — zawołał Paddy. — Chętnie służę swoim ramieniem. Na pewno jest lekka jak piórko.

Burton i jeden z marynarzy również zaoferowali się z pomocą. Matka dziękowała im za to serdecznie.

Aby ułatwić zadanie, postanowiliśmy skłecić coś w rodzaju lektyki. Drzewa, z których krajowcy robią dzidy, dostarczyły nam dwóch cienkich, mocnych i lekkich prętów. Umocowane między nimi poprzeczki przetkaliśmy długimi jak trawa liśćmi tej samej rośliny, a na wierzch położyliśmy kawałek kory. Prymitywna lektyka była gotowa w ciągu pięciu minut.

Paddy ze zwykłą Irlandczykom uprzejmością oznajmił, że jego plecak stał się lżejszy, gdyż zrównoważył go ciężar Edyty.

Pullingo ze zdziwieniem patrzył, że tyle uwagi poświęcamy dziewczynce. Jego żona i córki musiałyby same nieść cały dobytek, a on kroczyłby na przedzie, trzymając w ręku dzidy i bumerang. Zresztą Australijczycy nie dźwigają ze sobą ani ubrań, ani naczyń kuchennych, ani całej masy przedmiotów, którymi cywilizacja obarcza białych.

Jako przewodnik kroczył na przedzie, odziany w spodnie i koszulę. Patrzył na ten strój raczej jako na znak wyróżnienia niż jako na rzeczy niezbędne, co nie przeszkadzało mu naśladować nas przy każdej okazji.

Teren, po którym szliśmy niczym nie różnił się od tego, jaki pozostał za nami. Nie mieliśmy trudności przy poruszaniu się z lektyką. Miejscami szliśmy przez pokryte lasem łagodne wzgórza. Odnosiłem wrażenie, że wędruję po rozległym parku i nie mogłem oprzeć się myśli, że lada chwila pojawi się przed nami stado jeleni i pogalopuje w szalonej ucieczce. Tu jednak tylko od czasu do czasu mogliśmy dostrzec stadka złożone z trzech, czterech

kangurów lub pojedyncze okazy, które umykały, zanim zbliżyliśmy się na odległość strzału. Są to zwierzęta bardzo czujne i trudno je podejść, nie mając dobrej kryjówki. Nawet gdy pasą się, ani na chwilę nie przerywają obserwacji, badając teren, czy nie zbliża się jeden z dwóch głównych wrogów — krajowiec albo dingo.

— Podoba mi się takie wesołe życie — rzekł do mnie Tomek, gdy wraz z Harrym otrzymali polecenie, aby iść jako straż tylna i pilnie oglądać się w tył i na boki. — Chciałbym, żeby dzicy odczepili się i nie przeszkadzali nam w podróży.

— Zapewne mówią to samo o nas — odpowiedziałem. — Musimy pamiętać, że my naruszamy cudzą własność, gdyż oni korzystając ze swoich praw uważają cały ten teren za swój i nie mogą przyjaznym okiem spoglądać na to, jak zabijamy zwierzynę, która ich żywi.

— No tak, ale tej zwierzyny starczy zarówno dla nich, jak i dla nas — tłumaczył Tomek. — To bardzo nierozsądne przeszkadzać białym, słabszy zawsze powinien ustąpić.

— Oczywiście — odpowiedziałem — że mamy pełne prawo wędrować, gdzie chcemy, ale do krajowców musimy odnosić się po ludzku i dołożyć wszelkich starań, aby ich nie krzywdzić lub pozbawiać środków do życia.

— Z tym zgadzam się w zupełności — przyznał Harry. — To nie ich wina, że są prymitywnymi dzikusami. Pomyśl, jacy byśmy byli, nie zakosztowawszy ani nauki, ani wychowania. Nigdy nie pozbędę się myśli, że mogłem zostać na zawsze z takimi strasznymi ludźmi, gdybyście mnie nie uratowali.

— Dlaczego więc tysiące, dziesiątki tysięcy dzikich żyje na świecie bez takich wiadomości? — spytał Tomek.

— To jedna z zagadek, których człowiek nie potrafi rozwiązać — powiedziałem.

Często rozmawialiśmy na różne tematy i widziałem, że nauki mojej matki i pomoc Edyty wywarły na Harry'ego duży wpływ.

Marsz tego dnia był bardzo męczący. Całe bowiem przedpołudnie spędziliśmy na wycieczce, a potem musieliśmy bez przerwy bacznie obserwować wszystkie mijane zarośla i gąszcze, za którymi mogli kryć się dzicy.

Wiedzieliśmy, jacy byli przebiegli, mogli zaskoczyć nas równie dobrze od czoła, jak z boków czy z tyłu.

Ojciec rozkazał, aby w razie napaści lektyką Edyty opuścić na ziemię, a my z bronią gotową do strzału mieliśmy utworzyć wokół niej czworobok, jak piechota podczas szarży kawalerii. Strzelać mieliśmy dopiero na jego rozkaz. Stale żywił nadzieję, że czarni, widząc nas w pogotowiu, nie odważą się na atak.

Poczułem ulgę, gdy tuż przed zachodem słońca Pullingo dał znak, abyśmy stanęli. Byliśmy na skraju lasu, w kotlinie, na dnie której błyszczała woda. Wokół rosły olbrzymie paprocie, wielkością dorównujące drzewom w Europie.

Edyta po zejściu z lektyki dziękowała Paddy'emu i marynarzom za oddaną jej przysługę.

— To była najprzyjemniejsza rzecz, jaką zrobiłem od wielu dni, panno Edyto — zapewniał ją Paddy, kłaniając się słomkowym kapeluszem. — Oczywiście wyrażam uczucia nas wszystkich.

Mudge nie miał zwyczaju prawić komplementów, ale tym razem z uśmiechem tłumaczył dziewczynce, że noszenie lektyki to tylko przyjemność i że następnego dnia sporządzi taką samą dla pani Rayner, aby Harry, Tomek, Popo i ja mieli również coś do roboty.

Rozbiliśmy obóz na stoku kotliny, gdzie był suchy grunt i rozpaliliśmy ognisko. Zaczęła się jeszcze jedna obozowa noc. Gogobera znów straszył nas przeraźliwym śmiechem. Gdybyśmy poprzedniej nocy nie widzieli na własne oczy, jak bumerang Pullingo strącił ptaka na ziemię, nie uwierzylibyśmy, że tak przeraźliwy głos może wydać stosunkowo niewielkie stworzenie.

Znów pełniliśmy wartę i wstaliśmy o świcie dzięki „budzikowi osadników”. Pullingo

chciał zabić ptaka, lecz uprosiliśmy go, aby tego nie robił. Natychmiast po wschodzie słońca gogobera przestraszony widokiem tyłu ludzi odleciał.

Ojciec tym razem postanowił odpoczywać po południu, aby następnego dnia wyruszyć o świcie. Mieliśmy zatem dużo czasu na śniadanie i wypoczynek. Zaraz poszliśmy z panem Mudge i Popo na polowanie, chcąc ustrzelić trochę ptactwa na obiad.

Upolowaliśmy dość szybko wystarczającą ilość, a że dzień był skwarny, usiedliśmy w cieniu na odpoczynek. Poleciliśmy Popo odnieść ptactwo do obozu i przygotować je do pieczenia.

Pan Mudge palił fajkę, a ja rozkoszowałem się chłodem, jakiego dostarczał cień. Nagle usłyszałem, że zwierzę jakieś przedziera się przez gąszcz. „Zapewne kangur” — pomyślałem i podniosłem muszkiet. Na szczęście nie wystrzeliłem. Z krzaków wyskoczył Australijczyk. Natknąwszy się na nas, stanął jak wryty. Prerażony, momentalnie uskoczył w bok i pobiegł dalej z szybkością gonionego zwierza. Czyżby rzeczywiście uciekał przed wrogiem? Gdyby polował, na pewno cofnąłby się, gdyż wiedziałby, że gonione zwierzę nie przebiegło obok nas. A więc uciekał!

— Mamy jeszcze jeden dowód, że krajowcy są ludźmi spokojnymi i nie należy się ich obawiać. Ten biegacz dosłownie skamieniał ze strachu na nasz widok — mówił Mudge.

Po pewnym czasie Mudge spojrział na zegarek.

— Papugi na pewno są już upieczone. Możemy wracać, chociaż prawdę mówiąc nie mam ochoty wstawać — powiedział sennie. Ze zdziwieniem zobaczyłem zbliżającego się Pullingo.

— Niedobrze tu — mówił zniżonym głosem. — Daleko obóz

Ledwo skończył, a z zarośli z których niedawno wybiegł dziki, wyskoczyła grupa czarnych, złożona z siedmiu uzbrojonych w dzidy, toporki i maczugi. Rozglądali się, jak by kogoś lub czegoś szukali. Byliśmy ukryci w wysokiej trawie za drzewem i liczyliśmy, że nas nie dostrzegą. Byłbym im wdzięczny, gdyby już odeszli. Pullingo przysiadł i bacznie obserwował zbrojnych. Mudge opuścił ręce na główne pistoletów. Ja trzymałem palec na cynglu muszkietu, gotów strzelać w razie napaści. Ci ludzie wyglądali bardziej dziko niż spotykani dotychczas. Twarze wykrzywiały im grymas wściekłości, a każdy ruch zdradzał wrzącą w nich żądzę walki. Dokładnie penetrowali całą polanę. Już mieli odejść, gdy jeden z nich dostrzegł nas.

Zerwaliśmy się gotowi do walki, zdecydowani w razie ataku drogo sprzedać życie. Nie było wątpliwości, że dzicy rzucą się na nas. Wrzeszcząc straszliwie skoczyli ku nam, wznosząc włócznie, wymachując toporkami i maczugami.

— Strzelam do najbliższego, a ty bierz na cel następnego — rozkazał Mudge. Nie zdążyliśmy dać ognia, gdy Pullingo zawołał coś w swoim narzeczu. Tubylcy stanęli, a Pullingo zawołał, abyśmy nie strzelali.

— Oni nie wróg — objaśniał.

Zrobił kilka kroków ku oszołomionym dzikim i w gwałtowny sposób zamienił z nimi kilka zdań. Nie wątpiłem, że widzieliśmy pogoń zdążającą za owym samotnym biegaczem. Oczywiście nie pisnęliśmy o nim ani słówka.

Pogoń, po krótkiej rozmowie z Pullingo, ruszyła jednak właściwym śladem, a my poszliśmy do obozu. Po drodze Pullingo wyjaśniał nam, że uciekinier dokonał morderstwa, czy też popełnił jakieś inne wielkie przestępstwo i ludzie wysłani z wioski mieli wyrzucić na nim zemstę, czyli po prostu dokonać egzekucji.

Smutny koniec! Straceniec nie miał gdzie szukać schronienia. Jeśli nie okaże się bardziej przebiegły i wytrzymały od swoich siedmiu prześladowców, los jego będzie przesądzony.

Zanim wróciliśmy do obozu, nasz czarny przyjaciel odszukał swoje odzienie, które dla jemu tylko wiadomych przyczyn ukrył w krzakach. Nie mogłem odpędzić myśli, że przewidywał on spotkanie z tubylcami i dlatego przybiegł ostrzec nas przed niebezpieczeństwem.

Opowiedzieliśmy o wydarzeniu memu ojcu i towarzyszom, co jeszcze raz utwierdziło wszystkich w przekonaniu, że należy za wszelką cenę unikać zetknięcia z dzikimi.

Upolowane przez nas ptactwo dawno było gotowe do zdjęcia z roznów. Natychmiast po posiłku ruszyliśmy w dalszą drogę.

ROZDZIAŁ XI

Spotkania z czarnymi. Stały obóz. Dalekie rozpoznanie. Rzeka. U podnóża gór. Księżycowa grotta. Odejście Pullingo. Obóz w górach. Pragnienie

Wędrowaliśmy przez kilka dni w całkowitym spokoju. Spotkaliśmy zaledwie kilku zaciekawionych naszą obecnością tubylców, którym Pullingo wyjaśnił, że odwiedziliśmy te okolice tylko przemarszem i że pragniemy utrzymać z krajowcami przyjazne stosunki. Jednocześnie opowiadał im o naszych miotaczach piorunów, które mają moc zabijania wszystkich naszych wrogów. Zdarzało się, że od czasu do czasu odwiedzał nas bardziej od innych odważny tubylec, aby zobaczyć z bliska owe miotacze piorunów.

Dzicy zawsze patrzyli na strzelby z najwyższym zdumieniem i strachem, po czym szybko odchodzili. Zapewne myśleli, że lepiej nie przebywać blisko tak strasznych przedmiotów. Pullingo dotychczas nie odważył się dotknąć broni palnej i nie miał pojęcia, co powoduje wystrzał.

Pewnego wieczora wspięliśmy się na wyższe od innych wzgórze i dojrzeliliśmy na horyzoncie nieco zamglone, sinawe pasmo gór, znajdujące się na naszej drodze. Jaką miały wysokość? Czy okażą się trudne do przebycia i pustynne? Na te pytania nie mieliśmy jeszcze odpowiedzi. Góry wydawały się wysokie i dzikie.

W obozie, gdy matka i Edyta poszły do swego szałas, ojciec zwierzył się ze swych obaw. Mówił do pana Mudge, że zdaje sobie sprawę, na jakie narazimy się trudy i niebezpieczeństwa przy przechodzeniu gór.

— Żałuję, że nie wykazałem więcej rozsądku i zezwoliłem szturmanom odptynać szalupą — rozważał. — Gdybym wytłumaczył im, że należy przeczekać okres sztormów, przybyliby szczęśliwie do Sydney i do tego czasu na pewno bylibyśmy zabrani przez statek. Ileż zaoszczędzilibyśmy wysiłków!

— Działal pan w najlepszej wierze — odpowiedział Mudge. — Możliwe, że trudności, jakie nas czekają, nie będą tak wielkie, jak pan przypuszcza. Zastanawiałem się nad tą sprawą. Chciałbym za pańskim pozwoleniem wziąć jednego człowieka i z Pullingo jako przewodnikiem przeprowadzić rozpoznanie terenu, przez który wiedzie nasza droga. Pan z pozostałymi członkami wyprawy stanąłby obozem w dogodnym miejscu, gdzie będzie odpowiednia ilość wody i zwierzyny. Doyle jest świetnym strzelcem i może zapewnić dostawy do pańskiej spiżarni. Małej grupie będzie łatwiej wyszukać przejścia w górach; powróci ona po rozpoznaniu najwygodniejszych dróg. Całkiem możliwe, że po drugiej stronie gór spotkamy osadników, od których dostaniemy konie dla pani Rayner i panny Edyty.

— Jestem panu niezmiernie wdzięczny za tę propozycję — odpowiedział ojciec — lecz kogo ma pan zamiar zabrać ze sobą? Przyznaję, że ze względu na żonę i córkę nie chciałbym osłabiać naszej grupy. Tubylcy, widząc tylko kilku mężczyzn, gotowi zatruwać nam życie.

Propozycja pana Mudge przypadła mi do gustu i postanowiłem poprosić ojca o zezwolenie wzięcia udziału w jej realizacji

— Jestem równie wytrzymały jak inni — uzasadniałem prośbę — a chociaż umiem całkiem dobrze władać bronią, czarni będą patrzyli na mnie tylko jak na chłopca, który nie zwiększa, ich zdaniem, siły obronnej obozu. W ten sposób z tobą, ojciec, zostanie pięciu męż-

czynn, a ja, mam nadzieję, bardzo przydam się panu Mudge.

— Bardzo bym chciał wziąć cię z sobą, Godfreyu — zawołał pan Mudge — jeśli oczywiście ojciec wyrazi na to zgodę. Prawdę mówiąc, miałem zamiar zaproponować, abys mi towarzyszył. Co pan na to, kapitanie Rayner? W razie niebezpieczeństwa będę go bronił choćby za cenę własnego życia, chociaż mam nadzieję, że unikniemy podobnych przygód. Jeśli chodzi o żywność, możemy być spokojni — nasze strzelby zapewnią nam jej zdobycie.

Ojciec zastanawiał się i wreszcie ku mej radości wyraził zgodę. Następnego dnia wyłożył nasz plan matce.

— Pozwolił mi się Godfreyowi pracować na okręcie. Jeśli teraz będzie towarzyszył tak rozważnemu i dzielnemu człowiekowi jak pan Mudge, z pewnością nie będzie narażony na większe niebezpieczeństwa, niż na morzu.

W ten sposób sprawa została przypieczętowana. Nie traciliśmy czasu i przystąpiliśmy do przygotowań. Przede wszystkim spakowaliśmy duży zapas prochu i kul, każdy wziął krzesiwo i hubkę, żywność, butle na wodę, kompas, lunetę i zapasowe obuwie. Wzięliśmy również kociołek do gotowania, kubki, talerze, noże i widelce. Nasz sprzęt, niezbyt może bogaty, był całkowicie wystarczający. Nogi osłoniliśmy płóciennymi sztylpami. Jako uzbrojenie każdy miał strzelbę, dwa pistolety, długi nóż i toporek.

Nasi towarzysze zostawali na szczycie zalesionego wzgórza. Mieli stamtąd szerokie pole widzenia we wszystkich kierunkach, a barykady ustawione między drzewami czyniły z obozu warownię, zdolną stawiać opór w razie napadu.

Strumień płynący u stóp pagórka i głębokie połączone z nim stawiki dawały pewność, że wody nie zabraknie nawet podczas suszy. Las natomiast miał być magazynem mięsiwa i ptactwa.

Między nami a pasmem górskim leżał gęsty las. Wydawało się nam, że zanim dotrzemy do gór, będziemy musieli przebyć spory szmat drogi.

Pullingo, sądząc z jego zachowania, nie miał nic przeciwko temu, aby nam towarzyszyć.

Wczesnym rankiem, po obfitym śniadaniu, żegnani przez wszystkich pozostających w obozie, wyruszyliśmy w drogę. Do lasu, który, jak nam się wydało, był blisko, musieliśmy maszerować dość długo. W lesie orientację ułatwiała nam świecąca przez korony drzew słońce.

Na czele szedł Mudge, ja za nim, a na końcu włókł się Pullingo. Od pewnego czasu wyraźnie było widać, że tak odmienny od tubylczego tryb życia, jaki mu narzuciliśmy, męczył go. Teraz zamiast prowadzić nas, wskazywał tylko kierunek drogi. Natychmiast po zanurzeniu się w gąszcz, zaczął wykonywać jakieś dziwaczne ruchy, potem zdjął koszulę, a w chwilę później spodnie. Zakręcił nimi młynka i rzucił na gałąź. Powiewały tam poruszone lekkimi podmuchami wiatru. Uwolniony od krępującego go odzienia ruszył zwawiej.

Spytałem pana Mudge, czy nie rozkazać mu, aby wrócił i zabrał ubranie.

Mudge odpowiedział:

— Zostaw go. Postępuje zgodnie ze swą naturą. Niech sobie biega nagi, jeśli mu to odpowiada, chociaż gdy wejdziemy w góry, będzie żałował, że zostawił odzież.

Zachowanie się czarnego niepokoiło mnie. Myślałem, że zwariował. Ciesząc się z odzyskanej wolności krzyczał, śmiał się, fikał koziołki i podskakiwał dziwacznie.

— Zapewne wydaje mu się, że w drodze powrotnej znajdzie swoją odzież i ubierze się przed wejściem do obozu — rzekłem do Mudge'a.

— Nie myślę, aby troszczył się o przyszłość — odparł Mudge. — Fakt, że pozbył się ubrania, sprawia mu taką samą przyjemność, jakiej nam dostarczyłaby ciepła kąpiel i włożenie czystej bielizny.

Przedzieraliśmy się przez gąszcz, gdyż Pullingo nie zadawał sobie wiele trudu, aby wybierać wygodniejszą drogę. Zdawało się nam, że wkrótce zaczniemy iść pod górę, ale gdzież

tam! Po wyjściu z lasu stanęliśmy na skraju doliny, na której dnie błyszczała rzeka. Bystry prąd wskazywał na to, że płynie z gór prosto do morza. Rzeka robiła wrażenie zbyt głębokiej, aby można było przejść ją w bród.

Wskazując na nurt spytaliśmy Pullingo, jak zamierza przeprowić się na drugi brzeg. Przewodnik natychmiast wyszukał potężne drzewo, o korze jakby plecionej ze sznurka, i przystąpił do jej zdejmowania. Wkrótce poprosił nas, abyśmy pomogli mu znieść nad wodę dwa wielkie płaty zdjętej kory. Rozglądał się, szukał czegoś w zaroślach, aż wreszcie znalazł — była to długa trawa, z której szybko skręcił mocny sznurek.

Dopiero teraz zaczął budować łódź. Zgiął płat kory w ten sposób, że krawędzie krótszego boku prostokąta zeszyły się z dłuższym. Ostry patyk zastąpił szydło. Pullingo przebijał otwory w korze i zszył stykające się brzegi sznurkiem z trawy. Łódź miała już dziób. Następnie w identyczny sposób „zszył” rufę i za pomocą gliny uszczelnił szwy. Z kawałków kija i płatów kory sporządził parę wiosł. W niezwykle krótkim czasie mieliśmy dwie gotowe do drogi łodzie.

Przewidywaliśmy, że podczas podróży natrafimy mi rzeki, i że trzeba będzie budować pirogi na wzór tubylczych łodzi. Pullingo jednak stracił na zbudowanie dwóch łodzi czterokrotnie mniej czasu, niż my potrzebowalibyśmy na zbudowanie jednej. Pirogi wystarczyły dla naszych celów, lecz przyznam, że bałbym się wyruszyć nimi w dalszą drogę.

Pullingo dał znak panu Mudge, aby wziął jedno czółno, sam wsiadł do drugiego i skinął na mnie, abym mu towarzyszył. Bez wahania zająłem wskazane miejsce, chociaż czółno zanurzyło się po krawędź burty.

Szybko przepłynęliśmy rzekę i wyciągnęliśmy pirogi na brzeg. Ukryliśmy je, pamiętając, że mogą się nam przydać w drodze powrotnej.

Do łańcucha górskiego było jeszcze daleko. Do wieczora szliśmy po stosunkowo równym terenie. Góry, które na początku dnia, jak nam się wydawało, były całkiem blisko, pozostawały wciąż odległe. Kiedy do nich dotrzemy? Jak szeroki jest ten łańcuch? Czy długo będziemy wędrować, zanim uda nam się je przebyć? Dzień, a może wiele dni? Na te pytania nie znajdowaliśmy odpowiedzi.

Szliśmy przez las potężnych eukaliptusów. Na ziemi leżały spróchniałe konary, kilka drzew sterczało z rozdartymi przez piorun pniami. Jak łachmany jakiegoś wielkoluda, długimi pasmami zwisała z nich kora.

Intrygowało nas zachowanie Pullingo. Rozglądał się, jak by po raz pierwszy maszerował przez te okolice, a czasem robił wrażenie, jak by czegoś szukał.

Cienie drzew stawały się coraz dłuższe. Mudge postanowił rozbić obóz. Pullingo wyraził zgodę i natychmiast przystąpił do zbierania suchych patyków i kory na ognisko. Zrzuciliśmy plecaki i pomagaliśmy mu w urządzaniu obozu. Tuż przy olbrzymim pniu eukaliptusa postawiliśmy szałas, po czym wzięliśmy strzelby i w kilka minut ustrzeliliśmy potrzebną nam na kolację i śniadanie ilość ptactwa.

Po powrocie do obozowiska ku naszemu zdumieniu zobaczyliśmy, że naprzeciw Pullingo siedzi jakiś tubylec. Czarni położyli dłonie na kolana i patrzyli sobie w oczy. Rozmawiali z takim zapałem, jak by chodziło o sprawę niezwyklej wagi. Podeszliśmy bliżej i w czarnym przybyszu rozpoznaliśmy Quaguagmagu — syna Pullingo, którego pierwszy raz spotkaliśmy wkrótce po katastrofie brygu. Czarni byli tak zajęci rozmową, że nie zwrócili na nas uwagi, my zaś nie chcieliśmy im przeszkadzać i odeszliśmy na bok. Nie mogliśmy jednak doczekać się końca rozmowy. Czarni rozmawialiby pewnie do północy, a my mieliśmy już porządny apetyt na pieczone gołąbki. Podeszliśmy bliżej. Tym razem zauważono nas. Czarni zerwali się na równe nogi i Pullingo wykrzyknął radośnie:

— Syn, Quaguagmagu, mój, mój!

— Poznajemy go, poznajemy — odpowiedział Mudge, podając młodzieńcowi rękę. Powitałem go w ten sam sposób, co chłopakowi sprawiło wyraźną przyjemność.

— A co sprowadziło do nas twego syna? — zapytał Mudge.

— Wszystko, wszystko! — Po tych dwóch zrozumiałych słowach Pullingo zalał nas powodzią niezrozumiałych dźwięków. Minęła dłuższa chwila, zanim pojęliśmy, że w rodzinie naszego przewodnika wydarzyło się jakieś nieszczęście. Być może zachorowało któreś z dzieci, może uciekła żona. W każdym razie Pullingo chciał wracać na północ. Była to dla nas ważna decyzja, gdyż dotychczas w dużej mierze korzystaliśmy z pomocy czarnego.

Oczywiście był on zmęczony swą pracą. Nie należy wiele oczekiwać od prymitywnego człowieka, syna natury, zmuszonego przez długi czas do współżycia z białymi. Pullingo nie był wyjątkiem. Jedynie młodszy tubylcy potrafili przywiązać się i wypełnić przyjęte obowiązki.

— Czy będziemy musieli zawrócić? — spytałem.

— Nie — odpowiedział Mudge — będziemy wędrować bez jego pomocy. A musimy to zrobić dla dobra twojej matki i siostry. Za wszelką cenę musimy.

— Jestem gotów — odparłem. — Zresztą naprawdę wątpię, czy Pullingo wie cokolwiek o tych górach. Od początku podejrzewałem, że nie chciał nas przez nie prowadzić. Przypuszczam jednak, że nie opuści nas natychmiast.

— Nie ma obawy. Wkrótce będą przecież gołębie na rożnie — żartował Mudge. — W ciągu wieczora postaramy się dowiedzieć czegoś więcej. Na razie niechaj pomoże oskubać i przygotować ptaki do pieczenia. Czuję wilczy apetyt.

Pullingo z synem chętnie wykonali polecenie i już po chwili kilkanaście papug i gołębi skwierczało nad ogniem.

— Tak więc, Pullingo, opuszczasz nas i będziemy wędrować przez góry bez ciebie. To nieładnie z twojej strony! — sumitował czarnego pan Mudge.

Pullingo zwiesił głowę, jak gdyby zrozumiał każde słówko. Westchnął i wskazał ręką na północ.

— Nie mogłeś nam powiedzieć tego wcześniej? — pytał Mudge, pomagając sobie gestami.

Czarny wskazał na syna i tłumaczył, że to on przyniósł wieści zmuszające do powrotu.

— Więc twój syn przebył całą drogę samotnie?

W odpowiedzi na to pytanie Pullingo, używając całego zasobu angielskich słów i gestów, zaczął tłumaczyć, że Quaguagmagu przybył z grupą tubylców. Jaki był istotny cel tej wyprawy, nie mogliśmy się domyślić. Zaintrygowało nas również, w jaki sposób tubylcy trafili na nasz ślad. Najwidoczniej korzystali z takich sposobów sygnalizacji, o których my nie mieliśmy pojęcia.

Siedzieliśmy przy ognisku próbując podtrzymać rozmowę z Pullingo. Słownik jego był ubogi, chociaż w krótkim czasie nauczył się i tak bardzo dużo. Na migi próbowaliśmy dowiedzieć się przyczyny, która zmusiła Quaguagmagu i jego towarzyszy do pogoni za nami.

Pullingo próbował wyłożyć nam, że ma to jakiś związek z księżycem i dużą jaskinią. Czy byli czcicielami księżycy? Czy ukrywali w jaskini jakiś przedmiot kultu? Nikt z nas nie mógł tego wiedzieć.

Dopiero później domyśliłem się, o co chodziło.

Kiedyś, gdy świat był jeszcze młodziutki, księżyc był piękną dziewczyną, która żyła szczęśliwie w lasach na trasie naszej podróży. Zwyczajem jej było wypoczywać w grocie wśród gór, ku którym zmierzaliśmy. Pozostawałaby tam do tej chwili, gdyby nie wyгнаły jej zazdrosne złe duchy i nie skazały na wędrowkę po niebie. Gwiazdy są łzami nieszczęśliwej dziewczyny, które rozsypuje z tęsknoty za ziemią. Gdy podczas wędrowki dziewczyna znajduje się na pewnej wysokości, może zajrzeć do swego dawnego schronienia, które pragnie oświetlić własnymi promieniami. Czasem jednak złośliwi wrogowie pozbawiają ją tej jedynej w samotnym życiu przyjemności, zasłaniając ziemię chmurami. Śmiertelni, spowinowaceni z piękną dziewczyną, która stała się księżycem, co roku odbywają na jej cześć wędrowki do miejsc, które tak bardzo za ziemskiego życia umiłowala. Właśnie teraz duża grupa ze szczepu

Pullingo wybierała się, aby złożyć jej hołd. Ceremonia miała odbyć się już następnej nocy.

Nie mogliśmy pozwolić, aby te uroczystości opóźniły nasz marsz. Grota dziewczyny-księżycy mieściła się w górach, ku którym zmierzaliśmy. Nie przypuszczaliśmy, że zdołamy posunąć się dalej niż do tego właśnie miejsca. Opowiadanie Pullingo zaostrzyło naszą ciekawość i z góry byliśmy zadowoleni, że znaleźliśmy okazję, aby zobaczyć obrzęd, który choć trochę wiąże się z religią krajowców. Dotychczas na podstawie naszych wiadomości wyobrażaliśmy sobie, że ci prymitywni ludzie pozbawieni są jakichkolwiek wierzeń.

Na razie jednak postanowiliśmy wypocząć. Weszliśmy do szałas i chociaż całkowicie ufaliśmy Pullingo i jego obecność zapewniała nam bezpieczeństwo, powzięliśmy decyzję, aby czuwać. Pełniliśmy straż na zmianę, a gdy układałem się do snu, miałem pod ręką pistolet gotowy do strzału.

O świcie zbudził nas wrzask dobrego przyjaciela — australijskiego zimorodka. Musieliśmy natychmiast upolować coś na śniadanie, gdyż Pullingo i Quaguagmagu zjedli cały zapas mięsiwa, jaki został z poprzedniego dnia. Polowanie było krótkie. Szybko ustrzeliliśmy dość ptactwa na śniadanie, a nawet zrobiliśmy zapas na drogę.

Wkrótce z muszkietami na ramieniu, mając u boku obu czarnych, ruszyliśmy w kierunku wzgórza.

— Może jednak Pullingo pożałuje swojej decyzji i nie porzuci nas — powiedziałem do pana Mudge.

— Nie licz na to! — padła odpowiedź. — Na pewno, gdy tylko uzna, że tak będzie wygodniej, ucieknie od nas bez słowa.

Wprawdzie ani Pullingo, ani jego syn nie zaofiarowali się z pomocą w niesieniu naszych tobołów, jednak przewodnik rozmawiał wesoło i był naprawdę w dobrym humorze.

Po południu zatrzymaliśmy się na obiad i nakarmiliśmy naszych pomocników. Byliśmy już u stóp gór, gdzie rosły jeszcze większe drzewa niż w dolinach. Nie wspinaliśmy się po stromych skałach. Daleko w głąb łańcucha górskiego wiodła dolina, łagodnie wstępująca coraz wyżej.

Na wieczornym postoju zauważyliśmy, że czarni nie szykują dla siebie szałas. Jak zwykle przystąpiliśmy do przyrządzania ptactwa na kolację i gdy nadziane na rożen zaskwierczało nad ogniem, zorientowałem się, że obaj czarni zniknęli.

— Przypuszczam, że jeszcze wrócą na kolację — z niewyraźnym uśmiechem mówił Mudge.

Ptaki były już upieczone, lecz czarni nie wrócili. Przygotowywaliśmy się do snu. Księżyc wpłynął na niebo i rzucał jasne promienie na urwistą ścianę doliny nieco poniżej nas. Mudge stał na warcie, ja zaś zasypiałem. Nagle poderwały mnie nieludzkie wrzaski.

— Nie bój się! — szepnął Mudge. — To na pewno nasi czarni przyjaciele składają hołd w jaskini księżycy. Przed chwilą widziałem, jak przemykali się przez dolinę. Nasi przewodnicy muszą być z nimi. Chodźmy zobaczyć, co się tam dzieje.

Spakowaliśmy i zarzuciliśmy na ramiona plecaki, uznając, że nierozsądnie byłoby je zostawić. Ruszyliśmy.

Do jaskini było blisko. Wkrótce zobaczyliśmy czarnych, ustawionych w półkole u obramowanego pnączami i krzewami wejścia do groty.

Czarni tańczyli w zwykły sobie, dziwny sposób. Skakali, rzucali się we wszystkie strony, wyginali ciała, krzycząc przy tym na całe gardło.

W pewnej chwili jeden z czarnych dał znak, wszyscy padli na kolana i zaczęli czołgać się w stronę jaskini, co chwilę pocierając nosami ziemię. Kręcili się przed wejściem do groty, lecz żaden nie śmiał podejść zbyt blisko.

Nie chcieliśmy, by nas dostrzeżono, i wycofaliśmy się w stronę widocznego z daleka ogniska.

Czarni nadal pełzali przed jaskinią. Widowisko było w naszym pojęciu bardziej poniża-

jące niż ciekawe.

Po tylu wrażeniach usnąłem natychmiast. Przy zmianie warty dowiedziałem się od pana Mudge, że dzicy nadal dopełniali swych obrzędów, a Pullingo i jego syn nie wrócili.

— Wróć przed świtem — zapewniałem.

Omyliłem się jednak. Rankiem czarnych jeszcze nie było, a przez lunetę nie dostrzegliśmy żadnego z nich. Upiekliśmy sporo ptactwa, licząc jeszcze na ich powrót. Zjedliśmy tylko swoje porcje, resztę zostawiliśmy dla przewodników. Czekaliśmy na próżno.

— Nie ma co marnować czasu — stwierdził wreszcie Mudge. — Najwyraźniej zwiali i poszli ze swymi ziomkami. Zupełnie możliwe, że ich nigdy więcej nie zobaczymy, ale nie zdziwiłbym się, gdyby stary przypomniał sobie zapach pieczonych gołąbków i wytropił nas w dolinie.

— Nie mieści mi się w głowie, że odeszli bez słowa pożegnania. Wystrzelę w powietrze. Chyba domyślą się, że opuszczamy biwak — powiedziałem.

— Nie marnuj amunicji — odparł Mudge. — Lepiej rozejrzyj się, czy nie ma w pobliżu jakiegoś ptaka, i wówczas strzelaj. Możemy zabrać jeszcze trochę pożywienia. Na pewno przyda się w górach. Nie wiemy, czy będzie tam na co polować.

Posłuchałem pana Mudge. Na gałęzi dostrzegłem wspaniałą papugę kakadu. Dałem ognia i strąciłem ptaka na ziemię. Echo wystrzału długo i rozgłośnie huczało w dolinie.

— Jeśli nasz czarny przyjaciel jest w pobliżu, musiał usłyszeć strzał — rzekłem przynosząc ptaka. Przytroczyłem go do plecaka, a Mudge zabrał kociołek z pieczonymi gołębiami.

— Naprzód! — zakomenderował. I pomaszerowaliśmy, kierując się w stronę gór.

Niedługo doszliśmy do terenów, jakich jeszcze dotąd nie widywaliśmy. Wokół nas wyrastały dzikie, poszarpane i pustynne skały. Uboga roślinność porastała tylko dolinę, przez którą wiodła nasza droga. Kompas wskazywał, że idziemy na południe. Przydała się zabrana żywność. Nie zobaczyliśmy bowiem ani jednego ptaka czy zwierzęcia, które można by ustrzelić.

Aby nie zabłądzić w powrotnym marszu a jednocześnie aby wiedzieć, czy przejdą tędy konie, badaliśmy i usiłowaliśmy zapamiętać drogę. Doszliśmy do wniosku, że dla wytrzymałego wierzchowca o mocnych nogach przejście nie nastreczy trudności, mimo że droga była nierówna i miejscami bardzo stroma. Trafiliśmy jednak na strome zbocze, które sami mogliśmy pokonać, gdzie jednak koń narażony byłby na poważne niebezpieczeństwo. Zaproponowałem wspinačkę.

— Pójdziemy tędy, jeśli będzie to nieuniknione — odpowiedział Mudge. — Sami moglibyśmy bez zwłoki pomaszerować na wprost — tłumaczył — ale dla całej grupy musimy poszukać dogodniejszego przejścia po lewej lub prawej stronie.

Wprawdzie na prawym zboczu doliny można by znaleźć łatwiejszą ścieżkę, ale dokąd by nas zaprowadziła, trudno było przewidzieć.

— Najlepiej spróbować — rzekł Mudge. — Zatrzymać nas może tylko pionowa ściana.

Miał rację. Przeszło milę szliśmy na wschód, aż wreszcie trafiliśmy na dolinę wiodącą na południe.

Piękny wodospad szumiący po skałach kusił, aby zatrzymać się na postój, ale nie widzieliśmy w pobliżu drzew, których kora nadawałaby się na zbudowanie szałas. Na szczęście krzaki dostarczyły nam dość patyków na ognisko. Patrząc na suchą trawę i krzewy odnieśliśmy wrażenie, że w dzień, gdy zagłada tu słońce, w dolinie jest ciepło, w nocy jednak wiał chłodny wiatr. Dla osłony przed nim zbudowaliśmy z gałęzi i liści dość szczelną ściankę.

Woda bulgotała w kociołku nad ogniskiem. Zjedliśmy upieczone na poprzednim postoju gołębie i popiliśmy herbatą.

Legliśmy do snu z bronią pod ręką, chociaż nie należało obawiać się tubylców ani dingo. W tej pustynnej okolicy nie spotykaliśmy żadnych zwierząt. Nie ma chyba na świecie drugiego ładu, gdzie noce są tak bezpieczne. W Australii groźne bywają tylko węże, lecz i te

wybierają miejsca ciepłe, a atakują tylko wtedy, gdy się je zaczepi.

W porównaniu z nizinami okolica otaczająca nasz obóz wyglądała posepnie, ale to nie przeszkadzało nam wyspać się spokojnie. Rano wzięliśmy kąpiel pod prysznicem wodospadu i zaraz po śniadaniu ruszyliśmy dalej.

Maszerowaliśmy dnem wąwozu. Słońce coraz natarczywiej spoglądało w dół, napełniając skalistą dolinę żarem, który z trudem mogliśmy wytrzymać.

— Nie ma śladu po naszym Pullingo — pomrukiwał Mudge. — Nawet on miałby trudności z wytropieniem nas w tych skałach. Zdaje się, że nie zadał sobie tego trudu i odszedł z przyjaciółmi na północ. Nie zobaczymy go więcej.

Krajobraz stawał się coraz bardziej dziki i pusty. Po obu stronach widniały gołe skały i tylko gdzieniegdzie zieleniła się mizerna roślinność. Niestety nigdzie nie mogliśmy dostrzec wody. W południe na krótkim postoju zjedliśmy skromny posiłek. Ostrożnie korzystaliśmy z wody, zabranej przezornie do manierek. Na razie nie czuliśmy pragnienia, lecz wody pozostało nam niewiele.

Pod koniec dnia, gdy pieliśmy się pod górę, znaleźliśmy w zwężeniu doliny kości dużego zwierzęcia. Po zbadaniu stwierdziliśmy, że to resztki końskiego szkieletu, oczyszczonego dokładnie przez ptactwo i owady.

— Świadczy to o tym, że jeździec próbował przedostać się przez góry — rozważał Mudge. — Idąc z północy możemy być pewni, że konie przejdą swobodnie, chociaż w niektórych miejscach jeźdźcy będą musieli zsiadać i iść pieszo. Jeśli ten koń wędrował z południa, zatem i na drugą stronę gór prowadzi dostępna dla tych zwierząt droga.

— Oczywiście — poparłem jego wywód — ale... widocznie trudno tam o wodę i paszę. Możliwe, że biedne konisko padło z głodu i pragnienia. O, proszę spojrzeć! Wędzidło, strzemiona, okucie siodła! Jeździec zapewne porzucił swego rumaka. O, tam pod skałą troki i jakieś rzeczy.

Podbiegliśmy w stronę tych przedmiotów. Na kamieniach leżała strzelba, para pistoletów, krzesiwo, składany nóż, róg na proch, nabijany mosiądzem pas amunicyjny i inne drobiazgi.

Uwagę moją zwrócił nóż. Taki sam zgubiłem wkrótce po wylądowaniu. Ze zdumieniem zobaczyłem na nim swoje inicjały, które sam wyryłem na ręczce.

— A to mój róg na proch! — zawołał Mudge. — W przeddzień napadu jeźdźców leśnych zostawiłem go w magazynie, aby potem napełnić. Nie ma co zastanawiać się. To wszystko musiało należeć do znanego nam rabusia. Uciekał przez góry i tu stracił wierzchowca.

— Musiał się bardzo śpieszyć! Zostawił broń, która umożliwiła zdobycie pożywienia — powiedziałem.

— Masz rację. Na pewno zachorował albo... Spójrz, tam na zboczu wisi kawałek ubrania — wykrzyknął Mudge. — Czyżby to był znak dla zwrócenia uwagi podróżnych? Zrzucę plecak i wdrapię się na górę. Widzisz tę skalną półkę? Stamtąd będę mógł dobrze rozejrzeć się po dolinie, a może znajdę dla nas dalsze przejście.

Po chwili zawołał z góry:

— Właśnie tak przypuszczałem! Leży tu szkielet tego nieszczęsnego zbója, oczyszczony tak samo jak kości konia. Nie zostało na nim nawet kawałka szmatki, wszystko zjadły ptaki i mrówki.

Nie mogłem powstrzymać się od myśli: „Niech nas niebo chroni przed takim losem”.

Czasem napadały nas wątpliwości, czy naprawdę uda się tymi dolinami przeprowadzić konie.

Mudge zszedł z powrotem. Zabrałem swój nóż, a resztę przedmiotów rozrzuconych na skale zostawiliśmy. Nie mieliśmy dużo czasu i chętnie opuszczaliśmy ponure miejsce.

Na noc rozłożyliśmy biwak w miejscu, które z naszego dotychczasowego doświadczenia najmniej się do tego nadawało. Jako jedyna osłona służył nam skalny nawis. Z nędznych

krzewów nie można nawet było zbudować szałasów.

Rozpaliliśmy ognisko, ugotowaliśmy herbatę i upiekliśmy ostatniego ptaka. Nie był już zupełnie świeży. Lecz mimo to zjedliśmy część pieczonego, zostawiając tylko trochę na śniadanie.

W butelkach pozostało nam po parę łyków wody. Z niepokojem spoglądaliśmy na piętrzące się przed nami góry. Nie mieliśmy pojęcia, czy uda się nam uzupełnić nasze prowianty.

Nieśliśmy w workach nie tknięte jeszcze zapasy mąki, sucharów i suszonego mięsa. Miały nam wystarczyć aż do chwili, gdy dotrzemy do bogatszych w zwierzynę i owoce rejonów lub natkniemy się na ludzkie osady. Nie upadaliśmy na duchu.

Wiedzieliśmy, jak ważne wykonujemy zadanie. Dumą napełniała mnie myśl, że matka i Edyta nie będą musiały błądzić, lecz pójdą rozpoznaną przez nas drogą.

Przez całą noc wiał zimny wiatr, który przeszywał nas na wylot.

ROZDZIAŁ XII

Bliscy załamania. Na grani. Nocleg w grocie. Miesiąc w podróży. Brak amunicji. Pasterze. Niezwykłe spotkanie. Zakończenie

Od chwili wylądowania w Australii nie przeżyliśmy ani wielkiego głodu, ani nie byliśmy narażeni na męki pragnienia. Zawsze mogliśmy upolować dostateczną ilość zwierzyny, a wody było pod dostatkiem. Lecz następnego dnia po znalezieniu szkieletów jeźdźca i konia zaczęły nękać nas obawy, że nasza wytrzymałość zostanie poddana ciężkiej próbie. W manierkach zabrakło wody, skończyły się zapasy świeżego mięsa, a obawialiśmy się jeść suszone lub solone, aby nie powiększać pragnienia.

Maszerowaliśmy popędzani nadzieją, że wkrótce osiągniemy najwyższy punkt przełęczy i zejdziemy do bardziej żyznych dolin. Czasami trzeba było posuwać się wzdłuż krawędzi przepaści, czasami schodzić do kamienistych wąwozów, lecz ciągle pieliśmy się wyżej. Pocieszało nas przeświadczenie, że wszystkie przejścia zdoła pokonać dobry wierzchowiec. Chociaż nieraz mieliśmy okazję do skracania drogi, odrzucaliśmy ją pamiętając, że szukamy ścieżek dla jezdnych. Jednocześnie wypatrywaliśmy najmniejszego skrawka zieleni, który by świadczył, że w pobliżu jest woda. Nie dostrzeżliśmy jednak nic, co mogłoby skłonić nas do zmiany kierunku.

— Przypuszczam, że tamten rabuś jechał na północ i już minął te jałowe okolice, gdy doścignęła go śmierć — mówił Mudge. — Gdyby ciągnęły się bardzo daleko, nie podejmowałby ryzykownej podróży. Mam nadzieję, że wkrótce znajdziemy wodę i zobaczymy jakieś czworonożne bestie lub choćby ptaki, które dostarczą nam świeżego mięsa.

— A co pan myśli o jego pustej ładownicy? — spytałem.

— Prawdopodobnie zapędził się na południe — snuł domysły Mudge — i po nieudanym napadzie na jakiegoś osadnika znalazł się w opałach, z których jedynym ratunkiem była ucieczka w góry. Nie mogąc odświeżyć zapasów prochu i kul, zapewne miał zamiar złożyć nam nową wizytę.

Próżno byłoby szukać prawdziwego przebiegu wydarzeń. Jedno jest pewne — dotarł do miejsca, gdzie spotkała go śmierć. My będąc w pełni sił mogliśmy śmiało liczyć, że pokonamy trudny teren i znajdziemy wodę i żywność.

Nadzieje na pokonanie trudności podtrzymywały nas na duchu, mimo że wygląd okolicy nie dodawał otuchy.

W wąskich dolinach i wąwozach powietrze było tak ożywcze, że mięśnie, chociaż bardzo już zmęczone, zaczynały pracować sprawniej.

Byłem wdzięczny panu Mudge za jego uwagi.

— Wspaniale trzymasz się, Godfreyu — mówił. — Nie słyszałem od ciebie słowa skargi. Spoglądasz na wszystko bardzo optymistycznie. To najlepszy sposób przedzierania się przez życie, chociaż mnie nie zawsze się to udaje. Trwaj przy takich zasadach, chłopcze.

Przyrzekałem panu Mudge, że zapamiętam jego rady. W drodze mieliśmy dużo okazji do rozmów, ale jeszcze więcej do rozmyślań, zwłaszcza gdy maszerowaliśmy jeden za drugim i nie mogliśmy gawędzić.

Mieliśmy przed sobą grzbiety gór, które były najbliższym celem naszej wędrówki. Chcieliśmy dotrzeć do nich przed nocą, aby na biwak zejść na ich przeciwległy stok, gdzie mogłaby znaleźć się woda, a może nawet jakieś ptactwo na kolację.

Szliśmy w milczeniu. Język przysechł mi do podniebienia. Gardło ścisnął ból. Zauważyłem, że głos pana Mudge brzmiał niewyraźnie, a mój także był całkiem zmieniony. Jednak nie byliśmy jeszcze u kresu wytrzymałości, nie myśleliśmy o poddaniu się. Maszerowaliśmy dalej, choć przychodziło nam to z trudem.

Nogi miałem miękkie w kolanach i oddychałem z wysiłkiem, lecz panu Mudge nic o tym nie wspominałem. W pewnej chwili, gdy zostałem na jakieś dwadzieścia jardów za nim, poczułem, że nogi ugięły się pode mną i upadłem niedaleko szczytu, ku któremu zmierzaliśmy.

Pan Mudge szedł dalej. Odprowadzałem go wzrokiem, nie mając dość sił, aby powstać lub nawet krzyknąć. Mudge stanął na szczycie i patrzył na południe. Zdjął kapelusz i zawołał:

— Przed nami piękna, otwarta okolica!

Okrzyk ten dodał mi sił. Wstałem i powlokłem się pod górę. Mudge zauważył, w jakim byłem stanie i pośpieszył mi z pomocą. Świadomość, że osiągnęliśmy najtrudniejszy punkt wędrówki, działała na mnie podniecająco.

Pan Mudge lustrował stok, szukając wzrokiem najlepszej drogi do zejścia. Wiedział już, jak bardzo byłem wyczerpany.

— Pozwól mi wziąć twój plecak — zaproponował. — Mnie nie sprawi to różnicy. Będziemy szli w dół, więc szybko przyjdiesz do siebie. Poza tym spróbuj zjeść kawałek suchara i suszonego mięsa. Wiem, że przyjdzie ci to z trudem, ale zjedz, ile się da.

Nie chciałem wypełnić jego polecenia, lecz Mudge powtórzył je jako rozkaz. Wyciągnął pożywienie i kazał jeść.

— Może znajdziemy jeszcze trochę wody — powiedział.

Przecząco pokręciłem głową. Moja manierka była pusta, w jego pozostało nie więcej niż pół kubka. Byłem przekonany, że chował tę odrobinę jako żelazną porcję. Parę kropel płynu, ożywcze powietrze i nadzieja, że wkrótce znajdziemy się w lepszej sytuacji, sprawiły cud — poczułem, że mogę maszerować dalej.

Schodziliśmy po stromym zboczu i dotarliśmy do skraju przepaści.

— Tędy nie przejdziemy — mówi! Mudge — ale spróbujmy iść w lewo, gdzie teren obniża się łagodniej. Bardzo możliwe, że znajdziemy dogodną dla nas dolinę.

Nie omylił się. Dolina, na jaką trafiliśmy, była równic dzika i pustynna jak po tamtej stronie gór, lecz liczyliśmy, że zaprowadzi nas do bardziej żyznych okolic.

Szybko zapadał zmrok. Wśród nagich skał szukaliśmy w wieczornej szarówce miejsca na nocleg.

Byliśmy zdecydowani nocować pod gołym niebem, lecz w ostatniej chwili Mudge, który wspiął się nieco na zbocze, zawołał:

— Znalazłem grotę, znakomite schronienie przed chłodem, wiatrem i rosą. Obawiam się, że zrezygnujemy z rozpalenia ogniska i z herbaty. Przecież bez wody i tak jej nie zaparzyemy.

Wdrapałem się za nim do dużej, sklepionej jaskini. Nie była głęboka, ale dla nas było dosyć miejsca. Z trudem, przewyciężając ból wyschniętego gardła, zjadłem kawałek suchara

i suszonego mięsa.

Pełzając wyszukaliśmy dwa pokryte suchym piaskiem miejsca. Mudge ułożył się na jednym, ja na drugim.

— Staraj się natychmiast zasnąć — radził mi Mudge — to najlepsze lekarstwo. Jutro będziesz czuł się silniejszy. Wyruszamy o świcie i będziemy rozkoszować się wspianym śniadaniem... jeśli je znajdziemy.

Posłuchałem tej rady szybciej, niż można przypuszczać. Spałem już chyba dość długo, gdy ocknąłem się przestraszony. W świetle księżyca dostrzegłem pana Mudge siedzącego z pistoletami w rękach i wypatrującego czegoś przed sobą.

— Co się stało? — wykrzyknąłem, myśląc, że mój przyjaciel ujrzał coś strasznego we śnie i chociaż chwycił za broń, jeszcze się nie obudził.

— Spójrz tam, spójrz — odpowiedział. — Czyżby to były wilki? A może hieny lub szakale? Skradają się przed wejściem do grotty i świecą oczyma. Bądź gotów do obrony, wygląda na to, że szykują się do ataku.

Wyraźnie zobaczyłem tuzin lub więcej zwierząt, łypiących na nas ognistymi ślepiami.

Właściwie widziałem tylko łby, lecz na nieznaczej wyniosłości dojrzałem całą sylwetkę zwierzęcia i domyśliłem się, z kim mamy do czynienia.

— Jestem przekonany, że żadne z wymienionych przez pana zwierząt nie zamieszkuje tego kraju — odpowiedziałem panu Mudge. — To na pewno tylko tchórzliwe dingo. Na krzyk lub wystrzał z pistoletu zrobią w tył zwrot i umkną. Proszę wystrzelić, a przekonam się pan, że mam rację! — krzyknąłem na całe gardło.

Pan Mudge dał ognia. Huk powtórzony echem rozległ się w jaskini. Dingo, jak przypuszczałem, podwinęły ogony i zawodząc tchórzliwie, rozbiegły się.

— Zdaje się, że byłem na wpół przytomny — rzekł Mudge — inaczej wiedziałbym, co to za goście. Mogłoby być nieprzyjemnie, gdyby zaatakowały nas niespodziewanie. Nie przypuszczam jednak, aby wróciły. Na wszelki wypadek będę czuwał, a ty, Godfreyu, kładź się spać. Przykro mi, że nocni goście przerwali ci wypoczynek.

Niewiele robiłem sobie z obecności dingo, gdyż byłem całkowicie przekonany, że nie atakują one ludzi. Usnąłem szybko.

Nie mogę powiedzieć, abym po przebudzeniu się o świcie był tak wypoczęty, jak bym pragnął. Język miałem wyschnięty na wiór, a ból gardła niepokoił mnie bardzo. Zebrałem jednak siły i wstałem. Było już dość jasno, aby znaleźć drogę. Ruszyliśmy w dół.

Podczas marszu, gdy właściwie nie szedłem a kusztykałem, rozglądaliśmy się, szukając wody. Widzieliśmy już kolczaste krzaki, a nawet drzewa, lecz nigdzie ani strumyka, ani źródelka. Czuję, że nie potrafię wziąć do ust ani kęsa pożywienia, zanim nie zwilżę ich kroplą płynu. Mudge przyznał te samo, lecz siły nie opuściły go tak bardzo jak mnie. Gdy mijaliśmy drzewa, oglądaliśmy je dokładnie, mając nadzieję, że znajdziemy jakiś soczysty owoc.

— Czegóż bym nie dał za garść truskawek albo fig — marzyłem na głos.

— Albo dojrzałych gruszek lub jabłek — sekundował mi Mudge — lecz z tutejszych drzew żadne nie dostarczy nam tego, czego pragniemy.

W ten sposób podtrzymywaliśmy się na duchu, a było to trudne.

W pewnej chwili dostrzegłem dziwne kształtu drzewo. W pierwszej chwili myślałem, że pokryte jest owocami. Z bliska zobaczyliśmy, że liście jego zwinięte są w formie kubków; jedno z pokrywkami, a inne otwarte. Trudno wyobrazić sobie naszą radość, gdy z naturalnego naczynka wyleliśmy kilka kropel płynu. Nie zastanawiając się ani chwili, czy to jest woda, przytknąłem liściany kubek do warg i wychyliłem jego zawartość. Co za cudowna świeżość i chłód! Płyn miał wprawdzie słodkawy smak, ale nie mogła się z nim równać żadna woda z najczystszej krynicy.

Wypiliśmy już po kilka „kubków”, gdy pan Mudge szepnął:

— Czy to aby woda, a nie jakiś trujący płyn?

— Jestem przekonany, że nie trujący — wykrzyknąłem. — Bylibyśmy niewdzięczni, snując takie przypuszczenia. Niewątpliwie Opatrzność postawiła to drzewo w bezwodnej okolicy, aby dostarczyć wody człowiekowi lub innemu stworzeniu.

— Albo po prostu drzewo zrobiło zapasy dla siebie — dodał Mudge.

— I to możliwe... — odparłem.

— Teraz możemy usiąść, zjeść kilka sucharów i trochę suszonego mięsa — wesoło rozkazał mój towarzysz. — Podreperujemy w ten sposób nasze siły.

Czuliśmy się odświeżeni i po odpoczynku, zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, wypiliśmy jeszcze po parę „kubków” cudownej wody. Spotkaliśmy jeszcze kilka takich drzew i korzystaliśmy z ich skarbów. Czuję, że mógłbym pić w ten sposób przez cały dzień, a nie ugasiłbym pragnienia. Nabieraliśmy pełni sił i rozglądaliśmy się za ptactwem.

Nagle ujrzałem, jak zza krzaków wyskoczył kangur. Był mniejszy od stepowego, lecz biegł w górę po skałach z równą lekkością, jak jego więksi bracia po stepie. Pojawienie się jednego zwierzęcia oznaczało, że spotkamy ich więcej. Chociaż ten uciekł nam, nabraliśmy przekonania, że na kolację będziemy mieli mięso.

Obserwowaliśmy okolicę uważniej niż zwykle. Zobaczyliśmy kilka ptaków, lecz z dużej odległości. Gdyby nie to, że nie chcieliśmy zbaczać z drogi, moglibyśmy podejść je, a nawet zapolować na kangura.

Spotykaliśmy coraz więcej różnych drzew i dużych krzewów. Minęliśmy kilka drzew-pokrzyw, wysokich na dwadzieścia stóp. Kiedyś, o czym w opowieści nie wspomniałem, poparzyłem sobie o ich liście ręce. Siła trucizny tych drzew jest ogromna.

Szliśmy po zboczu ze strzelbami gotowymi do strzału, licząc na to, że uda się nam wypłoszyć kangura. Postanowiliśmy ścigać go do upadłego, gdyby nie zwałił się za pierwszym strzałem. Nie zapominaliśmy również szukać drzew z „kubkami” wody. Znow zaczęło dokuczać nam pragnienie. Szliśmy doliną, która, mieliśmy nadzieję, zawiedzie nas do podgórszych okolic.

Nagle przed nami wyskoczył kangur. Zwierzę wygrzewało się na słońcu i spłoszone naszym przybyciem stanęło na chwilę, jakby zastanawiając się, w którą stronę uciekać. Myśleliśmy, że pobiegnie z boku w górę, lecz kangur skierował się w naszą stronę. Celowałem i byłem pewny trafienia, gdy zwierzę skoczyło przez obryw w prawo od nas. Strzeliliśmy obaj. Kangur zwałił się w dół. Podałem strzelbę panu Mudge i szukałem zejścia. Czepiając się skał, dotarłem do kangura. Zwierzę żyło jeszcze i próbowało poderwać się do obrony, jednak mój nóż szybko skrócił jego męki. Podciągnąłem ciężką sztukę pod obryw, obwiązałem długimi pnączami jak liną i z pomocą pana Mudge wciągnąłem na krawędź obrywu.

Szczęśliwie upolowane zwierzę miało około czterech stóp długości, z czego połowa przypadała na ogon. Futerko miało odcień purpurowy, który przy ogonie przechodził w ciepły rudy kolor. Tylne nogi miało uzbrojone w potężne pazury, prawie zupełnie skryte w gęstym włosiu. Nie traciliśmy wiele czasu na oglądanie zwierzaka. Szybko obdarliśmy go ze skóry i poćwiartowaliśmy, aby natychmiast przystąpić do rozpalania ogniska. Zanim pieczeń była gotowa, przypiekaliśmy nad ogniem cienkie skrawki mięsa aby zaspokoić pierwszy głód.

Mudge zostawił mnie przy ognisku, polecając uważać na dingo, aby nie skradły naszych zapasów, i poszedł szukać wody.

— Żadne zwierzę nie może żyć zbyt daleko od wody. Jeśli są zwierzęta, musi być i woda! — mówił.

Nie bacząc na to, że do zachodu pozostawało jeszcze kilka godzin, postanowiliśmy dać odpocząć zmęczonym mięśniom i zostać na biwaku.

Mięso skwierczało nad ogniem, a ja zbierałem i ociosywałem kołki do budowy szałasów. Zbierałem również płaty kory i gałęzie, zerkając przy tym na ognisko.

Rąbałem niewielkie drzewko, gdy kątem oka dostrzegłem, jak do naszego kangura skrada się zwierzę podobne do dingo. Nie mając zamiaru obdarowywać nieproszonego gościa

smacznym kąskem, rzuciłem się na intruza z toporkiem w rękę.

Zwierzę podobne było do zwykłego psa. Rudobrazowe, z wydłużonym pyskiem i krótkimi sterczącymi uszami, zwiesiło puszysty ogon, łypnęło chytrymi oczami i zanim zadałem cios, umknęło ujadając. Później dowiedziałem się, że ten gatunek dingo poluje grupami i zadaje duże straty osadnikom, napadając na stada owiec.

Starym zwyczajem zawiesiłem mięso na gałęzi tak wysoko, że dingo nie mogły go dosięgnąć. Miałem więc z tym spokój — nie zostanie przez noc skradzione.

Zacząłem natomiast niepokoić się o pana Mudge. Długo nie wracał. Po pewnym czasie dobiegł mnie z oddali jego wesół głos. Pan Mudge szedł podśpiewując. Po chwili wdrapywał się na naszą płytę z manierkami i kociołkiem pełnymi wody.

— Możemy śmiało powiedzieć, że najtrudniejszy odcinek drogi mamy za sobą — mówił już z daleka. — Niedaleko płynie rzeczka i zamiast w stronę oceanu, wzięła kurs prosto na południe. Będziemy mogli wędrować wzdłuż jej brzegów i wówczas na pewno nie zabraknie nam ani wody, ani ptactwa.

To były dobre wieści. Smaczny posiłek z kangurzego mięsa dodał nam sił, od razu też poprawiły się nasze humory.

Przy kolacji piliśmy niezliczoną ilość herbaty. Wokół biwaku powbijaliśmy drewniane kołki, aby nie narazić się na wizytę dingo. Ognisko podsycałymi całym zgromadzonym zapasem drzewa. Biło od niego przyjemne ciepło, które na tej wysokości było niezbędne do spędzenia nocy.

Następnego ranka, po wspaniałym śniadaniu z mięsa kangura spakowaliśmy nasz ekwipunek.

— Naprzód — zawołał Mudge.

Pomaszerowaliśmy w dół doliny. Rzeka na jej dnie szumiała i pieniała się, jak by zapowiadając, że mamy jeszcze szmat drogi do przebycia, aby dotrzeć do nizin.

Ruszyliśmy z jej biegiem. Jak przewidział pan Mudge, nie brakło nam ani ptactwa, ani zwierzyny. Po trzech dniach marszu dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka skręcała na wschód w stronę oceanu. Nadal utrzymywaliśmy kurs na południe. Przechodziliśmy w bród liczne strumienie, przepławialiśmy się przez rzeki w pirogach, których budowę opisałem wcześniej. Po prawej stronie stale widzieliśmy łańcuch górski, ale na trasie naszej wędrówki pokonywaliśmy tylko mniejsze, niewysokie wzniesienia.

Uparcie kroczyliśmy naprzód, mijając płaskowyże, rozległe stopy i głębokie doliny. Od tamtego czasu wszystkie te rzeki, strumienie, góry, pagórki, równiny, płaskowyże i doliny otrzymały już swoje nazwy i zostały dokładnie zbadane. Nad brzegami rzek wyrosły liczne miasteczka i wsie. Puste wówczas przestrzenie zaludniły się osadnikami, a równiny i stopy zamieniono w pastwiska dla bydła i owiec. Lecz my wędrowaliśmy przez krainę, gdzie gospodarzyli tylko nieliczni czarni tubylcy, a kangury, emu i dingo żyły na zupełnej wolności. Jeśli istniały jakiegokolwiek nazwy, były to jedynie nazwy nadane przez tubylców dla terenów ich łowów.

Często spotykaliśmy czarnych. Zawsze mieliśmy się na baczności; unikaliśmy ich i robiliśmy wszystko, aby się im niczym nie narazić. Przeważnie widywaliśmy ich podczas marszu, mijaliśmy ich szybko i nie widzieliśmy więcej. Zaledwie parę razy gościliśmy tubylców u ogniska, ale zawsze byli to ludzie spokojni i przyjaźni dla nas usposobieni. Gdy ustrzeliliśmy kangura lub emu, mięso które nam zostawało, rozdawaliśmy czarnym. Stwierdziliśmy przy tym, że był to najmilej przez nich widziany dar.

Podróż nasza od chwili opuszczenia obozu trwała już blisko miesiąc. Czytelnikowi może wydać się, że to niewiele, ale dla nas był to długi okres czasu, zwłaszcza że chcieliśmy jak najprędzej wysłać pomoc dla naszych przyjaciół i bliskich. Istniały obawy, że wyczerpią oni swoje zapasy prochu i kul, zanim powrócimy do nich. Mudge przypuszczał nawet, że ojciec posłał kogoś do starego obozu po nowe zapasy. Przypomniałem mu, że ludzie mogli nieść ty-

lko niezbędne dla nich ciężary i bez jucznych zwierząt wyprawa po zapasy nie miałyby sensu. Trudno było przypuszczać, aby krajowcy zgodzili się pełnić rolę tragarzy.

Wędrowaliśmy całe dnie, nie spotykając śladów cywilizacji. Nie wzięliśmy ze sobą kwadrantu i nie mogliśmy określić naszego położenia. Trudno również było obliczyć, ile mil przebyliśmy na południe i ile jeszcze mamy do przebycia, aby znaleźć osady kolonistów. Mogliśmy tylko opierać się na przypuszczeniach. Amunicja, od której zależały zapasy naszej spiżarni, topniała zastraszająco szybko. Gdybyśmy ją całkiem wyczerpali, byłibyśmy zdani na łaskę tubylców, gdyż wątpiliśmy w nasze zdolności łowienia zwierzyny lub ptaków we wnyki.

Chociaż od czasu do czasu trafialiśmy na drzewa owocowe, nie można było liczyć na tego rodzaju zaopatrzenie, gdyż często na dużej przestrzeni nie spotkaliśmy ich wcale. Najbardziej odżywczy był owoc nieco większy od hiszpańskiego kasztana, ale o bardzo podobnym smaku. Rósł na drzewie o pięknych pierzastych, jaskrawozielonych liściach, tworzących kontrast ze zwykłą ciemną zielenią australijskich lasów. Zwieszające się owoce były w dużych łupinach, zawierających pięć ziaren każda. Zebraliśmy dość dużo tych orzechów, a spotykając jeszcze po drodze palmy z liśćmi przypominającymi kapustę, szczaw i inne rośliny jadalne, od biedy mogliśmy żyć jak na jarskiej kuchni.

Pewnego wieczora zasiedliśmy do obliczenia naszych zapasów. Pozostało nam po sześć naboii na każdego. W workach mieliśmy suszone mięso, ale zabrakło już sucharów. Odrobina herbaty mogła starczyć na jakiś czas, o ile będziemy używać tego napoju oszczędnie.

— Nie ma powodu do rozpaczycy — mówił Mudge. — Dotychczas przeżyliśmy jakoś, może szczęśliwie dobrniemy do końca. Musimy oszczędzać amunicji. Od dziś żywimy się suszonym mięsem i szczawiem. Strzelać wolno tylko do zupełnie pewnego celu. Zapewniam cię, że nie będziemy głodować przynajmniej przez najbliższy tydzień.

Wesoły ton, jakim mówił Mudge, dodawał mi otuchy. Następnego dnia maszerowaliśmy odważnie, zdecydowani nie dać się złamać przeciwnościom. Jednak przeżyliśmy ciężki zawód, chybiając do dwóch kangurów. Wreszcie wystrzelaliśmy resztę amunicji, polując na ptaki.

— Głowa do góry, Godfreyu — pocieszał mnie Mudge, gdy siedziałem w milczeniu. — Zaśpiewam ci piosenkę i zobaczysz, że nie przejmuję się naszą sytuacją tak bardzo jak ty.

Zanucił piosenkę, którą często śpiewał na pokładzie „Heroinie”.

Po trzeciej zwrotce zerwaliśmy się. Ktoś zawołał do nas po angielsku. Odkrzyknęliśmy.

Z ciemności wynurzyła się postać Europejczyka, odzianego w prosty strój pasterza i uzbrojonego w strzelbę i pistolety.

— Halo, koledzy! Skądżeście się tu wzięli? — wołał pasterz. Na widok tego człowieka na chwilę zrodziła się myśl, że to leśny rabuś, lecz mimo to podbiegliśmy do niego. Ściskaliśmy radośnie jego dłoń, nie pytając, kim jest i skąd się zjawił. Parę słów wyjaśniło później wszystko.

— Czy blisko stąd do osad ludzkich? — pytał niecierpliwie Mudge.

— Najbliższa osada leży stąd o jakieś pięć mil — padła odpowiedź — lecz chata, w której mieszkam z towarzyszem, znajduje się nie dalej niż ćwierć mili stąd. Chętnie was ugoszczę, jeśli zwiniecie obóz i pójdziecie ze mną. Herbata stoi na ogniu, a zanim przyjdziemy, będzie już gotowe jakieś jedzenie i ciepły placek. Mieszkam w chacie z pasterzem. Przed chwilą zabił barana i gotował wieczerzę, gdy dostrzegłem blask waszego ogniska. Powiadam do kamrata: „To te czarne dzikusy na pewno będą próbowały kraść owce albo wyrządzić jakąś inną szkodę. Pójdę i zobaczę.” Po drodze usłyszałem wesołą piosenkę. Od razu pojąłem, że wszystko w porządku. Jestem tylko ciekawy, skądżeście się tu wzięli.

Mudge natychmiast przyjął zaproszenie. Wyleliśmy wodę z kociołka, przytroczyliśmy go do plecaka i byliśmy gotowi.

— Nie tak prędko — zganił nas pasterz. — Najprzód trzeba zgasić ognisko. Mogliby-

ście podpalić całą okolicę.

Po zdeptaniu ognia żwawym krokiem poszliśmy za naszym nowym przyjacielem. Wkrótce zobaczyliśmy chatę zbudowaną z kamienia i krytą łupkową dachówką. Kilka psów, czując obcych, ujadło groźnie. Uspokoił je głos pasterza. Podbiegły do nas, obwąchały, a nawet polizały po rękach.

Zostaliśmy zaproszeni do wnętrza chaty. Była to jedna zadymiona izba z glinianym kominkiem, dwiema pryzkami pod ścianą, stołem i parą stołków pośrodku.

Nad ogniem wisiał kociołek, w którym coś przyjemnie bulgotało.

Towarzysz naszego znajomego powitał nas serdecznie. Wygląd miał równie zaniedbany jak jego kolega, ale chyba nie do tego stopnia co Mudge, który nie golił się od dawna.

Gospodarze postawili na stół wszystko, co mieli najlepszego — świeży placek, pieczoną baraninę i herbatę. Kapitan, jak nazywali swego pana, nie pozwalał na przechowywanie i spożywanie alkoholu, lecz przyznawali, że dba o inne zaopatrzenie. Gdybyśmy zostali jeszcze na jeden dzień, przygotowaliby pudding ze śliwkami. Oczywiście musieliśmy odmówić, tłumacząc, jak bardzo śpieszymy się do głównej osady, gdzie moglibyśmy dostać konie, aby wrócić do naszych przyjaciół. Pasterze zapewniali nas, że kapitan zrobi wszystko, co w jego mocy. Hoduje wprawdzie owce i bydło, ale ma również trochę koni. Czy będzie mógł je odstąpić, to inna sprawa — pasterze nie mogli na to pytanie odpowiedzieć, lecz zapewniali, że niechybnie postara się nabyć je dla nas w innej osadzie, oddalonej nie więcej, niż o dwanaście mil.

Dowiedzieliśmy się, że dotarliśmy na odległość stu pięćdziesięciu mil od Sydney i gdyby nie osady założone w północnej części prowincji, musielibyśmy jeszcze długo maszerować, zanim znaleźlibyśmy pomoc.

Nasi gospodarze chętnie zadawali pytania i słuchali naszych opowieści, lecz sami niechętnie mówili o sobie. Pytani, dawali wymijające odpowiedzi i szybko zmieniali temat. Byli to oczywiście zesłańcy przydzieleni do pracy kolonistom. Nie pobierali wynagrodzenia, lecz cieszyli się pełną swobodą, o ile żyli w zgodzie z prawem.

Gdy tylko skończyliśmy kolację, poradzili nam iść spać, podkreślając, że na śniadanie wstają przed świtem i jeden z nich wypędza owce na pastwisko wraz ze wschodem słońca. Nie skorzystaliśmy z proponowanych nam prycz dla dwóch przyczyn: po pierwsze były one straszliwie brudne, a po drugie byliśmy przyzwyczajeni sypiać na gołej ziemi i nie chcieliśmy pozbawiać gospodarzy ich posłań. Legliśmy na podłodze z plecakami pod głową. Już dawno nie czuliśmy się tak bezpiecznie. Wierny pies pasterzy czuwał przy drzwiach, a my natychmiast zapadliśmy w głęboki sen.

Gdy rano otworzyłem oczy, ujrzałem gospodarza ugniatającego ciasto na placek, który następnie wsunął pod popiół płonącego już ogniska. Nie muszę chyba tłumaczyć, jak bardzo żałowałem, że byłem świadkiem tych wszystkich czynności.

Zamknąłem oczy i drzemałem, dopóki nie zbudzono nas na śniadanie. Pasterz wpadł na chwilę, szybko zjadł swą porcję, pożegnał nas i poszedł wypędzić owce z zagrody. Gospodarz pytał nas, czy mamy zamiar zostać dłużej, czy też od razu chcemy iść do kapitana. Oczywiście poprosiliśmy go, aby wskazał nam drogę i chcieliśmy ruszyć natychmiast.

— Nie mogę iść z wami, gdyż muszę pomóc koledze przy chorych owcach — tłumaczył nam. — Na pewno traficie do osady, jeśli będziecie szli prosto na południe. O, przez tamto wzgórze — pokazywał ręką kierunek — obok trzech wielkich drzew na jego szczycie. Stamtąd zobaczycie rzekę. Idźcie jej brzegiem aż do mostu, który wiedzie do osady.

Otrzymaliśmy więc tak dokładne wskazówki, że trudno byłoby zabłądzić.

Po przeszło godzinnym marszu zobaczyliśmy przerzucony przez rzekę drewniany most, na którym stało dwóch czarnych. Nie byli to dzicy, jakich spotykaliśmy podczas wędrówki, lecz ludzie przyzwoicie ubrani. Powitali nas uprzejmie po angielsku słowami: „Dzień dobry, przyjacielu”, a zapytani powiedzieli nam, że tu właśnie znajduje się osada, której szukamy.

Minęliśmy kilka chat i stanęliśmy przed niskim, podobnym do willi domem z długą werandą. Wszedł z niego mężczyzna w średnim wieku i skierował się prosto w naszą stronę.

— Witajcie, przyjaciele, miło mi was widzieć, skądkolwiek przybywacie — rzekł wyciągając rękę. — Wyglądacie, jakbyście odbyli długą wędrówkę. Jestem pewny, że nie odmówicie śniadania. Proszę bardzo, wejdźcie do domu. Właśnie siadaliśmy do stołu, gdy dostrzegłem was przez okno.

— Dziękujemy — odpowiedział Mudge. — Pańscy owczarze, u których spędziliśmy noc, poczęstowali nas śniadaniem, lecz skorzystamy z pańskiej gościnności. Jeśli chodzi o mnie, mogę jeszcze zjeść coś niecoś, a przypuszczam, że mój przyjaciel Rayner również nie odmówi. Wiadomo, że praktykanci oficerscy we flocie znani są z tego, że bez trudu potrafią spałaszować kilka posiłków, a ostatnio byliśmy na zmniejszonych racjach.

— Czy jesteście oficerami marynarki? — wykrzyknął kapitan, uważnie lustrując nas wzrokiem. — Domyślałem się tego, gdy was słuchałem. Proszę do środka — wskazał ręką drzwi domu. — Opowiecie mi wszystko później. Nie leży w moich zwyczajach wypytywać gości, zanim nie zjedzą czegoś i nie wypiją, a również zanim nie wypoczną po długiej podróży.

Kapitan poprowadził nas do schludnego pokoju, gdzie przy stole zobaczyłem dwie panie. Jedna z nich była na pewno jego żoną; obok niej siedziała jakaś młoda panienka.

Spojrzałem na starszą i wyciągnąłem do niej rękę z okrzykiem:

— Pani Hudson!

Kobieta ścisnęła moją dłoń, patrząc na mnie z najwyższym zdumieniem. Zwróciłem się do gospodarza i powiedziałem:

— Pan kapitan Hudson, jestem pewny, że to pan. — A potem spojrzałem na panienkę i dodałem: — Nie znam pani imienia, lecz pamiętam panią bardzo dobrze i nigdy nie zapomniałem chwili, gdy przed dwoma laty spotkaliśmy się na pokładzie „Hopewell” u brzegów Patagonii.

Uścisnąłem dłoń kapitana i młodej damy, która wstała i powitała mnie mówiąc:

— Pamiętam praktykanta oficerskiego, który złożył nam wizytę, lecz nie poznałabym pana. Tak, tak, teraz poznaję pańskie oczy i rysy. — Mówiąc to uśmiechała się słodko.

— Zastanawiałem się, skąd znam pańską twarz — usłyszałem głos pana Mudge, którego dłoń serdecznie ścisnął kapitan Hudson.

Gospodarze zapraszali nas do stołu, lecz z trudem mogłem cokolwiek przełknąć, gdyż myślałem o wiadomościach, jakie im przywieźliśmy. Mudge szepnął mi do ucha jedno zdanie:

— Na razie nic nie mów! — ostrzegał mnie przed zbyt wczesnym zdradzeniem radosnej nowiny, że syn ich żyje. Był zbyt rozsądny, aby od razu oznajmiać takie wieści bez uprzedniego przygotowania. Postanowił najprzód powiadomić o tym kapitana. Zresztą i tak mieliśmy co opowiadać o naszych przygodach.

Kapitan Hudson opowiedział nam, jak po spotkaniu z nami popłynął do Sydney. Zdrowie pani Hudson nie dopisywało, zrezygnował więc z dowodzenia statkiem i postanowił osiąść na lądzie. W Sydney spotkał znajomego, który chciał odstąpić osadę. Skorzystał z okazji i osiadł na pustkowiu.

— Chociaż placówka nasza jest tak daleko wysunięta — mówił kapitan — byłem przekonany, że jeśli będę umiejętnie kierował przydzielonymi mi robotnikami i w sprawiedliwy sposób traktował tubylców, mogę zapewnić sobie całkowite bezpieczeństwo równie dobrze, jak w pobliżu innych osadników. Nie omyliłem się. Zdołałem częściowo ucywilizować kilku młodych tubylców, którzy, jak mi się wydaje, są zupełnie szczęśliwi i zadowoleni, a zawsze gotowi wykonywać powierzone im lekkie prace.

Gdy wyjaśniliśmy kapitanowi cel naszej podróży, natychmiast zaofiarował się uczynić wszystko co w jego mocy, aby zdobyć konie, zapasy żywności i zaufanych ludzi, którzy by

towarzyszyli nam w drodze powrotnej.

— Nie mogę, niestety, wyruszyć osobiście — mówił — ale mam w sąsiedztwie przyjaciela, który na pewno chętnie z wami pojedzie. Możecie całkowicie na nim polegać, gdyż mało jest ludzi, którzy by odbyli tyle podróży w tych dzikich stronach co on, lub potrafili lepiej niż on dawać sobie radę z tubylcami.

Zauważyłem, że gdy kapitan mówił o swym przyjacielu, panienska towarzysząca nam przy stole patrzyła na niego z niepojętym dla mnie wyrazem twarzy.

Przez cały czas paliła nas chęć, aby powiedzieć kapitanowi, że jego syn żyje. Przypuszczam jednak, że nawet wtedy nie mógłby goręcej zająć się sprawą wysłania pomocy. Wydawało mi się, że aby zaoszczędzić państwu Hudson niepokojącego oczekiwania na powrót syna, lepiej o nim nie wspominać. Jakże by to było straszne, gdyby spotkał go jakiś wypadek lub gdyby nasi przyjaciele zaginęli. Nie mieliśmy odwagi myśleć o tym, jednak możliwość taka przemknęła mi przez głowę lotem błyskawicy, gdy pomyślałem o Harrym.

Natychmiast po śniadaniu podzieliłem się swymi planami z panem Mudge. Rozważyliśmy wszystkie za i przeciw, i postanowiliśmy powiedzieć kapitanowi, że znaleźliśmy wśród mieszkańców wysp południowych białego chłopca w wieku jego syna. Chłopiec przebywał z nami przez długi czas i ucywilizował się całkowicie. Miał bardzo przyjemne usposobienie i był przez wszystkich lubiany. Kapitan Hudson mógł potem sam wysnuć wnioski.

Niezwykle ostrożne wzmianki Mudge'a o znalezieniu białego chłopca wśród wyspiarzy zrobiły na kapitanie olbrzymie wrażenie.

— Jakże mam dziękować Bogu za jego bezgraniczną łaskę! — wykrzyknął. — Ostrożnie przygotuję moją drogą żonę do przyjęcia tej wieści. Jej słabe zdrowie wymaga wielkiej uwagi i dlatego proszę panów, abyście nie zdradzili sekretu ani jednym słowem.

Oczywiście przyrzekliśmy milczenie. Później zaimponowało nam opanowanie kapitana podczas rozmów z panią Hudson.

Dopytywaliśmy się o „Heroine”, lecz kapitan nie słyszał o przybyciu okrętu do Sydney. To pocieszyło Mudge'a, któremu poczucie obowiązku nakazywało szukać „Heroine”.

Kapitan Hudson, chociaż myśli jego były zaabsorbowane odnalezieniem syna, zajął się nami i kazał zmienić porwane ubrania na nowe i mocne, nadające się do dalekiej podróży.

Przebraliśmy się po starannej kąpieli w pobliskim strumieniu. Czarny kucharz gospodarza a zarazem fryzjer ogolił pana Mudge. Kucharz był Murzynem z Afryki i opuścił „Hopewell” wraz ze swym panem, potrafił strzyc owce, znał się na krawiectwie, stolarstwie i wielu innych rzemiosłach.

Wkrótce przyjechał konno wezwany na farmę przyjaciel i sąsiad kapitana, przystojny mężczyzna w średnim wieku. Na jego twarzy rysowały się smutek i troska, lecz żywe oczy i zachowanie znamionowały oficera. Po wysłuchaniu naszego opowiadania natychmiast zgodził się nie tylko wziąć udział w wyprawie ratowniczej, lecz także zorganizować ją, aby zapewnić bezpieczeństwo i możliwie jak największe wygody zmęczonym podróżnym. W tym celu zaproponował zabranie koni dla mojej matki, Edyty i ojca, jak również kilka zapasowych dla tych, którzy nie mogliby maszerować.

Czułem się wspaniale i byłem gotów ruszyć następnego ranka. Wieczorem jednak osłabłem i pani Hudson kazała mi iść do łóżka. Następnego dnia nie miałem dość sił, aby wstać. Ekspedycja nie mogła oczywiście czekać na mnie.

Później mówiono mi, że przez pewien czas leżałem bez przytomności, a gdy ją odzyskałem, wyprawa dawno już była w drodze. Dręczyły mnie obawy, czy w malignie nie zdradziłem tajemnicy, lecz wkrótce przekonałem się, że wszystko było w porządku. Pani Hudson doglądała mnie z troskliwością rodzonej matki, a często widziałem, jak w jej oczach błyszczały łzy. Widocznie czuwając nad moim łóżem wspominała zaginionego syna.

Gdy poczułem się lepiej, Lily, owa piękna dziewczyna, którą pierwszy raz spotkałem na „Hopewell”, stale dotrzymywała mi towarzystwa. Nie mogłem powstrzymać się, aby nie na-

zwać jej najpiękniejszą lilią Anglii, była bowiem biała i delikatna jak lilia. Lily była córką przyjaciela państwa Hudson, który poprowadził ekspedycję a osiadł w Australii, zesłany za wykroczenie, jakie jednak nie narażało na szwank jego honoru.

Po dwóch miesiącach do osady przybył jezdny z wieścią, że wyprawa jest już blisko i że wszyscy czują się dobrze. Pani Hudson była bardzo podniecona, gdyż kapitan przygotował ją już do spotkania z synem.

Nie potrafię opisać scen, jakie rozegrały się po przybyciu rozbitków. Płakaliśmy i śmialiśmy się z radości. Nie wstydę się przyznać, że ja również nie mogłem powstrzymać się od łez.

Moja matka i Edyta świetnie zniosły trudy, chociaż przez kilka tygodni żyły w niepokojach, oczekując zjawienia się ekspedycji ratunkowej.

Kapitan Hudson witał gości z wrodzoną mu gościnnością i wszystkim zapewnił dach nad głową. Wiadomość, że ojciec ma zamiar osiąść kilka mil od niego, przyjął z radością i obiecał pomóc we wszystkim, co będzie nowemu osadnikowi potrzebne.

Pan Mudge, gdy tylko otrzymał zwolnienie z marynarki, postarał się o przydział ziemi i osiadł w pobliżu nas. Tomek Peck i ja jako praktykanci zostaliśmy zwolnieni z marynarki bez żadnych formalności.

Pozostali z nami członkowie załogi również porzucili morze i wkrótce zostali osadnikami.

Harry ożenił się z Edytą, ja oczywiście z Lily.

Pędziliśmy życie dostatnie i pełne zwykłych radości i trosk, jakich los nie szczędzi pionierom na nowej ziemi. Byliśmy szczęśliwi, że po tylu trudach i niebezpieczeństwach los okazał się dla nas łaskawy.

KONIEC

SŁOWNICZEK MARYNISTYCZNY

opracował J. S.

abordaż — dawny sposób prowadzenia walki na morzu, polegający na tym, że atakujący okręt podchodził do statku nieprzyjacielskiego, szepiał się z nim, a po przerzuconych pomostach piechota wdzierала się na pokład wroga i w boju wręcz zdobywała okręt.

achterpik — tylna komora zderzeniowa, pomieszczenie znajdujące się na rufie statku, gdzie mieści się przeważnie magazyn bosmański.

albatros — ptak oceaniczny o długich, wąskich skrzydłach, nadzwyczaj wytrzymały w locie.

baksztag — lina wchodząca w skład olinowania półstałego, biegnąca od szczytu masztu do tyłu, przymocowana do burty.

bark — trójmasztowy statek z żaglami rejowymi na dwóch przednich masztach.

bezan — żagiel na bezanmaszcie, czyli tylnym maszcie na trzy- i więcej masztowym żaglowcu.

bojka kotwiczna — in. pława — pływający po powierzchni znak w kształcie beczki lub kuli, pomalowany jaskrawo, wskazujący miejsce, gdzie zanurzona jest kotwica.

bojka ratownicza — pława (w kształcie beczki lub kuli) do rzucania w morze celem niesienia pomocy tonącemu.

bonita — barwna ryba spokrewniona z tuńczykiem, ok. 80 cm długości.

bosak — długi; drąg zakończony metalowym ostrzem i hakiem; służy do odpychania i przyciągania łodzi do nadbrzeża, chwytania przedmiotów, które wypadły za burtę itp.

bosman — bezpośredni zwierzchnik marynarzy pokładowych; w marynarce wojennej stopień podoficerski odpowiadający sierżantowi.

bram-topsel — jeden z górnych żagli prostokątnych.

brasować — zmieniać ustawienie żagli rejowych za pomocą brasów — lin przeciągniętych przez bloki biegnące od rej do tyłu; brasy służą do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej, bryg — dwumasztowy statek z żaglami rejowymi i dodatkowym żaglem gaffowym (zob.) na bekanie, bryza — umiarkowane wiatry lokalne, występujące na wybrzeżach morskich.

bukszpryt — in. dziobak — drewniana lub metalowa belka umocowana na dziobie i wystająca ukośnie do góry; służy do przymocowania lin i żagli,

bumerang — pocisk drewniany w postaci wygiętej, zaostrej, spłaszczonej pałeczki. Wyrzucony wprawna ręką bumerang, nie napotkawszy na przeszkodę, wraca do miejsca wyrzutu.

cal — miara długości, równa 2,54 cm.

chlebowe drzewo — drzewo z rodz. morwowatych, rosnące na wyspach Oceanu Indyjskiego w ok. 40 odmianach; rodzi mięsiste owoce wagi około 2 kg. Dla tubylców stanowią one analogiczne pożywienie, jak u nas ziemniaki i zboże.

Cochrane Thomas — lord, admirał angielski (1775—1860) jako dowódca fregaty zniszczył w 1809 r. flotę franc. pod Rochefort. W 1814 r. niesłusznie pozbawiony godności walczył o wyzwolenie Chin spod panowania hiszpańskiego, brał udział w powstaniu greckim. W 1831 r. został ponownie przyjęty do marynarki angielskiej.

cuma — lina z „okiem” na końcu, służąca do przymocowania (cumowania) statku przy brzegu.

cytrus — drzewo cytrynowe występujące w wielu odmianach w krajach tropikalnych.

dok — basen z urządzeniami do budowy i remontu okrętów.

dryf — znoszenie statku z kursu pod wpływem wiatru i fali; **stanać w dryf** albo **lec w dryf** — wykonać manewr, który pozwala zatrzymać statek żaglowy bez spuszczenia żagli.

dulka — znajdujące się w łodzi oparcie do wiosła.

erozja — proces złobienia powierzchni ziemi przez powietrze i temperaturę oraz działanie wody.

fał — lina służąca do podnoszenia żagli i części omasztowania.

Fidzi — archipelag w Polinezji na Oceanie Spokojnym, obejmujący ok. 250 wysp i wysepek górzystych, wulkanicznego pochodzenia oraz nizinnych, koralowych. Og. powierzchnia 19 256 km². Częściowo kolonia brytyjska, częściowo pod władzą tubylczych władców.

flagsztok-flagsztag — drzewce, na którym podnosi się na okręcie banderę (f. rufowy) lub proporzec (f. dziobowy).

fok — główny żagiel na przednim maszcie.
fokmaszt — pierwszy maszt od dziobu.
funt — jednostka wagi, wynosząca w Anglii (f. ang.) 453,6 g; funt handlowy = 409,5 g. funt sterling — angielska jednostka monetarna.
gafel — drzewce służące do umocowania górnego liku (zob.) żagla czworokątnego na statkach o ożaglowaniu skośnym.
gejzer — źródło gorącej wody mineralnej i pary, bijące wysoką fontanną.
gig — wiosłowa łódź okrętowa o smukłych kształtach, płasko ściętej rufie. Wioślarze siedzą w niej pojedynczo.
grotmaszt — na statkach dwumasztowych maszt większy; na trzymasztowych żaglowcach — maszt środkowy; na wielomasztowych — każdy maszt prócz pierwszego i ostatniego.
grot — największy żagiel podnoszony na grotmaszcie (zob.).
hakownica — działo małego kalibru bez lawety.
hals — kurs żaglowca po przekątnej, zależnie od wiatru wiejącego na burtę (lewy h., prawy h.)
Hawaje — największy archipelag Polinezji na Oceanie Spokojnym, złożony z licznych wysp koralowych i wulkanicznych. Ogółem 16 702 km². Największe wyspy: Hawai i Oahu.
hol — mocna lina służąca do ciągnięcia barek lub statków.
Honolulu — stolica i główny port wysp hawajskich leżący na wyspie Oahu.
Horn — najbardziej na południe wysunięty przylądek Ameryki Południowej.
jard — ang. miara długości — 0,914 m, równa 3 stopom angielskim.
kabel — miara długości na morzu, stanowiąca $\frac{1}{10}$ mili morskiej = 185,2 m.
kabestan — winda cumownicza w postaci bębna obracającego się na osi pionowej; służy do luzowania i wybierania lin.
kambuz — dawna nazwa kuchni okrętowej.
katamaran — łódź żaglowa dwukadłubowa.
kil — in. stępka — belka biegnąca wzdłuż kadłubka statku w płaszczyźnie symetrii.
kipiel — in. przybój — gwałtowne burzenie się wody i powstawanie na falach grzyw z piany na skutek silnego tarcia o nierówne lub kamieniste dno morskie.
Kordyliery — najdłuższy na świecie system górski, ok. 15 000 km, zajmujący zachodnią część Ameryki Płd. i Płn.; w Ameryce Płd. Kordyliery noszą nazwę Andów.
kurs — kąt zawarty między południkiem, tj. linią wskazującą kierunek północ-południe, a linią symetrii okrętu. W ogólniejszym znaczeniu — kierunek, w którym płynie okręt.
kwadrant — przyrząd do mierzenia kątów.
laguna — zatoka morska w części odciętej od morza wałem piaskowym.
lik — krawędź żagla wzmocniona przez kilkakrotne złożenie płótna i obszyta linką zwaną likliną.
luk — otwór w pokładzie statku służący do ładowania towarów, schodzenia w głąb kadłuba itp.
mangrowce — formacja roślinna porastająca brzegi mórz ciepłych, złożona z kilku rodzajów drzew, wspartych na korzeniach szczydłowatych, wystających nad wodą.
Markizy — archipelag we wsch. Polinezji na Oceanie Spokojnym, złożony z 12 wysp, z których 11 jest pochodzenia wulkanicznego. Liczy ogółem 1274 km²; należy do Francji.
massa — w języku tubylców australijskich i polinezyjskich: pan, panie.
Mauna Kea — najwyższa góra (nieczynny wulkan) na wyspie Hawai, pokryta śniegiem, wysokość 4 210 m.
Mauna Lea — czynny wulkan na wyspie Hawai, wysokość 4 170 m.
messa — jadalnia i kasyno oficerskie na statku.
mila angielska — miara długości równa 1 609 m.
mila morska — miara długości na szlakach morskich; odpowiada długości 1 minuty południka ziemskiego; równa jest 1852 m.
nabieżnik — dwa znaki nawigacyjne ustawione w ten sposób, że przedłużenie łączącej je linii wskazuje żeglarzowi właściwy kurs statku w trudnych dla żeglugi miejscach.
nadburcie — in. fałszburta — pionowe podwyższenie burty statku, wystające ponad górny pokład.
namiar — in. peleng — kąt między kierunkiem na obiekt namierzany a kierunkiem północnym lub kursem.

nawietrzna burta — ta burta statku, w którą uderza wiatr.

nawigacja — dział wiedzy żeglarskiej traktujący o prowadzeniu statku po morzach i określaniu na mapie jego położenia.

Niski albo Tuamotu — archipelag na Oceanie Spokojnym, złożony z ok. 80 atoli o 898 km² powierzchni; należy do Francji.

nobilitować — nadać szlachectwo.

Nowa Gwinea — największa po Grenlandii wyspa (785 000 km²) na północ od Australii.

Nowa Kaledonia — wyspa na Oceanie Spokojnym na wschód od Australii o powierzchni 18 653 km².

Oahu — jedna z wysp Hawajskich o powierzchni 1570 km².

opos — zwierzę z podgromady torbaczy żyjące w Ameryce Południowej i Środkowej.

pandanowce — rośliny jednoliścienne drzewiaste lub krzaczaste, rosnące w Indiach, na archip. Sundajskim i Nowej Gwinei.

pilotować — prowadzić statek w basenach portowych; dokonuje tego pilot, pracownik kapitanatu portu, znający doskonale wody i tereny portowe oraz przepisy w danym porcie obowiązujące, umiejący przeprowadzać skomplikowane manewry w basenie.

piroga — wąskie, długie czółno, wydrążone lub wypalone z jednego pnia, używane przez mieszkańców wysp Oceanu Spokojnego.

platan — drzewo z rodziny platanowatych o szerokiej koronie, dochodzące do 30 m wysokości.

Panamski Przesmyk — dzieli Amerykę Północną i Południową.

plaster — urządzenie dla prowizorycznego zatkania dziury w kadłubie okrętu; sporządzany jest najczęściej z kilku warstw płótna żaglowego obszytego liną z umocowanymi w rogach pierścieniami.

podwachtą — część załogi, która skończyła służbę i została zamieniona przez nową wachtę.

Penas — port nad zatoką tej samej nazwy na wybrzeżu Chile.

„na śrubkę” — (śrubkować) — poruszać małą łódź za pomocą jednego wiosła umieszczonego na rufie, ruchem podobnym do obrotu śruby.

Przyjazny albo Tonga — archipelag w pld.-zach. Polinezji, złożony z trzech grup wysp o ogólnej liczbie 150, powierzchni 1010 km². Pierwotnie pod protektoratem ang., obecnie królestwo konstytucyjne.

psia wachta — w gwarze marynarskiej nazwa wachty od północy do 4 rano.

ref — wąski pas płótna naszyty na żagiel wzmacniający go w miejscu, w którym znajdują się otwory z przeciągniętymi przez nie linkami, do zmniejszenia powierzchni żagla.

refować — zmniejszać powierzchnię żagla przy silnym wietrze.

reja, rejka — poziome drzewce omasztowania przytwierdzone w środku długości do masztu, służące do umocowania górnego liku żagla prostokątnego.

rejka łacińska — łacińskie ożaglowanie; jest to typ, przy którym trójkątny żagiel jest przymocowany do długiej, wygiętej i zawieszanej skośnie na maszcie rejki.

rejki lugrowe — lugrowe ożaglowanie jest to typ ożaglowania, w którym czworokątny żagiel jest rozpięty na skośnie podniesionej rejce.

reling — barierka wokół pokładu statku z metalowych pionowych słupków i poziomej linki lub pręta.

rejs — podróż, którą odbywa statek.

rufa — tylna część statku.

rumpel — in. sterownica — drążek umocowany do głowy steru, za pomocą którego zmienia się położenie steru.

Samoa — wyspy koralowe i wulkaniczne na Oceanie Spokojnym w Polinezji środkowej.

sandałowe drzewo — drzewo o cennym twardym drewnie, bogatym w żywice, które nadają mu charakterystyczną, miłą woń (olejek sandałowy).

sążeń — dawna miara długości = 6 stóp = 190 cm.

sekstant — morski optyczny instrument nawigacyjny, służący do mierzenia kątów określających wysokość kątową obserwowanego ciała niebieskiego nad horyzontem.

skajlajt — in. świetlik — zabezpieczone siatką drucianą lub prętami okno nad nadbudówką statku, oświetlające wnętrze.

słup — typ jachtu jednomasztowego z dwoma żaglami.

sonda — linka z zamocowanym ołowianym ciężarkiem, służąca do mierzenia głębokości wód.

stanać na oku — funkcja spełniana na dziobie statku przez marynarza obowiązane go do meldowania wszelkich zauważonych na morzu i na niebie zmian w polu widzenia.

stenga — drzewce omasztowania statku, przedłużenie masztu.

stewa — część szkieletu okrętu, tworząca przedłużenie kilu (dziobnica).

steward — członek załogi obsługujący przy posiłkach, sprzątający pomieszczenia mieszkalne itp.

stopa — dawna miara długości; stopa angielska równa się 3,04 cm.

Sydney — miasto i port w Australii południowo-wschodniej; najstarsza osada europejska na kontynencie australijskim.

sześciofuntowa armatka — działo strzelające sześćofuntowymi pociskami (ok. 3 kg).

szkorbut — gnilec, choroba wywołana brakiem witaminy C w przyjmowanych pokarmach, brakiem jarzyn, owoców, świeżego mięsa.

szkuner — typ żaglowca o ożaglowaniu skośnym, podnoszonym na dwóch i więcej masztach.

szkwał — nagły, gwałtowny, krótkotrwały wiatr poziomy, powstający zwykle na granicy dwóch mas powietrza o różnej temperaturze.

szot — linka umocowana do bomu, za pomocą której można ustawiać bom, a tym samym i żagiel pod odpowiednim kątem do kierunku wiatru.

sztaksel — trójkątny żagiel podnoszony na linach biegnących w linii symetrii statku.

sztormować — prowadzić statek w czasie burzy w ten sposób, by zapewnić mu maksimum bezpieczeństwa. Na statkach żaglowych polega to na zmniejszaniu ożaglowania do minimum i utrzymywaniu statku dziobem lub rufą pod falę.

szturman — oficer nawigacyjny.

tabu — w wierzeniach ludów pierwotnych rzecz święta, nienaruszalna, nietykalna.

takielunek — ogólne olinowanie okrętu.

taro — tropikalna roślina spożywana po ugotowaniu jako jarzyna.

Tonga zob. Przyjazny.

topsel — przy ożaglowaniu, gąflowym górny żagiel rozpięty między gąflem a górną częścią masztu; podnosi się go przy stałej pogodzie i niezbyt silnym wietrze.

trawers — kątowe odchylenie w płaszczyźnie poziomej osi statku w stosunku do linii jego kursu.

tuńczyk — ryba z rodziny makrelowatych dochodząca do 4 m długości i 500 kg wagi.

Valparaiso — miasto i port w Chile.

wachta — okres czasu (najczęściej 4 godziny), podczas którego pełni służbę jedna zmiana załogi; w gwarze marynarskiej część załogi pełniąca służbę na statku.

wanta — lina stalowa takielunku stałego, podtrzymująca maszt z boku.

węzeł — jednostka prędkości statku równa 1 mili morskiej na godzinę.

wympel — flaga w kształcie wydłużonego trójkąta.

yam lub **jams** — bylina uprawiana w krajach podzwrotnikowych i zwrotnikowych, o smacznych, jadalnych bulwach, podobnych do ziemniaków.

zapalnik tarciowy — zapalnik wzniecający iskrę przez tarcie z silnym oporem.

zawietrzna burta — burta przeciwległa tej, w którą uderza wiatr.

zenza — miejsce na statku między kilem a pierwszym pokładem, w którym zbiera się przeciekająca woda.

SPIS TREŚCI

Rozdział I	002
<i>Ostatni dzień w domu. Na pokładzie „Heroine”. Kurs na Pacyfik. W poszukiwaniu piratów. Pogoń w górę rzeki. Dicki Popo. Bitwa. Zwycięstwo. W dalszą drogę</i>	
Rozdział II	010
<i>Wokół przylądka Horn. W porcie Patagonii. Wizyta na statku wielorybniczym. Zaciszny port. Niebezpieczna przygoda. Valparaiso. Wyspa koralowa Tubylcy. Wyspy Sandwich. Popo i biały chłopiec</i>	
Rozdział III	022
<i>Harry — członek naszej messy. Na kotwicy u wulkanicznej wyspy. Podróż szalupy wokół wyspy. Pogoń za statkiem wielorybniczym. Huragan. Wyrzuceni na rafy. Uszkodzenie szalupy. Orzechy kokosowe. W poszukiwaniu żywności. Wyspa ptaków. Organizacja obozu</i>	
Rozdział IV	030
<i>Na wyspie. Ostrygi na drzewach. Harry wymyka się rekinowi. Pierwsze śniadanie. Kuznia Tillarda. Wyprawa przez wyspę. Produkcja gwoździ i haków. Znalezienie łodzi. Rybołówstwo. Powrót przyjaciół. Spuszczenie łodzi na wodę. Pod żaglem wokół wyspy. Choroba Dicka. Porwani wicherą</i>	
Rozdział V	036
<i>Wyspa odnaleziona. W niewoli u tubylców. Stracone nadzieje. Nowa choroba i śmierć Dicka. Groźba wojny. Przybycie Harry'ego. Przegrana Whagoo. W nowej niewoli. Ucieczka. Pogoń. Ratunek</i>	
Rozdział VI	045
<i>Kurs na południowy zachód. Pragnienie i głód. Bryza. Na pokładzie „Violet”. Nowa Kaledonia. U brzegu Australii. Huragan. Rozbicie brygu. Łądowanie</i>	
Rozdział VII	055
<i>Rozpoznanie terenu obozu. Powrót na bryg. Niepowodzenie. Zwożenie zapasów. Wizyta tubylców. Budowa tratwy. Sztorm. Ostateczne rozbicie brygu. Żegluga na łodziach po ładunek. Budowa domu. Odpinięcie szturmanów i części załogi. Wyprawa z Edytą na łodzi. Sztorm. Ucieczka</i>	
Rozdział VIII	065
<i>Wyprawa po warzywa. Bliższa znajomość z rodziną Pullingo. Wyprawa myśliwska. Dziwne zwierzęta. Bandyci. Zniknięcie Edyty i Pierce'a. Bezowocne poszukiwania</i>	
Rozdział IX	074
<i>Pomoc Pullingo. Wyprawa ratunkowa. Straszliwy sztorm. Ucieczka. Powrót do osady. Wieloryb. Taniec dzikich. Poszukiwanie rzeki. Wymarsz</i>	
Rozdział X	084
<i>Podróż lądem rozpoczęta. Pierwszy obóz. Taniec szkieletów. Wizyta tubylców. Dalszy marsz. Ekspedycja. Niebezpieczeństwo. Marsz forsowny. Nowy obóz. Przyjaciele Pullingo</i>	
Rozdział XI	096
<i>Spotkania z czarnymi. Stały obóz. Dalekie rozpoznanie. Rzeka. U podnóża gór. Księżycowa grotta. Odejdźcie Pullingo. Obóz w górach. Pragnienie</i>	
Rozdział XII	103
<i>Bliscy załamania. Na grani. Nocleg w grocie. Miesiąc w podróży. Brak amunicji. Pasterze. Niezwykłe spotkanie. Zakończenie</i>	
SŁOWNICZEK MARYNISTYCZNY	113